















Digitized by the Internet Archive  
in 2025

<https://archive.org/details/babylon0000wies>





# BABILON

TEGOŻ AUTORA WYDANO PODOTĄD:

- 1 UTWÓR SCENICZNY.
- 2 STUDYA HISTORYCZNE.
- 2 HISTORYCZNE POWIEŚCI DLA MŁODZIEŻY.
- 3 STUDYA SPOŁECZNE I HISTORYCZNE.
- 4 OPOWIADANIA HISTORYCZNE.
- 4 POWIEŚCI WSPÓŁCZESNE.
- 11 POWIEŚCI HISTORYCZNYCH.



✓  
WACŁAW GAŚSIOROWSKI

(WIESŁAW SCLAVUS) 1869-1939

<sup>o</sup>  
BABILON

OPUS 28 — TOM 34

*Rec. Benedykt Gajmistrzowski  
D.M.A.*

W A R S Z A W A 1 9 1 2

---

NAKŁAD KASY PRZEZORNOŚCI I POMOCY WARSZAWSKICH  
POMOCNIKÓW KSIĘGARSKICH - SKŁADY GŁÓWNE  
W KSIĘGARNIACH GEBETHNERA I WOLFFA

PRAWA PRZEDRUKÓW, PRZEKŁADÓW I PRZERÓBEK ZASTRZEŻONE.  
DROITS DE TRADUCTION ET DE REPRODUCTION RÉSERVÉS POUR  
TOUS LES PAYS.  
ALL RIGHTS RESERVED.



# SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
<b>MIARA WTOREGO BABILONU . . . . .</b>	<b>1</b>
<b>I. W OTCHŁANI INDYWIDUALIZMU . . .</b>	<b>5</b>
Urok, o którym się nie mówi. — Portugalczyk we Lwowie. — Francya i cudzoziemcy. — Narodziny złości i jej cicha konsekwencya. — Inny rodzaj cudzoziemców. — Szturm do społeczeństwa francuskiego. — O polskim poecie i — jego ziemi. — Gdzie pełnia potępienia. — Na modłę Babilonu. Tajemnica duszy francuskiej. — Indywidualizm i jego zachłanność.	
<b>II. RZUT OGÓLNY . . . . .</b>	<b>19</b>
Siła twórcza Francyi i jej nieznana potęga. — Prężność, rzutkość, baczność społeczna i polityczna. W pogoni za słońcami. — Narody, które nie błędzą. Źródła mylnych o Francyi wyobrażeń. — Rewolucjonista na trybunie deputowanych. — Osłabienie różnic partyjnych. — Wywrotowcy u władzy. — Aristokratyzm wrodzony i dążność do równości. — Hierarchie i tytuły. — Czy powróci, co minęło.	
<b>III. TRZECIA RZECZPOSPOLITA W LICZBACH . . . . .</b>	<b>33</b>
Skala porównawcza. — Obszar i ludność. — Sprawność polityki zewnętrznej. — Kolonje i nowe jej zdobycze. — Polityka wewnętrzna. — Dług państwowy i liczby budżetów. — Odwrotna strona wydatków. — Stan oświaty, jego cyfry i prądy. — Dobroczynność publiczna i wzajemna pomoc. — Fi-	

nanse. Wywóz i przywóz. — Renta. — Koleje, ruch ładunkowy statków, produkcja. — Byt jednostek. Kasy oszczędności. — Sukcesye i donacje. — Wynagrodzenie za pracę. — Konsumcja, dobrobyt i zdrowotność. — Wnioski.

#### **IV. PSYCHOLOGIA PRACY . . . . . 57**

Warunki klimatyczne i bogactwa przyrodzone. — Ograniczona wdzięczność ziemi. — Utrudniona wytwórczość i stawianie czoła walce ze współzawodnictwem. — Naturalny obrońca przemysłu francuskiego. — Ogrodnik. — Umiłowanie pracy. — Rozwaga przy wyborze zawodów. — Kres pracy, francuskiej i ideał kresu. — Rezultaty. — Ilość dni pracy, jej wydajność; odpoczynek świąteczny. — Praca nieoficyjalna. — Wymagania chlebodawcy. Rzutkość i wielostronność pracowników. — Organizacja pracy i bezrobocie. — Gdzie zasadnicza moc pracy Francuzów.

#### **V. NORMY MORALNOŚCI . . . . . 77**

Zasługa literatury. — Ostrzeżenia Micheleta i ich bezsilność. — Następstwa. — Żywe świadectwa. — Pomieszanie dwóch różnych norm moralności. — We Francyi wszystko wolno cudzoziemcom. — Statystyka kryminalna, w stosunku do tych ostatnich. Arkadya międzynarodowego konglomeratu. — Import zagranicy i przemysłnictwo mniej szlachetnych upodobań. — Pożądanie sensacji. — Figle przedsiębiorczości. — Liczba cudzoziemców, zalety żywiołu napływowego. — Zapytania.

#### **VI. RODZINA . . . . . 93**

Pierwsze wrażenia. — Pogląd francuzów na ślub i małżeństwo. — Realizm. — Kobieta francuzka. — Jej charakter i jej wymagania. — Co wnosi mężowi. Gospodarstwo. — Służba domowa. — Przeciwięstwo niemki i nie tylko niemki. — Praca francuzek. — Jej dorobek i treść. — Definicja. — Męż-



czynna. — Kult dla kobiety. — Mąż. — Wiaro-  
łomstwo. — Rozwody i separacje. — Rozwiązłość  
żonatych i mężatek. — Wątpliwości.

## **VII. OJCOWIE I DZIECI . . . . . 115**

Stosunek dzieci do rodziców i jego podstawy. —  
Dwie różne swobody. — Wychowanie dziewcząt.  
Władza rodzicielska i jej potęga. — Opieka nad  
małoletnimi i wrażliwość opinii na krzywdę dzieci.  
Chyba sentymentalizm. — Ograniczenie liczby po-  
tomstwa. — Klęska wyludnienia i jej obrachunek.  
Rezultaty. — Warunki ekonomiczne. — Prawo  
cywilizacyi. — Dwie przyczyny. — Warunki, sprzy-  
jające mnożeniu się ludności. — Istota zbrodni-  
czości i środki, niweczające czy podporządkujące pło-  
dność woli jednostek. — Dzieci nieprawe. — No-  
worodki nieżywe. — Statystyka kryminalna. —  
Uwolniona morderczyni. — Europa. — Zestawienie.  
Jakie i komu grozi niebezpieczeństwo.

## **VIII. BEZBOŻNOŚĆ . . . . . 141**

Rzut historyczny. — Polityka królów. — Pierwsze  
starcie ludu z Rzymem i rewolucya. — Powrotna  
fala. — Dalszy ciąg tej samej polityki. — Trzecia  
Rzeczpospolita i Watykan. — Minowa walka. —  
Duchowieństwo francuskie. — Rampolla i Merry  
del Val. — Zerwanie. — Prawo o rozdziale Kościoła  
z państwem. — Istota sumienia religijnego Francyi.  
Walka o szkołę. — Ostatnie wypadki. — Dzisiej-  
sza bezbożność Francuzów.

## **IX. KRÓLEWIĘTA RZECZYPOSPOLITEJ . 193**

Żywioł rządzący. — Potęga kółek machiny pań-  
stwowej. — Niepocześni dygnitarze. — Koncepty  
snobizmu europejskiego. — Droga na szczyty. —  
Delcassé i jemu podobni. — Parlament — Więk-  
szość rządząca. — Opozycja i jej nastrój. — Duch  
parlamentu, jego czujność. — Rangi i szewrony.  
Uposażenie dostojników. — Prezydent, ministrowie,

senatorowie i deputowani. — Udręka posłów. — Kamera doświadczalna. — Królewęta Rzeczypospolitej. — Clemenceau. — Nieznana gdzieindziej zaleta. Cześć dla Cincinatów.

## **X. CNOTY, O KTÓRYCH SIĘ NIE MOWI . 219**

Legalność i jej kierunek. — Zaufanie do przedstawicieli władzy. — Francuski policyant i francuskie „habeas corpus“. — Wykład kodeksu. — Wyrok bezwyznaniowców. — Dreyfussyada. — Probiez sumienia. — Gniew narodu. — Mury gwardyi narodowej. — Prawa protestu. W godzinie klęski. — Powódz i wyrok „globtrottera“. — Karność i jej cechy. — Podatki. — Śmiecie Paryża. — Tłum. — Dwa przystanki tramwayowe. — Czternasty lipca. Wobec widma wojny. — Od lat czterdziestu. — Warunki zgody. — Czemuż nie uderzyli dotąd? — Odwrot przed karnością. — Puste liczby. — Cnoty, o których się nie mówi.

## **XI. WIDMA ANARCHII . . . . . 245**

Zamęt wyobrażeń i jedyny punkt wyjścia. Ręka Wielkiego Wschodu Francyi. — Rzutwstecz. — Marya Antonina o massonach. — Pogląd Konwentu na pionierów Wielkiej Rewolucyi. — Za cesarstwa. — Zasady wolnomularstwa francuskiego i jego stosunek do religii a dalej do ustroju republikańskiego Francyi. — Wzajemność rządu. — Freycinet i Carnot. — Symbol trójkąta i liczby 33. — Architektura massońskich stopni. — Definicye. — Bonapartyzm i napoleonizm. — Konkurs Le Petit Parisien'a. — Dziedzice i ich rodowód. — Przebudzenie się lewka. — Hrabia Chambord i Hrabia Paryża. — Proces Orleanów i jego moralne następstwa. Filip VII i nowa era. — Kamloci króla i ich rozgoryczenie. Brak człowieka. — Naundorffiści. — Imię spodziewań. — Pobłażliwość władzy. — Bankructwo strejków. — Rewolucya socyalna. — Apostołowie anarchizmu. — Na „progu“ walki. — Widma.

## **XII. OBYCZAJE I NIEOBYCZAJE . . . . . 283**

Radość życia. — Francuskie „bon enfant”. — „Mimi”, „Toutout” i „Cocotte”. — Król — naród. — Ferrer i Blériot. — Kwiat i piosnka. — Jour fixe jemioly. — Łatwowierność i kredyt. — Raj kamieniczników. — Właściwości handlu — stragany. — Uczciwi znalazcy. — Nikczemna służba. — Pogląd na jaśniepánów. — Przegródka sprawiedliwości. — Nie sypianie w domu. — Prawo zegarka. — Nieco o kuchni. — Wytyczne gościnności. — Zamiłowanie do wstążeczek. — Legja Honorowa. — Prasa. — Jej duch i nastrój. — Publicité. — Pogoń za sensacją.

## **XIII. BABILON . . . . . 321**

## **BIBLIOGRAFIA . . . . . 327**

---



*Ludziom dobrej woli...*

*poświęcam.*

---

Miara wtórego Babilonu już się dopełnia. Francya współczesna, ta zwyrodniała, stoczona do rdzenia, urągająca prawom boskim i ludzkim, Francya, dobiega nareszcie kresu. Jeszcze jeden moment przełomowy i gniazdo bezładu, sprośności, rojowisko bezbożników legnie w gruzach swych siedmiu grzechów głównych, na przykład całej ludzkości, na chwałę wszelkiej cnoty społecznej i politycznej.

A gdyby nawet tego momentu przełomowego zabrakło Francyi, gdyby wyrok losu postanowił oszczędzić nowożytnej Sodomie krwawych łun ognia niebieskiego, toć niechybnie czeka ją, jeno okrutniejsze od zgonu gwałtownego, konanie, konanie powolne, idące z bezpłodności, z nadużyć, z wyuzdania, ze sponiewierania rodziny, z pohańbienia najświętszych uczuć, ze zgnilizny moralnej, z anarchii.

Konanie to bodaj nawet że się zaczęło... Niechybnie! Co dnia idą wieści z Babilonu, wieści złowrogie, straszne, ścinające krew w żyłach prawego



obywatela Europy. Wieści, które, i dla gołębih serc, muszą być dokumentem, że nadszedł początek końca...

Tak, bo i te błyski, słane przez Francję dzisiajszą mrokom wiedzy, są tylko błyskami gasnącej lampy; i owo bogactwo trzeciej Rzeczypospolitej i ta całego jej ludu wyrafinowana przezorność jest znów tylko dowodem chciwości, materyalizmu, lichwiarstwa, umiłowania złotego cielca, zaprzepaszczania ideałów. Czego bowiem podotąd nie zniweczyło zepsucie to ginie w otchłani sobkostwa, w pogoni za kurą Henryka IV., w „dorobkiewiczostwie, w nikczemnym komforcie własnego kurnika“.

„Napróżno szukam we Francyi takich, coby czuli za miliony. Nie ma ich i niema tych miljonów, którzyby chcieli czuć“...

Historia się powtarza. „Nie tylko ludzie się przeżywają ale i narody“. „Francya, zapewne, położyła zasługi“. I owszem, trzeba oddać jej sprawiedliwość. Ale cóż, „państwo Rzymskie dokonało więcej i pa-dło“...

Dzieje pouczają, jak rozpoznawać śmiertelne konwulsye, skazanych na zagładę, ludów. Sekcyje tak potężnych trupów, jak Wenecya, Bizancyum, Persya, Egipt, Assyrya uzbroiły mędrców w niezawodne dalekowiedze.

Gwiazda zachodu blednie. Na firmamencie cywilizacji europejskiej, albo słońce niemieckie berło weźmie tymczasem, albo wschód odrazu zapali zorzę nowych myśli, tęczowem światłem swej „bezpośredniości“ całą ogarnie ludzkość...

Gorze Babilonowi! — Policzone są dni nieprawości jego!

---

Te ponure wróżby są lichem odbiciem opinii, wygłaszanych co dnia o Francji współczesnej i wygłaszanych z równym zapalem w Berlinie, jak i w Wiedniu, Rzymie, Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Kopenhadze, Petersburgu, a nawet i w Paryżu...

Opinie te bywają ani gołosłownymi ani wrogiemi narodowi francuskiemu. Przeciwnie, aż nadto często brzmią w nich struny żalu, aż nadto często smutek przesłanek do dawnej mocy i chwały galijskiej przyjazną dźwięczy nutą... Lecz cóż, kiedy fakty „niezaprzeczone“, nie zbite „ze źródeł“ poczerpnięte, mówią same za siebie. Lecz cóż, kiedy świadectwa kroci podróżników, którzy do Babilonu dotarli, zgadzają się co do joty, kiedy tysiące sprawiedliwych Francuzów wzywa miliony współbraci do opamiętania...

Niezawodnie, Francja współczesna ma i swoich obrońców! Ma ich, bo i dom gry i dom rozpusty posiada takich, którzy z niego się żywią, z niego się tuczą, bo i pokrzywa ma swego pasożyta, bo są prostacy, których wzrok nie sięga poza blichtr kultury, bo są, których powonienie zamarło nawet dla najostrzejszych wyziewów, którym żądza nasycenia jest całem wyznaniem wiary społecznej.

---

Zgódźmy się bezkrytycznie na te szanowne racje. Niech i tym razem tryumfuje wytarty trojak opinii, niech i tym razem prawda będzie towarzyszką większości.

Więc Francja chyli się do upadku, ostatnie dni przeżywa.

Idźmyż się jej przyjrzyć zblizka, idźmyż do Babilonu, do jego, toczącego pianę rozkładu, serca...

Idźmyż zimni, obojętni, skupieni, idźmyż oglądać konwulsje przedśmiertne odchodzącego ludu. Idźmy w jego skurczach, w jego szale trupim, szukać dla siebie drogowskazów, przestróg.

Idźmy, nie sromając się ani cyfr, ani mętów, ani warsztatów, ani salonów, ani chat ani zamków, ani szynkowni ani szkół, ani kościołów ani massońskich łóż, ani oaz moralności, ani jaskiń zgorszenia. Idźmy, chroniąc się jedynie uprzedzeń, chroniąc się gry wyrazów i, niebezpieczniejszej od nich, gry myśli...

Idźmy — nie dowodzić, lecz stwierdzać — nie przekonywać, lecz oglądać.

## **W OTCHŁANI INDYWIDUALIZMU.**

Urok, o którym się nie mówi. — Portugalczyk we Lwowie. — Francya i cudzoziemcy. — Narodziny złości i jej cicha konsekwencya. — Inny rodzaj cudzoziemców. — Szturm do społeczeństwa francuskiego. — O polskim poecie i — jego ziemi. — Gdzie pełnia potępienia. — Na modłę Babilonu. — Tajemnica duszy francuskiej. — Indywidualizm i jego zachłanność.





Podróże, pobyt w obcych krajach, krom wszelkich sławionych korzyści, przyjemności, uciech i zale mają jeszcze urok, o którym się nie mówi, a który nawet dla skromnych dusz posiada nielada wartość.

Urok ten nazwać by można poczuciem swej niezwykłości... — Boć miło jest powiedzieć w danym momencie: — w Londynie jest tak i tak — w Dreźnie widziałem to i to. A milej stokroć, gdy, wraz ze wspomnieniem o stolicy Anglii lub Saksonii, łączą się dzieje tych nieskończonych dowodów zaciekawienia, którego było się bohaterem tam, w Anglii lub tam, w Saksonii.

W tej mierze, prawie na całym świecie, jednaki panuje obyczaj. Cudzoziemiec jest przedmiotem szczególniejszej uwagi, przyznaje mu się bezkrytycznie wyższość, jako istocie stojącej ponad powszedniością miejscowego życia. Cudzoziemca wyzyskuje się często, na gościach turystyki, ale go się szanuje i wyróżnia zawsze.

Dopieroż, gdy cudzoziemiec z odległego pochodzi kraju. Dopieroż, gdy w Kadyksie mówi się skromnie — „Nie panie, jestem Polakiem z pod Warszawy!“ — Dopieroż, gdy we Lwowie usłyszysz się — „Jestem Portugalczykiem“. Wówczas wieść o Polaku czy Portugalczyku obiega lotem błyska-

wicy miasto, wówczas zainteresowaniu daje wyraz i prasa, i tłumy gapiów na spacerach i strzeliste spojrzenia dam. Wówczas, szmer zdumienia wita co kroku wędrowca. Wówczas i człek ubogi duchem, zero własnego społeczeństwa, urasta na postać narodu. A ileż jeszcze zyskują ludzie, mający pod ręką zdecydowany tytuł, rangę pracy, godność, gdy do zaciekawienia przybywają im i honory i hołdy zgoła wyraźne.

Wielkie zbiorowiska ludzkie, otrzaskane z cudzoziemcami, mniej nimi się zajmują, — lecz zajmują zawsze. Zawsze na „Ryngach“ wiedeńskich i na „Friedrichstrasse“ berlińskiej i na londyńskiej „Picadylly“ cudzoziemiec czuje, że jest kimś i kimś niepospolitym...

Tak dzieje się prawie na całym obszarze Europy, za wyjątkiem jej stolicy, za wyjątkiem Paryża, a dalej i Francji.

Tu nie masz miejsca dla niezwykłości, tu najbardziej pstry i różnojęzyczny ładunek pociągu w jednej chwili jest rzuconym w odmet mrowiska Babilonu i pochłoniętym przezeń. Tu ani legion turbanów marokańskich, ani bataljon chińskich kaftanów nie zmieni barwy ulicznego tłumu. Tu wszystko, co usiłuje wyłamać się z jego ram, budzi nieufność, budzi najwyżej uśmiech pobłażania.

Cudzoziemiec nie zdaje sobie na razie sprawy z pochłonięcia, któremu uległ. Zwiedza miasto, wydeptuje utarte szlaki i czuje nadewszystko, że jest międzynarodowym gapiem i gapiem, który krąży w zagrodzie, wypełnionej takimi samymi, jak on, ga-

piami. Następnie postrzega, że nikt nim się nie zajmuje, nie interesuje. Że ani jego stopień naukowy, ani dekadenski krawat, ani hrabiowska korona, ani lwia czupryna artysty nie wywierają wrażenia, że obecność jego w najnudniejszym szynku jest równie bez protestu przyjętą, jak i obecność w najzwyklejszej restauracji, że z tą samą zimną krwią zagarnięto mu pięciusetfrankowy banknot, jak wytartego franka, że jego, na wagę złota, opłacony samochód jest jednym z tysięcy nienajwspanialszych w lasku Bulońskim, że on, dygnitarz, dostojnik, magnat, bywa tylko *»mon prince«* ale dla ulicznika, który następcza mu się przed teatrem z zawołaniem do-  
rożki.

I cudzoziemca ogarnia, niepojęta dla niego samego, złość. Wzrok jego bezwiednie uzbraja się w krytyczne rzuty. Usiłuje ganić, znajdować braki, niedostatki. Wypomina Berlin, Wiedeń, konstatuje, że Paryż niema pojęcia o tem, co w Petersburgu istnieje od wieków. Domaga się raptem papryki, makaronu z parmezanem i nie pojmuje, że nikt nie myśli uszanować jego wykładu o blinach, zrazach, sznycłach, karności niemieckiej, austriackim tytoniu lub serbskiej śliwownicy...

Równocześnie bogactwo, ogrom życia, pulsującego w arteriach Paryża, przygnębia cudzoziemca, wypomina mu ubóstwo własnego społeczeństwa i budzi zawiść głuchą i skłania do porównań i wykrzykników odruchowych, w rodzaju „ale... ale katedry Kilońskiej nie ma nad Sekwaną i Wawelu nie ma i wieży pizańskiej także niema“...

Lecz te wykrzykniki nie zdolne są żadnego z cudzoziemców ocalić przed zalewem fali ludzkiej, która go unosi, niby jedną z miliona swoich kropel.

Dopiero, gdy pociąg ruszy z cudzoziemcem ku granicy, dopiero ten odzyskuje swoją jaźń, swoją niezwykłość i, w przedziale wagonu, znajduje echo przyjazne dla uwag krytycznych, dla narzekań... które zresztą wcale nie umniejszają jego ochoty do odwiedzenia ponownego Babilonu.

Uczuciom tym, w daleko silniejszym stopniu, ulegają ci, którzy zjeżdżają do Francji, a w szczególności do Paryża, dla studyów, pracy, kariery, dłuższego pobytu.

Ci naturalnie poczytują sobie za obowiązek dotrzeć do Francuzów, rozgadać się z nimi, przekonać ich o swych talentach, zdolnościach, zamiarach, społecznych prawach. Mają, przypuśćmy, listy polecające, mają nici. Zażywają ich i są olśnieni, oczarowani. Przyjęto ich wszędzie uprzejmie, powinszowano świetnej znajomości języka, wysłuchano cierpliwie i pożegnano. Węzły zostały zadzieżgnięte odrazu, bez mitręgi, bez trudu. Teraz byle je zacisnąć, wzmocnić. Mija rok, dwa, sześć — i węzły ciągle trwają w stadium pierwszego spotkania, ani jednego tonu więcej, ani jednej uprzejmości mniej... Tak samo w życiu artystycznym, tak samo w towarzyskiem obcowaniu i w stosunkach kupieckich.

Osiadłych we Francji cudzoziemców ogarnia pasja. Za wszelką cenę szturmują do bram społeczeństwa francuskiego, wdzierają się doń i, w chwili, gdy już sami uważają się za paryżanów, gdy skwi-

towali ze swej odrębności, gdy mniemają być u kresu, spotyka ich grzeczna odprawa...

I wówczas, ci, osiadli w Paryżu, cudzoziemcy chcą z nim zerwać, porzucić go, otrząsnąć prochy z nóg swoich na zadokumentowanie żółci, która im serce porze. Daremnie, — ten sam Paryż, któremu złorzeczyli co dnia, więzi ich, przykuwa, taż sama Francya, którą co godzina poniewierali, staje im się drugą ojczyzną, mniej może ukochaną, lecz dla bytowania miłszą, jaśniejszą, przestronniejszą. To ocknienie ucisza bunt dotychczasowy i skłania społeczeństwo francuskie do uchylenia pokonanemu swych zawór. Ale na to lat trzeba, bo trzeba lat, aby umieć z Francuzem się rozmówić.

Siedemdziesiąt pięć procent cudzoziemców, przebywających na ziemi francuskiej, nienawidzi spotwarza, Francję i znieść nie może tych dwudziestupięciu procent swoich własnych pobratymców, którzy w najlepszej żyją z nią harmonii.

Inaczej podobno być nie może. Przyjrzyjmy się, na przykład, takiemu powszedniemu obrazkowi.

Zjechał do Paryża poeta, przypuśćmy, że Polak, zjechał już z imieniem, zdobytem gromami, rzucenemi społeczeństwu, które kocha się w gromach, zjechał na ogarnięcie orlim spojrzeniem duszy Babilonu. Przyjazdu poety nikt nie zauważył, nikt go nie spostrzegł, krom garści rodaków, którzy witają go w szynku pogardą dla wszystkiego co francuzkie...

Poeta jest naturą niezależną. Zbył milczeniem rodaków pomstujących i ruszył do tych, którzy tu się zadomowili i ruszył do Francuzów po drodze.



Lecz i tu i tam jednakie spotyka go przyjęcie... Poeta ma dramat pod ręką, bajeczny, ma zatrząsienie pomysłów, ma w piersiach, choć wątych, potęgę „rzeczy“, o których Francuzom się nie śniło... Spotyka go obojętność, grzeczna, delikatna, ale obojętność. Nikt nie myśli w niego uwierzyć, nikt nie troszczy się o głębię jego światopoglądu, nikt nie próbuje wnikać w istotę jego prometeuszowych zapalów.

Poeta zaciska zęby, zgrzyta, i wraca do szynku. Tu jedynie znajduje bratnie umysły, tu go rozumiają, tu wtórują, tu, nad szklanką absyntu, spotyka jednego godnego Francuza. On jeden jedyny czuje, on wielki, on jeden nie burżuj, nie zanikający w tłuszczu dorobkiewicz. On i ten malarz, plwający na „jury“ francuzkich wystaw i ten rzeźbiarz, który na to ma pod ręką jednego Rodina, aby o „reszcie“ rzeźby francuzkiej mówić plwocinami, i ten wynalazca genialny, a nieuznany.

Poeta jednak umie mówić! I jak jeszcze... I mówi! Ze szczytu francuzkiego Panteonu, z góry Montmartru widzi jeno to, co obejmuje... Więc pomniki przeszłości i szynki, — szynki i literaturę, — sztukę i znów szynki... A dalej widzi tylko swego hotelarza-wyzyskiwacza, lokaja-nieuka i prostytutkę... Widzi tylko to, co mu Babilon oglądać pozwala.

I ziemia polska słucha zwierzeń duszy gniewnej — słucha, dziwi się, oponować nie śmie!

„Francya jest strupieszalą, głuchą, zastygłą pierśią“. „Francya jest dniem wczorajszym — a ziemia polska jutrem i dniem dzisiejszym!“... Bo „ziemia

polska ma czystą poezję“ i, między innymi, poetę, który do niej właśnie przemawia!

Ziemia polska ma na ustach nieśmiałe pytanie, że często przecież ten sam poeta, miast jej radość życia nieść, krzepić — dzieła swoje wypełnia zbrodnią, cudzołóstwem, śmietnikiem. Że często ten sam poeta spotwarzył lud polski, bo z chat i dworów dał jeno to, co jest chat tych i dworów pomiotem! Więc skądże naraz racya poety, że tę, potworami wypełnioną, ziemię czeka przyszłość, że te mizerne serca dzisiejsze polskie stoją ponad francuzkami, że to skołatane, skłócone społeczeństwo ma moc nad mocami Babilonu?

Lecz ziemie polskie nie wymawiają tego pytania. Wołą ułudę, wołą pychę zgłodniałego hidalga i otulają się skwapliwie dziurawym płaszczem dumy przemożnej.

Uśmiechem pogardy żegna taki poeta Francję i wraca do kraju na to, aby śnić o ponownej wyprawie do tych burżujów bezdusznych, „nie czujących, nie umiejących czuć za miliony“...

Na szczęście dla ziemi polskiej podobni poeci nie są bynajmniej jej wyłącznym produktem. Przeciwnie, Polacy, dogryzający jeszcze szczątków romańskiej kultury, a pretendujący, nie wiadomo z jakiej racyi, do miana „Francuzów północy“, bywają wyjątkowo łaskawymi w sądach o Francyi. Wyroki o niej tam bowiem pełni potępienia sięgają, gdzie Francya razi przybysza nie tylko odrębną kulturą ale i ustrojem politycznym, i budową maszyny rządzącej, i brakiem wyglądu militarnego i tego wszyst-

kiego, co gdzieindziej jest co kroku znakiem władzy, rangi, potęgi i przywilejów, co gdzieindziej trzyma na wodzy każdy ruch przechodnia ulicznego, — gdzie Francya razi brakiem tej głębi postępu berlińskiego, który jeno dworskim samochodom zachowuje przywilej trąbienia trójttonowym sygnałem, niewołąc samochody zwykłych śmiertelników do beczenia jednotonowego. Tu poczyną się i walka ukryta i chęć poniżenia Francyi, zbagatelizowania, zaćmienia, wyprzedzenia Babilonu.

I dzieje się rzecz niesłychana, niepojęta.

Ów zdemoralizowany, zbutwiały Paryż, owa padająca w gruzy Francya staje się co chwila wyrocznią, co moment pierwowzorem, co kroku probieżem. Nadsprejska stolica wyteża wszystkie siły, aby w swych murach dźwignąć choć skrawek Paryża, — nie masz na starym kontynencie miasta cywilizowanego, któremuby się nie śniły kontury współczesnego Babilonu! Wszak nie tylko Albion-wielkolud, lecz i Medyolan i Kopenhaga roją o osiągnięciu skali, czaru, który by pozwalał im mierzyć się z gniazdem zepsucia, z departamentem niższej Sekwany!

I miasta europejskie prześcigają się w naśladowaniu Paryża, w przyjmowaniu jego urządzeń, inowacyi a nawet w potęgowaniu ich. Budują koleje podziemne, zaprowadzają samochody, omnibusy z „imperialami“, stawiają pomniki, łuki tryumfalne, dorożkarzy stroją także w białe cylindry, mają swoje Louvre'y, swoje Wersale, swoje pola Marsowe, swoje opery, jeszcze wspanialsze muzea — i podotąd urokowi Babilonu nastarczyć nie mogą.

Tajemnica uroku tego jest tajemnicą duszy francuskiej jest tajemnicą jej potęgi, jej samodzielności, jej niezależności, jej indywidualności.

Francuz od wieków nawykł tylko własnym siłom ufać, samemu zdobywać, na nikogo się nie oglądać, bronić się przed tem, co nie swoje, co obce, co nie w jego sercu poczęte.

Francuz wie, że tym zachodem Europy, który jej słońce nowożytnej cywilizacji rozpałił, on był i on jest podotąd, że obowiązkiem jego jest promieniować, dawać a nie brać.

I Francuz z tem przekonaniem, z tą wiarą, z tą, jeżeli kto woli, zarozumiałością tak się zrósz, zżył, że ta stała się częścią jego mózgu, jego nierozdzieloną jaźnią, jego pancerzem, przed każdym uderzeniem geniuszu, talentu, pracy czy wogóle kultury cudzoziemskiej.

To ukształtowanie się indywidualizmu francuskiego można przypisać nie tylko historii Francji, nie tylko spadkowi, wziętemu po Rzymianach, ale i klimatowi i przymiotom naturalnym ziemi i jej położeniu geograficznemu. Lecz nie o rodowód idzie, jeno o stwierdzenie, że wieki urobiły współczesną duszę francuską, że negacya ryczałtowa cudzoziemczyzny jest dziś naturalnym odruchem Francuza.

Pogodny, jasny, logiczny, bystry, jego umysł nie dlatego pozostał nie wzruszonym na mgły świetlane filozofów niemieckich, żeby świadomie chciał ich lekceważyć, ale że ich nie rozumiał, że najjaśniejszych mgieł nawykł unikać. Nie dlatego Francya ledwie na kurtuazyjny komplement zdobywa się dla

Ibsena, żeby nie mogła znieść wielkości norweskigo pisarza, jeno dlatego, że własne jej niebo nie posiada równie ołowianych chmur.

Zdarza się niekiedy, że Francya da się unieść entuzyazmowi dla imienia lub hasła cudzoziemskiego. Trwa to krótko atoli. Odda sprawiedliwość, uchyli pióropusza i wraca do własnej brony, do własnego pługa, nie porażona obcym wpływem, niezależna dla swej dalszej pracy twórczej.

Tak było przed kilku laty z Tołstojem, który przybył nad Sekwanę z Dostojewskim wraz z nowemi zawołaniami politycznemi. Francya z zapalem powitała dzieła tych pisarzów, przeczytała je i raz jeszcze się przekonała, że te mroki cudze nie pożywią jej, nie dźwigną jej natchnienia, nie pokrzepią jej serca, że to chora strawa potępieńców, barbarzyńców, a nie nektar atteńczyków.

Francya jest otchłanią dla wszystkiego, co nie francuzkie, co nie dostrojone, nie złane z jej własnem pojęciem. Żadnej i dla nikogo litości, żadnego zmiłowania. Cudzoziemcom wszechludzkiej zasługi Francya hołd składa ostatnia i jeszcze częstokroć broni im wstępu w swoje progi, wypędza, odprawia. A jeżeli sprzyja im to chyba tym, którym ma prawo powiedzieć — z mego łona wzięłeś moc swoją, mojej cywilizacyi, mojemu środowisku winieneś swą wielkość, przybrany mój synu.

Zachłanność francuzka bynajmniej nie ogranicza się na umysłowym ruchu, zachłanność ta jest cechą, cnotą, czy stroną ujemną, całego ludu francuzkiego, całej ziemi. Nie tylko dla inteligenta, lecz i dla pro-



staka, co zagraniczne, co obce, co cudzoziemskie, to złe, to niższe, to nikczemne, tego należy się strzedz, temu nie wolno zaufać.

W tej mierze nawet międzynarodowcy z oddziału Hervégo, nawet socyal-rewolucyoniści Jaurès'a nie są łaskawszymi od prawych potomków Chauvin'a. I tu międzynarodowość zawsze gotowa jest zmiażdżyć śmiałka, który by się ważył narzucać cudzoziemczyznę.

Odporność francuzka jest w tym razie tak nieubłagana, że często aż oburzającą, aż fanatyczną, bo krzywdzącą i dorobek godny uwagi, bo lekceważącą i rzetelną zasługę, bo nareszcie niebezpieczną dla samej Francyi... Wszak ten, co pragnie przodować, musi baczyć na innych, musi liczyć się z tem, co czynią inni, co wykrywają inni. Francya niemal odrzuca tę zasadniczą przezorność ludów. Ustępuje rzadko i tylko pod gniotem ostateczności.

Jest to lekceważenie, zaślepiona ignorancja — powiedzą Niemcy, Anglicy. — Nie, to jest właśnie moc Francyi, jej tężyzna, jej instynkt samozachowawczy, nieodzowny warunek jej wpływu kulturalnego.

Każdy inny naród mógłby, przy tak pojętym indywidualizmie spleśnieć, zginąć. Niechybnie, bo gwiazdom, które pożyczanem światłem się żywią od wieków, nie wolno o samodzielnych skrach marzyć. Lecz naród, który nawykł wystarczać samemu sobie, który, po za swojemi granicami, nie szukał ani wzorów, ani piękna natury, ani urządzeń społecznych, którego myśl umiała stać się pionierem

ludzkości, który obocześnie ma i przeszłość i polityczną jaźń i ekonomiczną niezawisłość, a który pracuje bez wytchnienia, pracuje z zapalem — taki naród, wyrzekając się swego indywidualizmu, swej „ignorancyi“, nie wątpliwie musiał by wyrzec się i swego przodownictwa.

Francya jest otchłanią dla cudzoziemczyzny. Francya nie potrzebuje ku temu żadnych praw ochronnych, żadnych zakazów, żadnych murów chińskich. Otworem stoi dla wszystkich. Na każdego przybysza się zgadza, każdemu pozwala czynić, co mu się podobą. Nie broni mu ani stowarzyszeń, ani języka, ani stroju odrębnego, ani własnego sposobu życia. Ale, gdy ten przybysz do pracy, twórczości ducha francuzkiego zamierza się wcisnąć — wówczas nie zwalcza go, lecz odtrąca, wówczas nie prześladowuje go, lecz zbywa uśmiechem, milczeniem.

I ten, który śnił o podbiciu stolicy świata, któremu marzyło się zwycięstwo nad zwycięstwami, ziele pomstą. Sprawiedliwą pomstą. Nie tylko szpady nie chciano z nim skrzyżować, lecz nie zauważono nawet, rzuconej przezeń, rękawicy...

## **RZUT OGÓLNY.**

Siła twórcza Francyi i jej nieznana potęga. — Prężność, rzutkość, baczność społeczna i polityczna. W pogoni za słońcami. — Narody, które nie błędzą. — Źródła mylnych o Francyi wyobrażeń. — Rewolucjonista na trybunie deputowanych. — Osłabienie różnic partyjnych. — Wywrotowcy u władzy. — Arystokratyzm wrodzony i dążność do równości. — Hierarchie i tytuły. — Czy powróci, co minęło.



Nie wiele zaiste byłaby wartą zachłanność indywidualizmu francuzkiego, gdyby ten ostatni nie był twórczym, gdyby nie podniecał, nie był przewodnią pracy, gdyby na negacyi poprzestawał, gdyby nie dawał Francyi, ościeni, mocy przeszłości i przyszłości.

Wiele, niezmiernie wiele, mówi się i pisze o dziejach, które poprzedziły współczesną, Trzecią Rzeczpospolitą, a które rozegrały się na krótkiej, bo nawet nie stuletniej przestrzeni czasu. Ze zgrozą wypomina się łuny strasznych rewolucyi, terrory młotochu ulicznego, ze smętkiem, dla zmienności losu, wylicza się abdykacye, niedolę wygnańców królewskich i miłości ludu francuzkiego niestałość. Często rozprawia się o dwudziestoczteroletniej wojnie, którą Francya wiodła, jako Konwent, jako Dyrektoryat, jako konsulat i jako pierwsze cesarstwo, często liczy się trupy 2800 ofiar, zgilotynowanych na placu Zgody, często truchleje się na myśl, gdy, podczas grozy pruskiego najazdu, szalał potwór wojny domowej, bratobójczej.

My te dzieje znamy! Wiemy, iż nie masz znacniejszego a wczorajszego gmachu w Babilonie, którego by nie zbryzgała miazga krwawa obywatela Francyi.

Tu, gdzie kolumna lipcowa, dźwiga geniusza

wolności, tu lud paryzki pięściami rozbijał mury Bastylji. Tu, gdzie wznosi się pomnik marszałka Ney, tu leżał on rozstrzelany. Tam, gdzie echo pijanej muzyki chwałę sprośności Montmartru, w przekonaniu cudzoziemca, utrwała, tam, na placu Pigalle, krew komunardów rynsztokami płynęła, tam, na placu Clichy, marszałek Moncey, ciałami własnych żołnierzy, stawiał barykady sprzymierzonym wojskom, w roku 1814.

My znamy te cmentarzyska, na których wre dzisiaj życie Paryża. I my bolejemy, że głuchym, pustym komnatom Wersalu brak tych niebiańskich metres, tych uroczych pań La Vallière i Montespan, że sielskiemu poematowi Maryi Antoniny brak, w Małym Trianonie, tej roześmianej, skrzęcej się dowcipem, wytwornej gromady dworaków, zabawiających się, z królową na czele, w idyllę.

My wogóle, z Baedekerem w rękę, posiadamy niesłychaną dla każdego zakątka Babilonu, erudycję. Wiemy bez wątpienia więcej od rodowitego Francuza, niby pacholę, które, wróciwszy ze szkoły, zdumiewa się, iż jego rodzic nie potrafi wyliczyć tchem jednym wszystkich wulkanów.

Ale, wzamian, nie wiemy nic o potędze, która narodowi francuzkiemu pozwalała tylokrotnie odradzać się z popiołów zniszczenia, która tyle mu pozwoliła przetrwać bezkarnie, która nigdy nie dała mu rąk opuścić ani zwątpić o sobie. Bo nie doceniamy dotąd potęgi indywidualizmu francuzkiego. Bo on, ten zachłanny z zaślepienia i obskurantyzmem



graniczący, indywidualizm jest tylko tej potęgi ludu francuzkiego tajemnicą.

On to sprawia, że Francuz tylko do pewnego punktu karność społecznej i politycznej daje się prowadzić, że, porwany szaleństwem anarchii, umie się ocknąć i wrócić z manowców na równą drogę rozwoju, że, idąc naprzód, nie pali za sobą mostów tradycji, że pozwala się usypiać, lecz jak człowiek, który zawsze w porę obudzić się jest zdolny, że najpierw jest obywatelem kraju, a potem pyłkiem w masie ludu.

Indywidualizm zbroi Francuza w samodzielność, zmusza do zastanowienia, do baczenia, że czyn jednostki waży na szali czynu całego społeczeństwa i w imię tego przekonania do czci dla jednostek ale i do nieubłaganej dla nich surowości.

Tym przymiotom rozwój Francji zawdzięcza swą zdumiewającą prężność. Upadek władców, luminarzów, przewodników nie powoduje tu nigdy upadku narodu. Łożysko politycznego i społecznego ustroju może tu załamywać się, zmieniać kierunek, lecz biegu życia nie powstrzyma. Upadek cesarstwa Francuz umie przyjąć z równie filozoficzną rezygnacją, jak Restaurację Burbonów, powrót Bonapartów lub odrodzenie Rzeczypospolitej. Zapał, uniesienie, entuzjazm Francuza nie słabnie, nie ustaje. Nigdzie śladu tej przepastnej, ponurej rozterki, która odrętwia ludy wschodu, ludy północy, za byle mocniejszym podmuchem dziejowej wichury.

*Le roi est mort — vive le roi* — woła Francuz co dnia, co godzina, byle ducha krzepić, byle pędu nie

zwolnić. Wszystko mu jedno, czy zawołanie stosuje się do prawdziwego władcy czy symbolicznego. Gdy mu brak mocarzów, mężów, ojców narodu, w grono staje zdomi artystę, poetę, lekarza, wynalazcę, awiatora, byle z gronostajów tych tężyznie społecznej nową otuchę zgotować, byle nie gnuśnieć, byle wierzyć w moc swoją i moc swoją miłować.

Co więcej, w tej pogoni za nowem słońcem, nową gwiazdą, nowym śladem geniuszu, Francuz błądzi niejednokrotnie — ale jak każdy człowiek, który czyni, który działa, który myśli, który nie jest przeżuwaczem powszedniej sieczki, który w pierwszym idzie szeregu, a nie w taborze cywilizacyjnego pochodu ludzkości.

Rzutkość Francyi jest jej poczytywana za płochość i lekkomyślność — niesłusznie. Jeny narody wątle, śpiące, zastygłe nie popełniają błędów, nie przechodzą przez krzyżowe ognie doświadczenia. Jeny ubodzy duchem mogą zdumiewać się, że najmizerniejsze miasteczko hiszpańskie posiada już elektryczne światło! Jeny ludzie powierzchowni dziwią się, że Babilon współczesny dał się tym miasteczkom hiszpańskim wyprzedzić. Bo te przestarzałe latarnie gazowe, a nawet naftowe, sąsiadujące z elektrycznością w Paryżu, są właśnie wyrazem postępu, rozwoju, ścigania pilnego każdego drgnienia myśli. A ta hiszpańska elektryczność dowodzi, że przez dziewiętnaście wieków czekano tam daremnie na błysk światła.

Lepszym, dosadniejszym przykładem może być porównanie miast Stanów Zjednoczonych Ameryki

z prastaremi miastami Europy. Wszak pierwsze są temi dorobkiewiczami, które poczęły się z tego, co technika, wynalazczość, cywilizacya europejska mają za swe ostatnie słowo. A przecież te miasta właśnie rażą bezdusnością, płytkością, obskurantyzmem i monotonią.

Cóż by się stało z urokiem Paryża, gdyby jego rozkwitowi, jego samochodom, kolejom podziemnym, windom, i wogóle ulepszeniom, udogodnieniom czy udoskonaleniom zabrakło tła odwiecznych murów, odwiecznych uliczek, zaułków i ruder?

Siła kulturalna narodu mierzy się stuleciami, a nie latami. Zasługa jest udziałem nie tego ludu, który przychodzi do gotowego, który imponować chce tem, na co inni pracowali wieki, lecz tego jedynie, który pochłubić się może świadectwami własnego znoju, który nawet dla ogarka żywi i zachowanie i wspomnienie, a który lampy żarowej nie ma dla się za kres.

Cywilizacya nie jest bynajmniej ową czarą mocy, czarą, którą dość wychylić, aby swój umysł surowy, pierwotny, napełnić jasnością, a ducha wielkiego w nim wzbudzić. Umysł surowy niekształcony, nie urabiany szczeblami rozwoju, po wysączeniu tej czary, albo, pod powierzchowną cywilizacyą kryć będzie naturę Papuasa, serce Pigmeja, a upodobania Atylli, albo słaniać się będzie odurzony, pijany, bardziej zbłąkany, niż gdy bóstwem jego był drewniany fetysz, a strażniczką cnoty — lęk.

I dlatego ludy cywilizacyjnie zaśniedziałe, bierne, nie urobione, martwe, muszą błędnie sądzić Francye,

bo pojąć nie mogą, że to, co ich wycieńcza, co wie-  
dzie ich na manowce, może innych krzepić, podnie-  
cać, tworzywem im być.

I dlatego Marx, Engels, Bakunin, na wschodzie  
Europy, rodzą jeno utopie, jeno pesymizm, jeno sza-  
motanie, jeno tęsknotę do epoki kamienia łupanego,  
do jaskiniowego bytowania, do wyrzeczenia się, dla  
Tołstoja, wszystkiego, co myśliciela z Jasnej Polany  
wydało.

I dlatego Marx, Engels, Bakunin, Kropotkin i Toł-  
stoj są jeno potomkami, jeno spadkobiercami, jeno  
epigonami, rzadko równie potężnymi, jakimi byli  
we Francyi Quesnay, Voltaire, Rousseau, Jacob  
Roux, Saint-Juste, Babeuf, Proudhon, Saint-Simon,  
Fourier, Flourens.

I dlatego Francuz ma dla swych nowoczesnych  
apostołów anarchizmu ten sam prastary uśmiech  
pobłażania, tą samą pogodę ducha, toż samo filo-  
zoficzne westchnienie, toż samo bodaj zwątpienie,  
jakie miewali przodkowie jego przed laty, gdy, miast  
zapowiadanego wyzwolenia, patrzyli bądź na prze-  
moc, na gwałt i terror, bądź oglądali waśń niszczącą  
falanstery fourierowskie i komunistycznych urządzeń  
nicość.

Wschód Europy, w obliczu ślepcy przeistocz-  
nego w jasnowidzącego, drży. Drży słusznie, bo wczor-  
ajszyszy nieuk jawi mu się w mrokach nihilizmu, bo  
miast budować, usiłuje burzyć, bo nie wyrzekł się  
jeszcze wiary w pieść i żagiew, bo surowy jego mózg  
nie mocen jest strawić tego, co wchłonał.

We Francyi, wódz socyal-rewolucjonistów, Jau-

rès, przed rokiem niespełna, gdy w Izbie Deputowanych zawisł miecz nowych haraczów spadkowych, gdy szło o opodatkowanie i ciężkie milionowych dziedzictw, gdy tem samem wyłoniła się obawa, czy zbyt wielki podatek spadkowy nie położy granicy oszczędności, sporzeniu bogactwa, myśli o zapewnieniu przyszłości rodzinie — socyal-rewolucjonista Jaurès wypowiedział się za umiarkowaniem, za nieprzeciąganiem struny, bo mówił „chcemy mieć Francję zamożną, chcemy by, w godzinie działań, było coś do dzielenia“...

To orzeczenie wodza socyal-rewolucjonistów francuzkich może posłużyć za miarę siły logiki umysłu francuzkiego, umysłu, który nie kusi się o chwilowe zwycięstwo, który wie, że zamach stanu niweczy się zamachem stanu, lecz owoc spokojnej a natężonej pracy społecznej zostaje, że co innego krańcowość pamfletów partyjnych a co innego czyn.

W przeciwieństwie do Jaurèsa można by przykładami udowodnić, że jak socyal-rewolucjonista francuzki ma dla istniejących a wczorajszych zasad pełne zachowanie tak i konserwatysta bynajmniej nie rzuca anatemy na ruchy nowatorskie. Bo ta pomieniona siła logiki umysłu francuzkiego chroni i pierwszego i drugiego przed bezwzględnością, przed zamknięciem oczu bądź na promienie zachodzącego słońca, bądź na blaski zorzy.

Stąd barwy francuzkich kierunków społecznych i politycznych zachowały tyle tylko różnic, tyle ja-skrawości, ile trzeba na utworzenie tęczy, ile trzeba ruchu na żywienie tarcia, na niecenie skier. Po za

tem, skrajny legitymista i rojalista stoi tuż obok republikanina a w pobliżu socyalisty.

Walka o władzę, o przywileje, o wpływy zaostrza niekiedy różnice, skłania do gwałtowniejszego machania sztandarami. Trwa to atoli krótko... Gdyż nawet, gdy nadchodzi ów moment groźny, że u steru nawy państwowej staje człek za wywrotowca, za burzyciela okrzyczany, za zapaleńca, utopistę obwołany, jak Clemenceau, jak ostatnio Arystydes Briand, — ten sam wywrotowiec, ten sam postrach wszelkiej stateczności monarchicznej — przedzierzga się w męża stanu, w przewodnika czujnego, mającego zawsze na widoku pomyślność całego narodu a nie jednej tylko jego warstwy.

Europa, nie pojmując logiki umysłu francuskiego, nie może sobie dać rady z temi metamorfozami i dziwi się, że palacz, podjąwszy się pracy sternika, steruje a nie pali pod kotłami okrętu! Dziwi się, że nowy sternik liczy się z nurtem, z falami, z kierunkiem wiatru, że widzi rafy i skały, o istnieniu których wczorajszy palacz mógł nie wiedzieć i nie potrzebował wiedzieć.

Na ten temat płytka złośliwość europejska szerzy rozmaite koncepty o rzekomych sprzeniewiercach, renegatach i zaprzańcach francuzkich.

Równa się to drwieniu z rozsądku, z dojrzałości narodu, z jego jednolitości. Co więcej, tę jednolitość zwie się najniesłuszniej zdemokratyzowaniem Francyi, w ujemnem znaczeniu sprowadzania największych liczb do najmniejszego mianownika przeciętności. Tymczasem nigdzie duch demokra-



tyzmu szerszych nie zaznaje klęsk i nigdzie na równie bezdźwięczne nie zeszedł hasło.

Francya dzisiejsza ani na chwilę nie roіła i nie roi o szczepieniu idei, które bezwzględnego mają nieprzyjaciela w naturze jej obywateli.

Każdy Francuz był i jest urodzonym arystokratą, był i jest nim, dzięki indywidualizmowi, dzięki pochodzeniu i urabianiu go przez wieki. Kogut gallijski w tej mierze nic nie uronił ze swego zamiłowania do ambicyi, dumy, władania, do królowania bodaj w najuboższym kurniku.

Francuz traci zachowanie dla tej lub innej hierarchii, lecz hierarchie wogóle uznaje zawsze. Życie swe podzielił na tysiące szczebli, szczebli nieznanych gdzieindziej i szczeblom tym hołduje, boć wszystkie one wiodą na szczyt. Żaden Francuz nie szuka uroku dla siebie w zejściu bodaj na chwilę z zajmowanego stanowiska, bodaj o jeden stopień niżej. Szlachcic kostromski miewa momenty pociągu do długich butów, rubaszki, przepasanej rzemieniem, cuchnącej okowity i strawy powszedniej chat mużyckich,—szlachcic francuzki upodobań takich nie rozumie.

A więc jedyną drogą, wiodącą do zatarcia różnic stanowych, było i jest dla Francyi zarystokratyzowanie upośledzonych, podźwignięcie ich ku wyżynom, uspołecznienie, uobyczajnienie.

I w tym kierunku Francya dokonała niezmiernie wiele. Nawyknięcia kulturalne, pojęcie o rzeczach, rozrywki, ceremoniał nawet uroczystości rodzinnych wydarła przywilejom gromadki, już nie mówiąc o oświacie, stanowiskach państwowych, spo-

łecznych i towarzyskich. I sprawiła, że nie dlatego wczorajszy wersalczyk przestaje z synem chłopa, dzieckiem poddasza rzemieślniczego, że przejął się prawem równości, że uwierzył wreszcie, że nie jest godniejszym, z lepszej ulepionym gliny, jeno dlatego, że syn chłopa, dziecię poddasza dorównywa mu po-  
lorem towarzyskim, obyczajnością, a często przewyższa wykształceniem. Wersalczyk wczorajszy jeszcze tem chętniej przestaje z synem chłopa, dzieckiem poddasza, że, w obcowaniu z nim, znajduje pełnię uszanowania należnego krwi błękitnej... że nigdzie może tytuły i szlacheckie korony nie posiadają takiego uroku, jak na ziemi, która ich praw szczególnych pozbawiła, i nigdzie podobno nie grasuje tylu podrabianych arystokratów...

Zwolennicy monarchizmu widzą w tem atut dla obalenia Rzeczypospolitej, — niechętni mają ten objaw za mieszcuchostwo, za płytkość, za snobizm dobrobkiewiczów amerykańskich.

Niezawodnie, jak w każdym społeczeństwie tak i we francuzkiem są osobniki, których treścią życia jest marność uczuć, — ogół atoli Rzeczypospolitej i w hołdowaniu tytułowi jest głębokim i jest tylko szczerze liberalnym.

Wszak ci nie kto inny jeno Trzecia Rzeczpospolita podźwignęła zwaloną przez komunę, kolumnę na placu Vendôme, — wszak ona postawiła drugi i wspanialszy pomnik Joannie d'Arc, — wszak ona krocie wydaje na zachowanie pałaców, pamiątek, posągów, muzeów, uprzytomniających czasy Ludwików, Medycyuszów, Walezyuszów, Napoleonów, — wszak

ona uczyniła te zabytki dostępnymi, popularnymi, —  
 jednak ona nawet skinieniem nie próbuje świetności  
 burbońskiej umniejszyć lub przytłumić świadomość  
 narodową na czasy minione, na cnoty i zasługi Maza-  
 rinich, Bayard'ów, Richelieu'ów, La Rochefoucauld'ów,  
 Malesherbes'ów, czy Vauban'ów.

Ten sam liberalizm, ta sama cześć dla pozosta-  
 łości z czasów minionych, dla ciągłości dziejów, tkwi  
 w zachowaniu, dla imion przypominających swem  
 brzmieniem to, co minęło, co nie powróci.

Czyż doprawdy nie powróci? Czyż Francya zdoła  
 długo wytrwać przy dzisiejszej formie rządu? Na to  
 trzeba odrzec: że forma rządu może się zmienić —  
 społeczeństwo atoli, lud francuzki się nie zmieni,  
 nie cofnie się, jeno pójdzie naprzód; że republika-  
 nizm jego dzisiejszy nie ma pychy udawania kresu  
 obywatelskiej szczęśliwości; że, w chwili, gdy całe  
 ludy mają parlamentaryzm współczesny francuzki  
 za przyszły ideał konstytucyjnego rozwoju, — Fran-  
 cya, i sama nadewszystko, widzi braki i złe strony  
 tego parlamentaryzmu i nowych dlań szuka podstaw,  
 nowych norm.

Na te zapytania, trzeba jeszcze rzec, iż nie masz  
 podobno we Francyi republikanina, który by nie  
 przyznał, że najwspanialszą, najlepszą formą rządu  
 jest silna władza mądrego, dobrego i sprawiedliwego  
 króla, — ale i nie masz podobno na świecie Francuza,  
 któryby nie pamiętał, że i ci mądrzy, dobrzy, spra-  
 wiedliwi królowie miewają nietylko złych, przewrot-  
 nych, lecz, co straszniejsze dla ludu, nieudolnych  
 spadkobierców.



## TRZECIA RZECZPOSPOLITA W LICZBACH.

Skala porównawcza. — Obszar i ludność. — Sprawność polityki zewnętrznej. — Kolonje i nowe jej zdobycze. — Polityka wewnętrzna. — Dług państwowy i liczby budżetów. — Odwrotna strona wydatków. — Stan oświaty, jego cyfry i prądy. — Dobroczynność publiczna i wzajemna pomoc. — Finanse. Wywóz i przywóz. — Renta. — Koleje, ruch ładunkowy statków, produkcya. — Byt jednostek. — Kasy oszczędności. — Sukcesye i donacye. — Wynagrodzenie za pracę. — Konsumcya, dobrobyt i zdrowotność. — Wnioski.





Gdyby rok poczęcia się Trzeciej Rzeczypospolitej a upadku drugiego cesarstwa wziąć za miarę porównawczą dla liczb Francyi współczesnej, można by do zgoła błędnych dojść rezultatów. Francya bowiem, w latach 1870—1871, przeżywała dni ciężkich, a szczególnych klęsk. Więc, choć za wielką zasługę Trzeciej Rzeczypospolitej trzeba poczytać, że dźwignęła Francję z ruiny politycznej i ekonomicznej, nie mniej pokojowego rozwoju nie podobna zestawiać z czasami wojny, walk bratobójczych i odrętwienia pracy.

Jedyną skalą dla dzisiejszej Francyi republikańskiej może być chwila potęgi drugiego cesarstwa, chwila, gdy, tuż po wystawie powszechnej w roku 1867, po wizytach w Paryżu niemal wszystkich monarchów europejskich, państwo Napoleona III. zażywało pełni mocy i powagi, gdy życie ludu francuzkiego normalnym płynęło korytem, gdy o chmurach na przyszłą burzę dziejową nawet słychu nie było.

Chwila ta przypada na lata 1868 i 1869. Ona dopiero, w zestawieniu z chwilą obecną, władną jest dać podstawę i materyał do wnioskowania o arkanach i prądach społecznych i politycznych, obyczajach, przyszłości, o rozkwicie, czy uwiądzie Francyi dzisiejszej.

Trzecia Rzeczpospolita, jako obszar terytorium europejskiego, jest mniejszą od drugiego cesarstwa o 14 tysięcy kilometrów kwadratowych, ustąpionych Niemcom wraz z 1,570.000 mieszkańców, przy zawarciu pokoju frankfurckiego w roku 1871.

Ludność Francyi, w stosunku do cesarstwa (rok 1869) powiększyła się bardzo nieznacznie, bo z 38 milionów przekroczyła, w roku 1906, zaledwie trzydziesty dziewiąty milion.

Szczegół ten należy dobrze zapamiętać i nie dla stwierdzenia bezpłodności, bo ta dosadniejszych liczb wymaga, lecz dla docenienia prawdy, że rozrost Francyi, w bardzo słabej mierze, jest wynikiem mnożenia się ludności, i że ten rozrost nie może być porównywanym z rozrostem, na przykład, Niemiec, którym, w tym samym okresie czasu, przybyło z górą 20 milionów nowych rąk do pracy, nowych sił.

W Niemczech konsumpcya, produkcya, potrzeby kulturalne są głównie wynikiem żywiolowego parcia nowych milionów, — we Francyi parcie to musi poczynać się nadewszystko ze świadomego i celowego wysiłku społeczeństwa. Tam, gdzie przed laty mieszkalo, żywiło się i bytowało 38 Francuzów, tam, dla jednego nowego przybysza, nie potrzeba było ani stawić nowych gmachów, ani nowych izb, ani nowych dlań szukać źródeł zarobkowania. Tam atoli, gdzie, miast 40 Niemców, jawi się 60, tam budowanie nowych gmachów, nowych izb, tworzenie nowych ognisk, nowych źródeł zarobkowania jest koniecznością i stąd nie może być dowodem polep-

szenia się bytu ludności, ani dowodem większego napięcia pracy jednostki obywatelskiej.

Sprawność zewnętrznej polityki Trzeciej Rzeczypospolitej, bacząc na niechęć mocarstw do formy rządu Francyi, bacząc na jej pogrom ostatni i na trudności, wypływające z częstych zmian kierowników nawy państwowej, była niezmiernie energiczną i owocną. Dyplomacya, bez rozlewu krwi, wróciła Francję do szeregu państw naczelných, zjednała jej sprzymierzeńców i umiała nie tylko groźnego, a odwiecznego swego nieprzyjaciela utrzymać w szachu, lecz zawiesić nad jego głową miecz odosobnienia politycznego. Równocześnie troszczyła się nie tylko o wpływy na bieg spraw międzynarodowych, nie tylko o traktaty handlowe, lecz i o nowe zdobycze, o pomnożenie obszarów władania. I w tym kierunku do zdumiewających doszła liczb. Kolonje Francyi i protektoraty z 1,186.007 klm. kwadratowych z 3,772.040 ludności za cesarstwa — osiągnęły 10,293.844 kilometrów kwadratowych posiadłości z 46 milionami mieszkańców \*).

Godzi się podkreślić, że te zdobycze były dokonane w czasach silnego współzawodnictwa kolonialnego państw europejskich i w czasach gdy, na globie ziemskim, nie było już lądów nieznaných, o które by się dyplomacye mocarstw nie chciały ubiegać, spierać. Podróżnicy do krajów dziewiczych przestali być awanturnikami, desperatami, o losy których nikt się nie troszczył. Za byle włóczęgą, szukającym zło-

---

\*) *Statistiques Coloniales pour l'année 1906.*

tego runa, w afrykańskich puszczech, stało całe państwo, o byle łotrzyka, ssącego naiwność chińskiej miejsciny, upominała się cała armia, — skrawek w rodzaju Fachody nie tylko zatarg wywołał z Anglią, lecz do wojny wiódł.

Ale i tych wspomnień nie dość na uwypuklenia pełni mocy polityki francuzkiej.

Pionierem naturalnym zaborów i wpływów kolonialnych państw jest mnożenie się ludności, brak wolnej przestrzeni na miejscu i, co za tem idzie, emigracja dla chleba, dachu, nowych rynków zbytu, dla nadprodukcji życia i pracy.

Dyplomacya państwa, posiadającego takiego naturalnego pioniera ma drogę utorowaną. Ma bowiem na obszarach, które zamierza dopiero zagarnąć — zastęp sprzymierzeńców, zastęp obeznany z krajem, jego obyczajami, językiem i stosunkami politycznymi, posiada rację stanu dla rzekomego bronięcia swoich poddanych i rację, znajdującą tem samem echo sympatyczne całej swej ludności, gdy zagarnięcie musi być połączone z nakładem pieniędzy i krwi.

Francya współczesna marzyć nie może o podobnym pionierze. Emigracja francuzka jest mniejszą niż emigracja dwuipółmilionowej Danii i jest o wiele mniejszą od imigracyi cudzoziemców do Francyi. Obywatel Trzeciej Rzeczypospolitej woli suchy kęs chleba nad brzegami Loary niż kochinchińskie świętności. Ziemię ojczystą opuszcza jedynie pod przymusem, — opuszcza ją rzadko, bo przymus taki rzadko nań spada. Od lat dwudziestu raz jeden

i tylko, w roku 1907, emigracja francuzka dosięgnęła ośmiu tysięcy ludzi i to w roku zamykania klasztorów i masowego wyjazdu zakonników.

Przeciętnie zaś, liczba emigrantów francuzkich, do krajów pozaeuropejskich, wynosi pięć tysięcy rocznie. Gdyby za tem przypuścić, iż całe te pięć tysięcy wyciąga do kolonii Trzeciej Rzeczypospolitej, to jeszcze byłaby to za mała ilość na uzasadnienie tak potężnych zdobyczy terytoryalnych.

Nie należy w tej chwili do przedmiotu zastanawiać się, bodaj nawiasowo, czy wogóle zaborcza polityka kolonialna Francyi jest moralną, czy 46 milionowa ludność obcoplemienna długo wytrwa w zależności od metropolii — idzie tu jedynie o stwierdzenie, że Francya dzisiejsza, pomimo wszelkie trudności i przeszkody, pomimo, że nie ma za sobą entuzjazmu społecznego dla mnożenia obszarów, — posiadała tyle mocy i prężności politycznej — że, na przestrzeni ostatnich czterdziestu lat, przodowała mocarstwom silniejszym i do kolonialnych zwycięstw przez naturę uzbrojonym.

Lecz najświetniejsze tryumfy polityki zewnętrznej państwa schodzą do zera, jeżeli obocześnie polityka wewnętrzna nie święci przynajmniej równorzędnych zwycięstw. Co więcej, te jeno tryumfy zewnętrzne rokować mogą pomyślność zdrową, które są zbyt-kiem mocy wewnętrznej, a nie sztucznem jej natężeniem.

Trzecia Rzeczpospolita pilnie i tej drugiej hołdowała zasadzie i doczekała się rezultatów bajecznych

i w warunkach, zdolnych na wieki zubożyć najbogatszy kraj!

Dług publiczny z 12 miliardów, za cesarstwa (rok 1869), podniósł się, już w trzy lata później, do 20 miliardów a ostatnio przeszedł potworną liczbę 30 miliardów. Budżet roku 1869 z dwóch miliardów podniósł się, w roku 1909, do 4 miliardów i zaczyna zbliżać się do pięciu! \*)

Ciężary więc podwoiły się, warunki dla rozwoju przemysłowego utrudniły.

Podatki bezpośrednie z 332 milionów zamieniły się w 508 milionów. Monopole państwowe a więc podatki w połączeniu z użytkowaniem zamiast 370 milionów, w roku 1869, muszą dawać 900 milionów. Domeny, które płaciły za cesarstwa 11 milionów, składać są obowiązane (rok 1908) 29 milionów franków haraczu.

Ale bo też wydatki państwowe wzrosły niewspółmiernie do przybytku ludności!

Trzecia Rzeczpospolita, miał 414,632 armii, utrzymuje pod bronią 600 tysięcy wojska lądowego; miał 380 milionów na budżet ministerstwa wojny Napoleona III — wydaje 859 milionów (rok 1906), 872 (1910) i 897 (propozycja na rok 1911)!

Marynarka cesarstwa kosztowała, łącznie z kolonjami, 163 miliony — dziś same kolonie pochłaniają 100 milionów a marynarka 333.

Lecz nie tylko w kierunku obrony państwowej Trzecia Rzeczpospolita podwoiła wydatki. Budżet jej

---

\*) *Bulletins de statistique et de législation comparée.*



i w innych działach nie mniej a bodaj więcej spo-  
tężniał.

Etat ministerstwa oświaty z 25 milionów pod-  
niósł się jedenastokrotnie, do 274 milionów (rok  
1909) franków. Sekretaryat stanu dla sztuk pięknych  
z  $12\frac{1}{2}$  miliona, które, w roku 1869, obejmowały  
utrzymanie ministerstwa dworu cesarskiego, doszedł  
normy  $18\frac{1}{2}$  miliona tylko na cel sztuk pięknych.  
Przyczem, nie wzięto tu pod uwagę wydatków nad-  
zwyczajnych na sztuki piękne, wydatków spowodo-  
wanych wystawami powszechnymi, jak, na przykład,  
w roku 1881 (27 milionów, w 1882 (20 mil.), w 1889  
(19 mil.) lub w roku 1900 (21 milionów).

Roboty publiczne, za cesarstwa, wyrażały się 113  
milionami, — za Rzeczpospolitą, jedynie w latach  
wojny (1870 i 1871) były niższe, — w roku zaś 1872  
już dysponowały 138 milionami, w roku 1888 prze-  
szły 200 a w roku 1909 przeszły 270 milionów.

Ministerstwo rolnictwa, w roku 1869, łącznie z mi-  
nisterstwem handlu, rozporządzało 12 milionami  
franków. Obecnie dwa te rozdzielone ministerstwa,  
w przeciętnej budżetów ostatnich, wydają około 100  
milionów rocznie.

Ministerstwo finansów z 20 mil. podniosło etat  
do 47 mil., — ministerstwo zaś spraw wewnętrznych  
z 60 milionów, za cesarstwa, w roku 1905 przekro-  
czyło 85 milionów a w 1909 — 132 miliony.

Jedynie w budżetach ministerstw sprawiedliwości  
i spraw zagranicznych Trzecia Rzeczpospolita obja-  
wiła umiarkowane podwyżki a raczej skąpstwo, wo-  
bec podrożenia artykułów żywności i licznej rzeszy

urzędników, których te dwa ministerstwa utrzymują. A więc 13 milionów na sprawy zagraniczne cesarstwa zaokrąglono do 19. Zato 36 milionom na sprawiedliwość dodano zaledwie dwa.

Oszczędność bezwzględna, w stosunku do budżetu cesarstwa, Trzecia Rzeczpospolita osiągnęła na liście cywilnej, która wynosiła, łącznie z kosztami na ciało prawodawcze, lecz bez ministerstwa dworu cesarskiego, — okrągłą sumę 38,983,500 franków (1869). Teraz lista cywilna prezydenta razem z kosztami na reprezentację i parlament czyni 19,612,260.

Nareszcie większą jeszcze oszczędność, — innego wyrazu i w tym niezwykłym wypadku rachunek nie uznaje, — zyskano na zredukowaniu a raczej unicestwieniu budżetu wyznań. Cesarstwo na cele wyznań łożyło 48 milionów, — Rzeczpospolita po 52 miliony od 1872 do 1884 a następnie po 43 przecięciowo aż do roku 1906. Tu budżet wyznań spadł do 800 tysięcy a w roku 1909 skurczył się jeszcze do pół miliona. W najbliższej zaś przyszłości zginie niewątpliwie w odmęcie drobnych wydatków podrzędnego departamentu. Naturalnie, wobec gwałtownego parcia ciała prawodawczego Trzeciej Rzeczypospolitej ku powiększeniu wydatków — i ta radykalna oszczędność na wyznaniach nie zaważyła nawet w przełomowej chwili. Budżet roku 1906, choć w stosunku do swego poprzednika uwolnił się od 40 milionów — w sumie ogólnej był jednak wyższym o całe 126 milionów.

Lecz ta orgja potwornych liczb może jedynie świadczyć o rozrzutności rządu republikańskiego,

o uciemieniu podatkowem ludności, lecz bynajmniej nie decyduje jeszcze o rozwoju społecznym i ekonomicznym Francji współczesnej. Na ten koniec trzeba do innych liczb sięgnąć, innych szukać dokumentów.

Zacznijmy od oświaty. \*)

Nauczanie początkowe, za cesarstwa, kosztowało 61 milionów — za Rzeczpospolitą 237 milionów franków rocznie, wydawanych przez rząd centralny, departamenty i gminy.

Ten nakład przyniósł dotąd w rezultacie, że od roku 1869 do 1906:

1) liczba dzieci, uczęszczających do szkół początkowych niższych i wyższych, z trzech wzrosła do  $5\frac{1}{2}$  miliona rocznie.

2) liczba dzieci, uczęszczających do szkółek t. zw. macierzystych (maternelles) dla dzieci od 2 — 6 lat (ochronki), — wynosiła (rok 1906) 661 tysięcy.

4) procent rekrutów, nie umiejących ani czytać ani pisać z 22 na stu opadł na 5.

5) procent małżonków, którzy akt ślubny podpisywali znakiem z 24 (mężczyzn) i 37 (kobiet) na każdym z małżonków, zeszedł na 3 (mężczyzn) i 4 (kobiety).

Udostępnienie nauczania początkowego wywarło

---

\*) Wszystkie, przytoczone poniżej dane statystyczne są dla Trzeciej Rzeczpospolitej nie korzystne, sięgają bowiem 1906 i 1907 roku zaledwie a więc nie obejmują pełnych ostatnich trzech lat. Uchybienie to wynika z okoliczności, iż biura statystyczne francuzkie roczniki swoje i wykazy ogłaszają w pięcioletnich okresach. Ścisłość zaś nie pozwalała ufać okólnikom statystyki prowizorycznej.

najsilniejszy wpływ na rozpowszechnienie średniego i zawodowego wykształcenia.

Tak na przykład, gdy licea i kolegia dla chłopców w roku 1869 liczyły 70.305 uczniów, w roku 1907 już mieściły 96.463. Odpowiednie zaś żeńskie zakłady naukowe, które, za cesarstwa, nie istniały, — posiadały w tymże 1907 roku 26.994 uczennic. Wzrost ten jest znamienym, zwłaszcza, wobec obecnego rozkwitu szkół technicznych, handlowych, rzemieślniczych i specjalnych, ogarniających niekulturowane za cesarstwa działy wiedzy.

Lecz, o ile bez trudu, całemi kolumnami cyfr, można konstatować znakomity stan dzisiejszego średniego wykształcenia Francyi, — o tyle, dla wykształcenia uniwersyteckiego, podobnie wielkich liczb się nie znajdzie i nie z przyczyny braku studentów...

Przeciwnie — studentów wogóle przybywa na dziesiątki tysięcy. Już nie w stosunku do cesarstwa, lecz na przestrzeni od 1890 do 1908 ilość studentów z 16.587 doszła 39.890. Ale ta liczba byłaby wówczas miarodajną, gdyby w tej samej proporcji dźwigała liczbę stopni naukowych.

Otóż wyniki egzaminów są proporcjonalnie coraz gorsze. Cesarstwo, w roku 1869, przy 13 tysiącach studentów, udzieliło 11.403 stopni naukowych różnego autoramentu. Rzeczpospolita, w roku 1890, przy 16.587 studentach, przyznała ich 12.886 a w roku 1906, mając już 35.670 studentów (i mając wówczas od lat pięciu więcej niż 30 tysięcy) dała tylko stopnie naukowe 15.206 osobom.

Jaśniej ta zmiana stosunku wyraża się w pro-

centowym rachunku. A więc, za cesarstwa, na stu studentów 88 otrzymywało dyplomy, — za Rzeczpospolitą na stu studentów, w roku 1890, jeszcze kończyło studia z tym lub innym rezultatem 75,—dalej procent ten zmniejsza się bezustannie i schodzi w roku 1906 na 42<sup>0</sup>/<sub>0</sub> stopni naukowych.

Przyczyny tego objawu pochodzą ze stałej dążności Rzeczpospolitej ku wzmocnieniu skali wyższego wykształcenia i, co za tem idzie, zwiększenia wymagań egzaminacyjnych. I ta dążność przyniosła już nauce liczby bogate, bo powiększyła niezmiernie jakość stopni. Cesarstwo i Rzeczpospolita od roku 1890 mnożyły jeno proletarjat wiedzy, boć doktorantów, w roku 1869, było raptem 781, w roku 1890 jeszcze tylko 992 gdy w roku 1906 udzielono 2082 stopnie doktorskie. Czyli, że wartość ogólna stopni naukowych polepszyła się o 30<sup>0</sup>/<sub>0</sub>.

Nauczanie początkowe jest przeważnie bezpłatne i zorganizowane tak, że dzieci otrzymują darmo zarówno podręczniki szkolne, jak wszelkie utensylja niezbędne. Wykształcenie średnie jest względnie drogie. Młodzieży niezamożnej atoli przychodzą z pomocą nie tylko legaty osób prywatnych, lecz głównie władze administracyjne i ciała samorządne, jako to departamenty, gminy i ministerstwa. Każdy nieomal departament ma swoich pupilów, których kształci na własny koszt, i każda liczniejsza dykasterya urzędnicza rozporządza własnymi stypendyami. Stąd procent młodzieży, uwalnianej od wszelkich opłat, dochodzi niekiedy do dwudziestu.

Za to wyższe zakłady naukowe uniwersytety, in-

stytuty i t. p. stypendjów posiadają niewiele. Wzajemian pomoc oparta jest głównie na systemie nagród pieniężnych za prace na tematy wyznaczone i wogóle za realne postępy. Nagrody, niekiedy bardzo znaczne, zapewniające często utrzymanie na szereg lat i gwarantujące nieraz nie tylko utrzymanie podczas pobytu w wyższym zakładzie naukowym, lecz i podczas pierwszych lat samodzielnej pracy, przyznawane są, bez mieszania się do stanu majątkowego studenta.

Poza tem, istnieje pomoc doraźna i, krom prywatnej, departamentowej i gminnej, i rządowa. Warunkiem dla jej uzyskania jest nie obraz nędzy materialnej młodzieńca, bo Rzeczpospolita uważa tę ostatnią za niedostateczną rację do forsowania takiego młodzieńca dla karyery naukowej czy wyzwołonej, bardzo trudnej, nawet gdy się zdobyło dyplomy — ale tylko wybitne zdolności i nieposzlakowane prowadzenie. Młodzieniec musi dowieść, że, przez odmówienie mu pomocy, — Rzeczpospolita straci nie jednego więcej przeciętnego wyrobnika medycyny lub advokatury — jeno chlubę medycyny lub advokatury.

Jaką sumą ta pomoc się wyraża? Niech odpowie wykaz urzędowy.\*) A więc, w roku 1906, fakultety francuskie na zapomogi dysponowały kapitałem **447,658** franków. Suma ta nie obejmowała bezpośrednio ofiarności departamentów ani też fundacyi, któ-

---

\*) *Compte définitif des dépenses de l'exercice 1906 — strony 134, 135 i 141.*



remi rozporządzały bądź instytucje i organizacje społeczne, bądź osoby prywatne.

Dla uwydatnienia silniejszego przewodniej, rządzącej we Francji zapomogami — niech służy taki żywy przykład.

W roku 1909 zjechała do Francji na studia artystyczne panna \*\*\*) córka Francuza i Polki. Po dwóch miesiącach pobytu w prywatnej szkole malarstwa, panna \*\*\*) zgłosiła się do Sekretaryatu stanu dla sztuk pięknych z wykonanymi rysunkami i z prośbą o pomoc pieniężną. W odpowiedzi, zarządzono niezmiernie skrupulatne śledztwo a ponieważ przekonano się, że panna \*\*\*) istotnie objawia niepowседневnie zdolności — przyznano jej, tytułem „zachęty do pracy“, franków 300. W czym to było najosobliwszem, że panna \*\*\*) dotąd lichy mówi po francuzku, że tylko z przynależności politycznej jest obywatelką Rzeczypospolitej — z czym się nie kryje, że protekcji nie miała i że prośba jej wynikła z ambicji a nie z wielkiej potrzeby, bo pomoc z domu ma nawet na dostatek.

Zdecydował tu o sukcesie jedynie talent i prowadzenie bez zarzutu...

Przykład powyższy nie wyklucza bynajmniej protekcyonizmu, czy nepotyzmu, który, przy rozdawaniu zapomóg, i we Francji decydować potrafi — przeciętna atoli skala sprawiedliwości jest większą, bo opinia publiczna czuła i zgoła swobodną w stosunku do autorytetów władzy.

Ogół wydatków rocznych na oświatę, naukę instytucje pomocnicze, laboratoria, studia, cele kul-



turalne i artystyczne w (kierunku kształcenia młodzieży) przechodzi *pół miljarða* franków rocznie. Pełnia zaś kosztów na zakłady naukowe wszelkich stopni, biblioteki, muzea, pracownie doświadczalne, kursa dla dorosłych, nagrody za prace z dziedziny wiedzy, nauk ścisłych, sztuk, badań i t. d. pełnia tych kosztów, ponoszonych przez państwo, miasto Paryż, gminy, stowarzyszenia i ofiarność publiczną, w formie zapisów i darów jednorazowych, przechodzi rocznie półtora miljarða franków i z roku na rok się powiększa o miliony.

Przy tak wielkiem natężeniu, ku spotęgowaniu oświaty, gospodarka republikańska nie zaniechała innych działów pracy i podniosła je do niemniej wysokiego stopnia.

Dobroczynność publiczna (państwowa) od roku 1871 pobudowała 400 nowych szpitali i schronisk i zapewnia opiekę, pomoc lekarską lub przytułek 133.078 (r. 1906) chorym, nieuleczalnym i starcom — rocznie, — miast, jak przed laty, 100.391. Przyczem warunki higieniczne, wartość opieki, pożywienia i wygód wzrosła o 100%.

Domów dla obłąkanych przybyło nowych tylko 10, w rozmiarach przecież tak wielkich, iż wszystkie 113 zakładów tego rodzaju mieściło w roku 1906 — 94.404 chorych, miast 49.589 w roku 1871. Wydatek na ten cel, ponoszony przez gminy, (oprócz państwa) wynosi, miast  $12\frac{1}{2}$  miliona franków, 30 milionów rocznie.

Bezpłatna pomoc lekarska niezamożnym chorym, — która za cesarstwa nie istniała, — udzieliła

porad i leków dwóm milionom ludzi (1906) — co kosztowało 21 milionów franków.

Biura dobroczynności i pomocy doraźnej biednym rozdały wsparć mniejszej liczbie ludzi, bo tylko 1,320.148, gdy, w roku 1871, otrzymało wsparcia 1,347.376 osób. Ale, wzamian, wysokość wsparć i, co zatem, wydatków podniosła się z  $26\frac{1}{2}$  miliona na  $46\frac{1}{2}$  miliona rocznie.

Sierot, dzieci opuszczonych lub biednych wychowywało się w zakładach państwowych, żłobkach i t. d. w roku 1906 — 204.930 — gdy w roku 1871, w roku wojny, było w tych zakładach 95.444 dzieci. Koszt utrzymania takich dzieci z 10 milionów fr. wzrósł na 36 milionów rocznie.

Pomimo tak spotęgowanej dobroczynności państwowej wogóle — stowarzyszenia wzajemnej pomocy, dążące zazwyczaj do utrzymania jednostki na pewnym stałym szczeblu społecznym, wzmogły swe siły i szersze ogarnęły warstwy.

Różnica liczb, w stosunku do cesarstwa, tak się przedstawia \*)

W r. 1869 było stowarzyszeń wzajemnej pomocy 6.139 z 556.929 uczestnikami (nie licząc dzieci należących do udziałów) i majątkiem 38,294.067 franków. W roku zaś 1905, było 15.932 stowarzyszeń z 2,130.244 uczestników (nie licząc dzieci) i kapitałem 227,935.787 franków. Ilość więc stowarzyszeń podwoiła się z okładem, uczestników w czwórna-

---

\*) *Rapport du Ministre du Travail et Prévoyance sociale sur les opérations des sociétés de secours mutuels.*

sób urosła a kapitał stał się pięć i pół raza większym.

Wysokość wydatków na emerytury i liczba emerytów państwowych, w roku 1869 — wynosiła 147.958 osób z 94,660.405 franków. W roku 1908 \*) 259.702 osób, pobierających 249 milionów franków.

Przywóz i wywóz złota srebra i bilonu za Rzeczypospolitą, tylko w roku 1891 groził klęską. Od roku 1891 stale przywóz góruje nad wywozem. W peryodzie od roku 1903 do 1907 włącznie, w peryodzie niewystawowym — zostało we Francji 2 miljardy złota, srebra i bilonu z różnicy przewyżki wwozu nad wywozem!

Bank francuzki, za cesarstwa (1869), dyskontował walorów za  $6\frac{1}{2}$  miljarda, a w roku 1907 dyskonto uczyniło  $15\frac{1}{2}$  miljarda rocznie. Posiadał depozytów (69) za  $1\frac{1}{2}$  miljarda miał ich w roku 1907 za 7.309 milionów. Za cesarstwa renta państwowa 3% chwiała się między kursem 69·8 i 73·9 — za Rzeczypospolitej też sama renta, od roku 1890 do 1906 włącznie, nie stała niżej 93 a wyżej 103·7.

Wartość ogółu walorów francuzkich wzrosła o wiele więcej — i, w stosunku do cesarstwa, podwoiła się i potroiła.

Export i import produktów i towarów, który, w 1869, wyrażał się liczbą 8 miliardów — w 1909 — ma w sumie pełne 15 miliardów. W równowadze daje przewyżkę pięćset milionową importu nad exportem...

Cyfry te nie ogarniają naturalnie olbrzymich sum

---

\*) *Compte générale de l'Administration des finances.*

gotówki, przywożonej przez cudzoziemców ani zakupów, wywożonych przez tychże cudzoziemców, jako ładunek pasażerski.

Długość linii kolejowych, w roku 1869, wynosiła 17.300 kilometrów, — w 1906 już 46.500. Żegluga wewnętrzna Francyi, z dwóch milionów tonn, doszła do pięciu. Żegluga morska z ładunku rocznego 11 milionów tonn podniosła się (r. 1906) do 41 milionów, idąc stale ku wyższe. Liczba ta ogarnia całość pracy okrętów, wykonanej we Francyi, zarówno pod flagami republikańskimi, jak i cudzoziemskimi.

Produkcya jednocześnie podskoczyła:

opał mineralny z	13 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>	miljona tonn na	34 mil.;
stal i żelazo	1	„ „ na	2,43 mil.;
odlewy metal.	1 <sup>1</sup> / <sub>4</sub>	„ „ na	3 <sup>1</sup> / <sub>3</sub> mil.

Ale liczb tych chyba powinno być zadość na danie pojęcia o różnicy, zachodzącej między rozkwitem cesarstwa a rozkwitem Trzeciej Rzeczypospolitej.

Ta ostatnia nie zmarnowała czasu, nie dała się przygnębieniu z przyczyny klęsk narodowych, które towarzyszyły jej poczęciu. W ciągu dziesięciu lat gospodarki republikańskiej znikły ruiny, zabiłżniły się rany i praca ruszyła tak szybkim tempem, jakby dzisiejsza Francya wywodziła się z wieków ciszy politycznej, ładu i trudu niezakłóconego.

Godzina chwały i potęgi państwa Napoleona III, wobec obrachunku ostatnich lat, — maleje, niknie. A intencya polityki niemieckiej w skwapliwym dążeniu do uznania rządu republikańskiego, jako do

rządu nie zdolnego Francję dźwignąć doczekała się zupełnego bankructwa.

Aliści przytaczanym wyżej liczbom brak tych najważniejszych, tych, mówiących o bycie jednostek obywatelskich, o tem jak, obarczony nowymi ciężarami, Francuz zniósł opodatkowanie podwójne, co zdobył dla egoizmu swego, dla egoizmu swej rodziny, czy istotnie zdobył lepsze warunki życiowe, czy dostatek państwa ma podstawę w dostatku wybrańców fortuny, czy w zamożności masy narodu.

Liczyby dają następującą odpowiedź.

W roku 1869 kasy oszczędności liczyły 2,130.000 uczestników (dzieci nie licząc), posiadających 710 milionów franków — w roku 1906, też same kasy miały uczestników 12,500.000 z kapitałem 4.710 milionów. Oszczędność powiększyła się o 4 miliardy i przy warunku, że w żadnym roku nie spadała, nie trwała w miejscu, jeno wzrastała i wzrasta.

Wartość roczna sukcesyi \*), bez donacyi, za cesarstwa, wynosiła rocznie 3.636 milionów, w roku 1907 5.901 milionów. Od roku 1882 wartość ta trzyma się liczby 5 miliardów. W latach wyjątkowych, co pod uwagę nie było braniem, przechodziła 6 miliardów, (1892, 1900 i 1905).

Ilość sukcesyi (bez donacyi) za Rzeczpospolitej również podnosi się. Cesarstwo tej znamiennej rubryki statystycznej nie posiadało. Gdy naprzykład, w roku 1902 notowano 365 spadków, w roku 1907

---

\*) *Bulletin de statistique et de législation comparée.*

już jest ich 402. A ponieważ zwyczajka nie dotyczy milionowych sukcesyi, bo te trzymają się stałego procentu, 1 rocznie, — lecz głównie powiększa liczbę spadków do 100.000 franków, — więc i tu, można znaleźć argument dla dążności do równomierniejszego podziału bogactw.

Donacje (darowizny za życia) z 682 milionów, od roku 1872 trzymają się 930 mil. najmniej a od lat czterech przechodzą stale miliard rocznie.

Wynagrodzenie za pracę polepszyło się przecięciowo o  $33\frac{1}{3}\%$ . Dla zawodów wyjątkowo uciążliwych osiągnięto znaczniejsze jeszcze podwyżki. Na przykład gdy górnik\*) w r. 1869 pobierał przecięciowo 2·99 franka dziennie a 841 franków rocznie, w r. 1907 otrzymywał 4·90 franka i 1409 fr. rocznie.

Konsumcja pszenicy z 2·84 hektolitra na mieszkańca doszła do 3·02; cukru poddany Napoleon III spożywał 5·8 kilograma rocznie, obywatel Rzeczypospolitej spożywa go przecięciowo 14·9 kilograma.

Konsumcja kawy, w roku 1869, wyrażała się przez 131 kilo na każdych stu mieszkańców, — w roku 1908, ten sam stosunek, daje 162 kilo. Kakao, na stu mieszkańców, wypadało (1869) 20·7 kilogramów w r. 1907 — już 59.

Równy a niekiedy silniejszy nawet wzrost konsumpcyi dotyczy i mięsa i nabiału i wogóle conajprzedniejszych artykułów żywności. I przeciwnie, po-

---

\*) *Statistique de l'industrie minérale.*



żywienie ubogie, powszednie, jak kartofle, daje bardzo nieznaczną zwyżkę z 2·44 kwintala, na jednego mieszkańca, na 2·55 kwintala (kwintal = 55 kilo).

Mocniejszym jeszcze dowodem polepszenia się odżywiania Francuzów jest fakt, że gdy w roku 1869 wywóz artykułów żywności dwa razy był większym od przywozu, za Rzeczpospolitą, wywóz od szeregu lat jest znacznie mniejszym od przywozu i to bez względu na lata urodzaju lub nieurodzaju.

Konsumpcja alkoholu naogół nieznacznie się zwiększyła. W r. 1869 przypadało na mieszkańca 1·75 hektolitra wina i 2·63 litra innych alkoholów; w roku 1906 zaś 1·42 hektolitrow wina i 3·46 litra alkoholów. Czyli mniej wina o 0·33 hektolitra a więcej alkoholów o 0·83 litra.

Współczesny Francuz odziewa się i zabezpiecza bezporównania dostatniej, bo gdy, w roku 1869, przypadało nań tylko 2·4 kilograma bawełny rocznie i 3·7 kilo wełny — dzisiaj przypada 5·8 bawełny i 6·5 wełny (1907).

Zdrowotność, w wyniku śmiertelności, poprawiła się bardzo. Za cesarstwa, na każdych stu mieszkańców, bez Alzacyi i Lotaryngii, było 2·35 zgonów — za Rzeczpospolitą, nie biorąc pod uwagę dwóch lat wojny (1870 i 1871) — procent zgonów był zawsze niższym a od roku 1896 stacza się ku dwóm, na stu mieszkańców, — w 1906 już do 1·99 spada.

A więc bogactwo Trzeciej Rzeczpospolitej jako państwa, ma podłoże trwałe, mocne, bo zapiera się bezwzględnie o zamożność, nie jednostek, lecz całej gromady ludu, bo łączy się ze wzrostem dobro-



bytu mas, bo, w równej mierze, przyczynia się, nie tylko do polepszenia życia jednostki ale i do przedłużenia go, bo, наконец, rodzi się nie ze zdobyczy wojennych, nie ze zrujnowania sąsiada, z zagarnięcia cudzych skarbów, lecz z własnej, znoonej a mądrej pracy, poczętej w godzinie, którą Europa miała za godzinę ostatecznego upadku Francyi.

W tem miejscu utarty frazes podpowiada znów wyraz „genjusz“... Więc niechże genjusz francuzki będzie tych liczb imponującym sprawcą. Lecz nie ten genjusz, — który spodziewany jest przez ludy smutne, pogńębione a ospałe w postaci archanioła, niosącego tęskniącym wszelkie dary nad darami, — jeno ten genjusz, którego całym orężem zaklętym jest 95% pracy dzielnej a tylko 5% zdolności — jeno ten genjusz, który nie jest mytem, który zawsze i od wieków pozwala się oglądać badać i odtwarzać.



## PSYCHOLOGJA PRACY.

Warunki klimatyczne i bogactwa przyrodzone. — Ograniczona wdzięczność ziemi. — Utrudniona wytwórczość i stawianie czoła walce ze współzawodnictwem. — Naturalny obrońca przemysłu francuzkiego. — Ogrodnik. — Umiłowanie pracy. — Rozwaga przy wyborze zawodów. — Kres pracy, francuzkiej i ideał kresu. — Rezultaty. — Ilość dni pracy, jej wydajność i odpoczynek świąteczny. — Praca nieoficyalna. — Wymagania chlebodawcy. — Rzutkość i wielostronność pracowników. — Organizacja pracy i bezrobocie. — Gdzie zasadnicza moc pracy Francuzów.



Nie dla tego Francya jest ziemią mlekiem i miodem płynącą, że ją taką stworzyła natura, lecz dla tego, że taką uczyniła ją praca ludzka.

Za wyjątkiem oaz w południowej części nadmorskich wybrzeży, oaz maleńkich i nielicznych, klimat Francyi nie jest bynajmniej ani nadto łagodnym ani równomiernym. Obfitość opadów atmosferycznych a gradów w szczególności, połączona z raptownem spadaniem temperatury, nawet śród lata, czyha na plon rolnika. Sąsiedztwo golfstromu nie pozwala śniegowi długo się ostać — lecz tem samem pozbawia ziemię puszystego okrycia i skazuje na przemarzanie, bo mróz kilkunasto-stopniowy i tu jawi się aż nadto często. Tam zaś, gdzie zdawałoby się mogło, jak w Prowancyi naprzykład, że nie masz miejsca ani dla boreaszów, ani mrozów, tam znów są wichry. Wichry tygodniami trwające, wichry, niszczące ogrody, burzące winnice a odrętwiające wszelki ślad życia organicznego.

Łagodny klimat Francyi! Ten klimat sławetny, który z roku na rok wydaje na pożarcie suchotom płucnym 70 tysięcy ludzi, zapaleniu płuc 36 tysięcy i jeszcze 30 tysięcy rozmaitym odmianom bronchitisu, ten klimat, który stawia Francję między państwami dotkniętymi najsilniej chorobami dróg oddechowych,

ten klimat bywa argumentem, mającym dowieść, że Francuz jest wybrańcem fortuny, że klimatowi nade wszystko zawdzięcza swą możliwość!

Tymczasem tyle w tem prawdy, ile znów nadzwyczajnych bogactw naturalnych w ziemi francuskiej. Treścią bowiem tych bogactw jest jedynie ziszczony dosłownie morał bajki o synach, którym ojciec, umierając, przykazał szukać skarbu, zakopanego w ogrodzie. Synowie zryli ogród od krańca do krańca, skarbów nie znaleźli, ale ziemia, poruszona, przerobiona, skarbami zbiorów zakwitła.

Ziemia Francji należy niezawodnie do zasobniejszych w Europie — ale i nie zawiera i czwartej części tych istotnych bogactw, które dźwiga w swem łonie uboga, wyjąłowana rabunkiem lasów i pól, Hiszpanja.

Największą cnotą ziemi francuskiej jest jej wdzięczność, wdzięczność ukształcona ciągłością gorącej pracy wielu pokoleń ale wdzięczność ograniczona, bo nie pozwalająca roić o rozrzutnym wywozie surowych produktów i tak dalece ograniczona, że Francja europejska musi dokupywać i mięsa, i drzewa, i zboża, i skór, i metalów i węgla i masła i wina... Wszak tak, nawet wina wywozi o wiele mniej niż sama sprowadza!

Innemi słowy, ta rzekomo tak hojnie od natury uposażona ziemia nie pozwalała i nie pozwala Francji roić o spokojnem pożywaniu z artykułów niezbędnych, z produkowania artykułów tych najprostszych, lecz najpotrzebniejszych, i do wytworzenia i do zbycia. Francja oddawna musiała się wyrzec wszelkiej myśli o walczeniu na rynku handlu wszechświato-

wego taniością towarów, ich użytecznością lub ilością i musiała sobie wziąć za hasło jakość, a co za tem idzie, wykwint i zbytek. Więc zadania bardzo trudne i niezmiernej a ciągłej wymagające czujności.

Państwo, kraj, zdolny oprzeć swą wytwórczość na obfitości własnego surowego materiału, na przedmiotach niezbędnych, może nie troszczyć się o zabiegliwość sąsiada, może spokojnie złe lata przetrzymać i pogodnie patrzeć w przyszłość.

Rok urodzaju w Niemczech zmniejsza zapotrzebowanie pszenicy, obniża jej ceny nad Wartą i Wisłą — ale, wzamian rok nieurodzaju w Niemczech ceny podnosi i, nagromadzone nad Wisłą i Wartą, zapasy wykupuje, bo Niemcom własne zboże nie wystarcza. Dalej, zgoła skromny człowiek zniewolony jest do kupienia i stołka pospolitego, i łopaty, i noża, i czapki. Lecz nie każdy bogaty człowiek pozwala sobie na sprawienie bronzów, gobelinów, stylowych mebli. A już rzadko który z bogatych ludzi zamięłowanie do zbytku posuwa aż do nabywania pomniejszych przedmiotów w najprzedniejszym gatunku, do sprowadzania ich z Francyi, gdy, naprzykład, wyrób berliński do złudzenia robotę francuską naśladowuje.

Trzeba zaiste wielkich zasobów, już nie zapału do pracy, ale jej ukochaniu, ale siły twórczej, ale inteligencji, aby na obranej przez Francję drodze utrzymać się, iść i nie dać się zmódz.

Wszak nieomal cała Europa czatuje na każdy pomysł francuzki, czatuje z rękoma i maszynami, gotowemi do wykorzystania go dla siebie. Wszak cła



ochronne szczególnie francuzki przemysł gnębią, bo cło nie tylko jest ochronnem dla miejscowej wytwórczości, lecz jest zawsze i narzędziem podatku pośredniego, godzącego w bogactwo jednostki, w artykuły zbytku.

Wszak zabiegliwość i rzutkość kupców niemieckich, angielskich, austriackich, włoskich, polskich, szwedzkich a nawet już i rosyjskich i hiszpańskich polega nie na tem, coby nowego z Francyi sprowadzić, lecz, coby nowego z Francyi porwać, z czego by Francję okraść i jak jej wyrób u siebie sfałszować najlepiej!

Nawet, badając z bliska tak z pozoru bezwzględnie francuzką wytwórczość, jak mody strojów kobiecych, nie podobna narazie dopatrzyć się źródła owych milionowych zysków. Gromadny bowiem zjazd kupców zagranicznych, przed sezonem, naprzykład, jesiennym, a więc już na początku lipca, bynajmniej nie daje Francyi osławionych kroci. Kupcy zagraniczni, a najczęściej sami wytrawni specjaliści, o tyle tylko nabywają towar, o ile zakup daje im prawo do obejrzenia dokładnego „kolekcji“ modeli w danym magazynie. Wyprawa ich ma na celu głównie podpatrzenie, wyśledzenie zmian i natychmiastowe wprowadzenie w ruch swych własnych warsztatów. Sprawność w tym kierunku, zwłaszcza niemiecka, jest tak potężną, że, w kilka tygodni po wizycie dorocznej w Paryżu, Berlin zalany jest ostatnim wyrazem mody paryzkiej. I nie dość, ten sam przedmiot, w niemieckiej interpretacji, spada o trzysta i pięćset procent w cenie i kusi tak dalece kupców

polskich i rosyjskich, że ci komplety mód francuzkich wołą nabywać nad Spreją...

Stąd zdawałoby się mogło, że wysiłek pomysłości francuzkiej jest pracą *pour le roi de Prusse*, — że nawet mody nic albo nie wiele przynoszą Paryżowi. Tymczasem, pomimo całego sprzysiężenia zagranicy na wydarcie Francyi tajemnicy mody i ich produkcji — Paryż nie przestaje być i jej wyrocznią i najpotężniejszym wytwórcą w tym kierunku i to dzięki nie przebiegłości, nie zdolności augurów tego przemysłu lub potędze kapitałów, lecz dzięki indywidualizmowi i inicjatywie wyrobnic i wyrobników pospolitych, dzięki wskroś narodowym zaletom ducha francuzkiego.

Ten duch właśnie sprawia, że model, powierzony szwaczkom francuzkim do dziesięciokrotnego skopjowania, daje w rezultacie nie dziesięć kopij, lecz dziesięć parafraz pierwowzoru, dziesięć wariantów odmiennych, nowych. I brak tego ducha czyni, że ten sam model, powierzony pracownicy innej narodowości, przynosi tylko dziesięć mniej więcej udolnych naśladownictw.

Elegantki i wytwornisie rozumieją się na tejprawdzie i tylko w braku środków wyrzekają się paryzskich oryginałów.

Dobitniej jeszcze przewaga jakości pracy francuzkiej zaznacza się tam, gdzie walka zaczyna się od równej mety, gdzie nie ma sekretów, gdzie Berlin, Wiedeń i Paryż posiadają też same wzory, ten sam materyał, te same maszyny i narzędzia.

Bronzy produkują Niemcy i Włosi i produkują,

trzymając się ściśle rysunków, recept aliażu i wszystkiego tego, co bronzów jest zaletą. A przecież starczy między bronzami niemieckimi postawić bronz francuzki, aby przekonać się, że pierwsze wobec drugiego, są nie dziełami sztuki, lecz fabrykatem, szablonem, że tam, gdzie w bronzie zaczyna się wykończenie ręczne, gdzie mechanika ustaje, tam niemiecki wyrób jest prostakiem, bezmyślnem dzieckiem pospolitego zjadacza chleba a wyrób francuzki ma zamiłowanie, nosi ślady rylca, który, cyzelując metal, częstkę własnej jaźni weń wrył.

Francuz zna tę swoją wyższość i nie zaprzestaje jej doskonalić, bynajmniej nie troszcząc się, że inni chcą jakoś zaćmić taniością i ilością.

Dla tych samych przyczyn, ogrodnik francuzki ani myśli o podwojeniu wydajności swych drzewek. Przeciwnie, jeżeli tylko postrzeże nadmiar kwiecia, obrywa je. A i potem, gdy na drzewku ukazują się zawiązki grusz, przebiera zawiązki i, co lichtsze, zrywa. I jeszcze, kiedy grusze zgoła się uformują, jeszcze, je przebiera. Dopiero trzeba go widzieć, jak hołubi pozostałe, — jak, zbrojny dwoma patyczkami, krąży od rana do wieczora, od drzewka do drzewka, i obraca owoce, aby równomiernie, ze wszystkich stron, na słońcu się wygrzewały i jak, dalej, pod każdą gruszą, zawiesza siateczki, by owoc, strącony wiatrem lub własnej dojrzałości ciężarem, nie upadł na ziemię, nie uszkodził swej nieskazitelnej, matowej powłoki. Trzeba widzieć ogrodnika francuzkiego przy pracy, — przekonać się, ile ona warta a ile legendy o przyrodzonym bogactwie kraju; aby dowiedzieć się, dla-

czego gruszka francuzka, jabłko, śliwka, jest rarytasem nawet dla tych ziem, które gruszki, jabłka i śliwki mierzą u siebie okseftami! Trzeba widzieć te miliony kloszy szklanych, chroniących, od wczesnej wiosny do późnej jesieni, nie żadne magnackie frykasy lub podzwrotnikowe rośliny, lecz pospolite główki sałaty i pęczki rzodkwi, — aby docenić nie tylko wytrwałość pracy, ale i jej umiłowanie. Trzeba bodaj raz zejść do piwnic i lochów przepastnych, w których, na kilkanaście metrów pod ziemią, pracuje wytrwale hodowca grzybów, aby naocznie przekonać się, że nie natura Francję nadziewa truflami, lecz trud dzielny, zbożny, jej obywateli.

Francuz kocha pracę i nie uważa jej za klątwę, lecz za treść życia, za warunek spokojnej starości, za prawo jutra i jasnego, pogodnego, pełnego nie samej materyjalnej sytości jutra. Miłość do pracy ma wpojona od dzieciństwa i nie przez żadne specjalnie pedagogiczne środki, lecz przez atmosferę, która w okół niego pulsuje. I to miłość nie do żadnej pracy niezwyklej, do żadnych karier nadzwyczajnych, śnionych przez zbiedzoną matkę nad kołyską swego dziecięcia, lecz do tej powszedniej, do tej twardej, pozbawionej ułud ale pozbawionej i odczarowań.

We Francji częściej niż gdzieindziej syn idzie za specjalnością ojca i bierze po nim spadek doświadczenia, wyrobionych stosunków i nabytej umiejętności, mając dla się za ideał podźwignięcie się, lecz w ramach zawodu ojca. Syn ślusarza, posiadającego warsztat, roi o powiększeniu go, przeistoczeniu

w fabrykę, syn robotnika ma ambicję zostania majstrem tam, gdzie jego ojciec był podkomendnym.

Skoków karkołomnych, obserwowanych w innych krajach, a polegających na tem, że synowie ubogich oficyalistów, urzędników, handlowców i całego niemal proletaryatu inteligentnego przeznaczeni są do dyplomów lekarskich, adwokackich, doktorskich bywa we Francyi bardzo nie wiele. Częściej zdarza się, iż nawet wybitny talent idzie drogą praktycznego zawodu i, dopiero po zdobyciu kawałka chleba, skręca nagle na tory pracy dla wiedzy, sztuki i literatury. Na czem podobno te ostatnie dobrze wychodzą, bo adept tego rodzaju wnosi do nich ze sobą całe łany przeżytego i podpatrzonego bezpośrednio życia.

Miedzy młodzieżą uniwersytecką rzadko spotyka się studentów, którzy o głodzie i chłodzie dobijają się dyplomów i stopni naukowych. Typ pospolity studenta francuzkiego jest zazwyczaj młodzieńcem, nie potrzebującym nie już o zapłacenie wpisu się turbować, lecz mającym zadość środków nawet na rozrywki, koleżeńskie poczęstunki a nawet na gryzетки. Od nauki odrywa go pustota, nigdy troska o chleb lub odzienie, nigdy zarobkowanie na zdobycie środków do życia, do opędzenia kosztów wykształcenia.

Większość studentów francuzkich, potężna, przeważająca większość opływa w dostatki, co wynika z trzeźwego rozumowania nadewszystko młodzieży samej. Kandydat ewentualny do uniwersytetu, w stanowczej chwili przekroczenia progu auli, odbywa

naradę z rodzicami i liczy, ile będą mu mogli dawać miesięcznie podczas studiów a ile otrzyma w następstwie na dopełnienie praktycznej nauki i na wyrobienie sobie klienteli czy na zdobycie katedry, urzędu odpowiedniego, stanowiska. Jeżeli rachunek wypada ujemnie, kandydat do uniwersytetu, bez mitręgi, poświęca się zgoła powszedniemu zawodowi.

W tak realnem traktowaniu decyzji o wyborze stanu nie należy domyślać się zaniku ideałów lub upadku ducha, garnącego się do światła a idącego przebojem. Młodzież francuzka ma i zapał i wiarę i polot, nad poziomy sięgający — jeno, oglądając co kroku dowody, że, na stu proletariuszów wykształconych, ośmdziesięciu, po wysaniu wszystkich zasobów, po latach ciężenia rodzinie — dochodzi do nędznego bezbarwnego żywota nie koryfeuszów, lecz wyrobników nauki, — przekonywając się, iż i w każdym innym dziale pracy ludzkiej można i bez *placet* uniwersyteckiego zdobyć wiedzę, wyjść na obywatela i położyć zasługi — młodzież francuzka idzie za instynktem samozachowawczym. A zresztą i tak spory składa odsetek w postaci skończonych prawników — skazanych na ślęczenie na posadach kancelistów, filozofów bez dachu nad głową i lekarzy bez pacjentów.

Jako dokument odmiennego charakteru godzi się przytoczyć, iż jeden z profesorów Sorbony, poglądający z bliska na nędzne, smutne życie studentów-Polaków, szukał odpowiedzi na pytania „dlaczego zamożna młodzież polska stroni od wyższego wykształcenia, od wykształcenia, wymagającego na-



kładu zarówno sił, jak i pieniędzy — i dlaczego na zbytek piętnastoletniej nauki pozwalają sobie tylko biedacy??“

Zamiłowanie do pracy nie jest u francuza chciwością zdobycia bogactw, których rozmiary rosną w nieskończoność, w miarę zaspokajania apetytu. Przeciwnie, Francuz z góry wyznacza sobie kres i na nim zazwyczaj poprzestaje. Kresem tym jest posiadanie kapitału, zdolnego dać rentę a więc zapewnić odpoczynek, jasną, bez troski o jutro, starość. Ideałem zaś Francuza jest nie potrojenie zamierzonej pierwotnie renty, lecz osiągnięcie jej możliwie najszybsze i najszybsze osiągnięcie spoczynku.

To założenie daje pracy Francuza niesłychaną gdzieindziej energję, daje nieustanny przypływ nowych sił i daje młodym żywiołom szersze pole działania. Starzy, zmęczeni, ustępują tu prędzej, ustępują w chwili, gdy mogą zdala czuwać nad spadkobiercami.

Zresztą i wczorajszy pracownik a dzisiejszy rentier, jeżeli jeno zdrowie mu pozwala, nie myśli o próżnowaniu. Stwarza sobie zajęcia, które zadawalniają jego upodobania, szuka ujścia dla ambicyi, oddaje się służbie dobra publicznego.

Bezmyślna złość wysadzonych z siodła fantastów wielokrotnie usiłowała sponiewierać skromny, wskroś dodatni, typ francuzkiego rentiera, przepełniającego ustronia, miasteczka, wille, zacisza wielkomiejskie i ogrody Francyi. A przecież ci rentierzy właśnie są prawdziwą chlubą swego społeczeństwa, bo, po latach pracy, nie są nikomu ciężarem, bo wyrzekli

się dobrowolnie wielu uciech, wielu upojeń, bo narodowi swojemu są przykładem umiejętnego sterowania nawą życia, bo mają w oczach pogodę starości.

Rentierzy francuzcy mogą odstręczać pospolitością, naiwnością czy prostactwem swych myśli, uczuć, każdego z tych, którym imponuje niezwykłość, których pociąga w jednostce to, co było lub jest tej jednostki męką, piekłem, niemocą, klątwą — ale ci sami rentjerzy dla ludzi, szukających w narodzie, nie tematów literackich, lecz miary jego sił, ci rentjerzy będą dokumentem rozumnej dzielnej dążności społecznej.

Rzec można, iż ostrogą do pracy jest dla Francuza często powtarzane zdanie „jak zdobędę kapitałik,—wówczas odpocznę“. Rozmiary zaś tego kapitałiku są z zasady skromne. Nie ma w tych kalkulacjach zamków na lodzie, nie ma rachub na niemożliwe zyski. Większość rentjerów francuzkich rekrutuje się z ludzi, którzy doszli do posiadania domku z ogródkiem i dochodu rocznego od 1500 do 6000 tysięcy franków a raczej z ludzi, którzy na tej skromnej sumce musieli lub, częściej, chcieli poprzestać.

Gdy Francuz wypowiada swoje ulubione „*il faut, que je travaille*“ czuć, iż słowa te wypowiada człowiek, uznający nie sam obowiązek pracy, lecz umiejący i lubiący pracować.

Stąd ciągłość pracy Francuzkiej przoduje całemu światu a ustępuje jedynie Japonii.

Francuz oddawna i nie z bezwyznaniowości, bo

za zgodą kościoła, skwitował z całego szeregu świąt i bądź je skasował, bądź przeniósł na dni niedzielne. A i tak jeszcze okrojone święta wypełnia niezmo-rdowaną czynnością. Uchwalony niedawno „*repos hebdomadaire*“ stał się dla Francuza tylko podwyżką pensyi i możliwością poświecenia jednego dnia w tygodniu zajęciom domowym, zdobycia dla tego dnia zarobków dorywczych, możliwością sposobienia sobie przyszłego tusculum a dalej i spoczynkiem. Lecz że prawo o święceniu jednego dnia w tygodniu obowiązuje tylko zakłady, zatrudniające najemników a nie krępuje pracy samodzielnej — więc, w dni świąteczne, praca nie ustaje, zmienia tylko tereny, nie dymi kominami fabrycznymi, nie dudni w pracowniach wielkich, lecz w warsztacikach domowych ognia nie gasi.

Długość pracy rocznej wynosi stąd we Francyi 3045 godzin, w Niemczech 3000, w Stanach Zjednoczonych 2964 w Anglii 2886 godzin.

Francya imponować może obocześnie i stosunkiem godzin pracy do wydajności. Wydajność bowiem pracy Francuzów jest uznaną, jako norma najwyższa, określającą się liczbą *sto*. Podczas gdy wydajność pracy Niemiec wynosi tylko 89, — Anglii 88, — Włoch 87 — Rosyi 86 i t. d.

Liczbę te oczywiście dotyczą jedynie wielkiego przemysłu i nie mówią nic o przemyśle drobnym, o pracy warsztatowo-domowej Francuzów, pracy tej bodaj najpotężniejszej, bo jedynym jej regulatorem jest toż samo ciągle hasło: — „...wówczas spoczne“.

Dla tego hasła nawet systematyczność francuzka

ustępuje z placu. Bo jeżeli można powiedzieć śmiało, że gdy bije pierwsza w południe to cała Francya śniada a ósmej wieczór siedzi przy obiedzie, — to wzamian nie masz poza tem godziny, która byłaby sygnałem do zawieszenia pracy. Umilkły fabryki, magazyny, sklepy zawarły podwoje, a przecież całe domostwa wypełnia jeszcze szmer monotonny, równomierny, ten niezawodny odgłos trudu powszedniego. Praca we Francyi, w pewnych godzinach, wyrzeka się jakby swego oficjalnego hałasu, bo zresztą w przeważnej części ludności trwa, zmienia teren, kryje się w zacisze domowe.

Nawet warstwy, z natury swego zajęcia, jak urzędnicy, robotnicy zakładów przemysłowo-państwowych, skazani na przepisaną prawem i obyczajami bezczynność i obserwowanie godzin spoczynku, szukają dla wolnych chwil dodatkowych zarobków. Robotnikom a szczególnie oficyalistom prywatnym podobna kombinacja nadprogramowego dochodu już rzadko się udaje.

Francuz jest bardzo wymagającym chlebowdawcą. Pracownika swego szanuje, nie poniewiera nim, nie uchybia jego godności ale wymaga odeń intezywniej, natężonej pracy. O godzinie 8 rano musi być przy swoim biurku bankowiec i, z godzinną przerwą na śniadanie, musi trwać do godziny szóstej wieczorem. O godzinie siódmej rozpoczyna dzień pracy subjekt handlowy, — o godzinie piątej rano musi być na stanowisku posługacz restauracyjny i t. d.

Żadnych przy tem ustępstw od przyjętego regulaminu, żadnego pobłażania dla opieszałości lub nie-

udolności i brak zupełny takich stanowisk, gdzie trzech pełni pracę, wartą jednego, a wzamian pełno takich, na których jeden pracuje za trzech. Na traktowanie pracy swej z punktu czyszczenia paznogi, czytania gazet i zabijania przepisanego czasu zajęć może pozwolić sobie we Francyi jedynie funkcyjny państwowy, ten nieodrodny swych europejskich kolegów towarzyszy a współczesnej cywilizacji pasożyt.

Pomimo bardzo uciążliwych warunków pracy, Francuz lubi trwać przy chlebobawcy, w tej samej instytucji czy przemysłowym zakładzie przebywa lata, od wyrostka zaczyna a kończy, gdy mu głowa pobieleje. Unika starannie pokus wyższego awansowania, idzie wolno od szczebla do szczebla, zasługuje się, na miejscu porasta.

Ten fakt jest aż nadto dobrze znanym bywalcom Paryża. Ci bywalcy co dnia stwierdzają, że, po latach niebytności nad Sekwaną, wita ich ten sam służący w hotelu, ten sam dysponent w kawiarni, ten sam kasyer w banku.

W ten sposób oficjalista, pracownik prywatny staje się niejako nierozłączną całością danego przedsiębiorstwa, członkiem rodziny swego chlebobawcy. Rezultat stąd płynie dodatni dla obu stron.

Rzutkość pracownika, polegająca na zajmowaniu przezeń rozmaitych posad, we Francyi ma wartość ujemną. Lichy pracownik, który miejsca nigdzie nie zagrzał. Dla tej samej racji człowiekowi w sile wieku bardzo trudno znaleźć pracę, bo chlebobawca widzi w nim materyał już zużyty, bo rozumie, iż

jest już za leciwy, aby zdołał dać mu ekwiwalent za czas, gdy on, chlebowdawca, będzie go musiał trzymać.

Wielostronność na rynku pracy powszedniej, francuzkiej również nie ma popytu. Francuz wierzy w specjalizację pracy i tej specjalizacji, trzeba przyznać, zawdzięcza swą handlową i przemysłową potęgę. Stąd nigdy nie potrafi zgodzić się, aby ktoś mógł poszukiwać stanowiska kasyera, buchaltera, korespondenta, magazyniera lub rządcy domu... Bo dobry kasyer nie może być dobrym korespondentem a dobry korespondent dobrym magazynierem. Kto był wybornym sprzedawcą towarów galanteryjnych ten nie może kandydować o posadę sprzedawcy w składzie maszyn do szycia.

Organizacje pracy są we Francji silne i możliwe,— lecz bynajmniej nie groźne dla ustroju społecznego i państwowego. Robotnik francuzki chętnie przystępuje do związku zawodowego i chętnie poddaje się jego władzy dotąd, dopóki związek, jako ciało zbiorowe, na drodze pokojowych układów z chlebowdawcami osiąga dlań lepsze warunki. Ten sam atoli robotnik zgoła nietęgim jest materiałem, gdy przychodzi moment bezrobocia i czynnych z kapitałem zatargów.

Robotnika francuzkiego możnaby w tym razie pomówić o brak solidarności, o brak zmysłu korporacyjnego, gdyby nie okoliczność, że robotnik ten wyrósł ponad te oklepane frazesy. Doświadczenie długoletnie nauczyło go przecież, że, poza normy rachunku wykraczać, to znaczy żądać niepodobień-



stwa, że hasła o tryumfie pracy, o zgnieceniu kapitału są jeszcze utopją, na której wypływają agitatory i menerzy zmów robotniczych na kapitalistów.

A dalej, robotnik francuzki nie byłby indywidualistą, nie byłby Francuzem, gdyby bezkrytycznie, na ślepo, szedł za rozkazem sekretarza związku i za rozkazem zaniechania pracy, skazania siebie i rodziny na nędzę, na uszczuplenie oszczędności!

Ten pogląd, właściwy przeciętnemu robotnikowi francuzkiemu, czyni, że bezrobocia tam nadewszystko wybuchają, gdzie żywioł robotniczy stanowią wyrobnicy, ludzie nieukształceni zawodowo, rozbitkowie losu czy jego pasierbowie. Więc, na przykład, strajki są trzykroć razy częstsze przy robotach ziemnych niż przy murarskich. Następnie procent rezultatów strajków trzyma się stale stosunków — powodzenie 20%, układy 40% i stanowcze chybiecie bezrobocia 40%.

Rezultatom tym grozi nadto zmniejszenie jeszcze szans powodzenia strajków. Polepszenie warunków pracy w danym dziale produkcyi wywołuje podwyższenie cen artykułów codziennego użytku i niechęć ogółu ludności do sprawców mimowolnych drożyzny. Sprawcom zaś rzekomą podwyżkę płacy zamienia w illuzję krótkotrwałą.

Ludność zresztą Francyi, z przedziwnem poczuciem słuszności, sama niejako dzieli pretensye robotników na uzasadnione i nieuzasadnione. I, o ile pierwszym sprzyja, o tyle gnębi drugie. Strajk pocztowy, między innymi, zdławił nie wybieg prezesa gabinetu Clemenceau, jak głosiła wieść, lecz opinia



publiczna, która wręcz wrogie, wobec strajku, zajęła stanowisko. Pełnomocnicy strajku dla tego jedynie niby to dali się wyprowadzić w pole prezesowi gabinetu, że czuli, iż lada chwila solidarność pryśnie, podda się władzy wyroku opinii społeczeństwa. Ostatnie bezrobocie kolejarzy mocniej jeszcze potwierdza rację, że ani terror, ani hasła solidarności, ani energia wodzów nie są w stanie skłonić pracowników francuzkich do zerwania z sumieniem obywatelskiem.

Praca Francyi jest bujną, wytrwałą i rozumną, ma za sobą tradycję przedniości, ma zasługi wielkie, ale i, przy tych niepożytych cnotach, nie ostałaby się wypowiedzianej jej walce, gdyby nie geniusz, gdyby nie to parcie całego narodu ku zdobywaniu nowych terenów, nowych źródeł wytwórczych, ku dźwiganiu się, ku przodowaniu.

Rozkwit przemysłu amerykańskiego, i niemieckiego i ogólnoeuropejskiego, w ciągu ostatniego dziesięciolecia, a co za tem idzie konkurencya i walka celna — nie zdołały osiągnąć Trzeciej Rzeczypospolitej. Bo w tym czasie, gdy Niemiec pomysłowość swoją redukował do produkowania instrumentu, który, według życzenia, mógł być i laską i parasolem, lub konstruował glon stali tak, aby mieścił się w nim i scyzoryk, i wykałaczkę, nożyczki i grajcarek, łyżeczka do czyszczenia uszu i pilnik do paznogci, szpikulec i haczyk do zapinania rękawiczek, dłuto i wytrych — gdy dowcip niemiecki walczył z francuzkim zbudowaniem takiej papierośnicy, że, przy poczęstowaniu, pokazywała gościowi tylko je-

dnego jedyne go papierosa — w tym samym czasie, Francuz, nie kusząc się o zaimponowanie amerykańninowi potwornością rozmiarów machin, ani anglikom ich liczbą — zdołał stworzyć samodzielnie nowe dla się kopalnie bogactwa — bo fabrykację samochodów, łodzi podwodnych a na koniec aeroplanów.

Pierwszy z tych wynalazków dał już Francji miljardy, — drugi i trzeci zapowiadają chmury złota, które, zanim zdążą w ulewę się zamienić, na ziemi francuskiej nowa skra myśli nowym płomieniem tryśnie. Bo na ziemi francuskiej myśl nie zaprzestaje skier krzesać, bo duch narodu francuskiego nawykł na czele iść, drogę ludzkości mościć a nie wlec się za porośniętymi w tłuszcz knechtami cywilizacji.

## NORMY MORALNOŚCI.

Zasługa literatury. — Ostrzeżenia Micheleta i ich bezsilność. — Następstwa. — Żywe świadectwa. — Pomieszanie dwóch różnych norm moralności. — We Francyi wszystko wolno cudzoziemcom. — Statystyka kryminalna w stosunku do tych ostatnich. — Arkadya międzynarodowego konglomeratu. — Import zagranicy i przemysłnictwo mniej szlachetnych upodobań. — Pożądanie sensacji. — Figle przedsiębiorczości. — Liczba cudzoziemców, zalety żywiołu napływowego. — Zapytania.



Nie tylko uczciwe kobiety nie mają historyi — jak rzekł niegdyś Maupassant, — gdy go zapytano, dlaczego swego potężnego talentu nie zażyje na skreślenie dziejów kobiety godnej i na czystym tle, — lecz, co gorsze, dla literatury francuskiej ostatnich stu lat nie miały historyi i uczciwe rodziny.

Pościg za niezwykłością tematów, obok prawdy, że cnota obyczajowa, ta na każdym załamie ulicy spotykana, bywa ubogim tworzywem, unosił autorów francuskich, w miarę wszechświatowego rozpowszechniania ich dzieł. Szalone powodzenie, jakim cała Europa witała każdy „śmielszy“ francuski pomysł literacki podniecało póty fantazję aż ją do rozpasania doprowadziło.

Zaczęła się, w literaturze francuskiej, istna orgia uogólniania najbardziej oderwanych rysów ułomności ludzkiej, polowanie już nie na nowy układ trójkąta małżeńskiego, na powikłanie psychologiczne, lecz na każdy ślad gangreny moralnej. Wielkie pod czas zdolności pisarzy czyniły, że płód wyobraźni, ozdobiony subtelnymi cieniami, przeistaczał się w dokument życiowy.

Jedni pisali utwory sprośne wprost, że sprośność popłacała i była w modzie, drudzy, mniej

szczerzy, lecz utalentowani, pisali je pod znakiem potrzeby leczenia ran, trzeci pisali sprośności z dobrą wiarą zarówno w ich rozwielenie, jak i w obojętność ich przedstawiania, ostatni na koniec piszą je, bo wzrosła w ich atmosferze, bo nie, pisać o nich nie są zdolni.

Juliusz Michelet, już w r. 1844, w przedmowie do *«Le Peuple»* biadał nad oczywistym znieprawianiem życia rodzinnego Francji przez literaturę. Michelet, już w 1844 roku, dociekał, „czy istotnie te książki francuskie, które cieszą się w Europie taką popularnością, takim wpływem, obrazują Francję”— a wypominał, że urojenie wielkich pisarzy wprowadza życie społeczne miast francuskich do obcowania recydywistów kryminału z uwolnionymi galeonkami, obcowania, regulowanego pięścią policyi.

Przestrogi atoli Micheleta nie zdołały nawet osłabić gwałtownego pędu literatury francuskiej do naturalizmu, do Maupassanta, Zoli, do ich mniej sławnych, lecz bodaj jaskrawszych, brutalniejszych w realizmie naśladowców.

„Francja dalej rozbierała się“, rozbierała do naga i to w obliczu ludów, zwykłych jawić się na forum Europy w togach, kryjących starannie ich kalektwa i niedostatki. I nie dość, że się rozbierała, lecz przyznawała głośno do grzechów niepopołnionych, do chorób, którym nie ulegała, do cierpień, których nie zaznała.

Literatura francuska w istocie pragnęła być zwierciadłem bólów, wrzodów, dramatów i namiętności, trawiących, nie jeden naród, ale całą ludzkość. Lecz

z natury nadto zachłanna, zbyt nacjonalistyczna, aby artyzm swój poświęcać odtwarzaniu cudzych krajobrazów, nie własnych typów, ogniskowała akcję zawsze nad brzegami Sekwany lub Loary. Tu musiały rozgrywać się ohydne historie, inspirowane wiadomościami, nadeszłymi z Madrytu lub Medyolanu, tu działy się tragedye rodzinne, będące wariantami na tle Borgiów i Cencich. Kronika kryminalna całej nieomal Europy stroiła się w barwy pierwszej lub drugiej rewolucyi, cesarstwa, komuny czy restauracyi Burbonów i otrzymywała francuzkie obywatelstwo.

Bezpośredniem tego następstwem było, że, zanim ludy, bądź nasycone oglądaniem nagości, bądź rozkwitem własnego piśmiennictwa pociągnięte, zaprzestały tłoczyć się dokoła literatury francuzkiej, już dobyły z niej dowód niewzruszony, że Francya stała się pastwą zepsucia obyczajów, że nierząd portargał w niej więzy ładu społecznego, sponiewierał normy moralności i zepchnął ją nad brzeg przepaści.

Dowód ten, urobiony przez literaturę francuzką, znalazł niebawem potwierdzenie w relacjach „naukowych świadków“, a wreszcie, dzięki prasie, dzięki nieustannemu dowodzeniu tychże świadków — stał się dla Europy nierozdzielną częścią wyobrażenia o Francyi.

O ile jednak trudno uwierzyć, iż na to wyobrażenie o Francyi zapracowała nieopatrność literacka, o ile można się zgodzić, iż jedynie nawyk wsłuchiwania się w odgłosy, idące z Paryża, obok sztuki dzien-



nikarstwa francuzkiego, czynią ze zbrodni, popełnionej przez Josephe'a Mouton'a, na ulicy Rivoli, paneuropejską sensacyę, a takąż samą zbrodnię, popełnioną przez Józefa Barana, w zaułku lwowskim lub poznańskim, redukują do wypadków, obchodzących kryminalistykę jednego miasta lub miasteczka, o ile na takie założenie łatwo można by przystać, o tyle trudno wszystkie „żywe świadectwa“ pomówić o złą wolę, o chęć spotwarzenia Francyi.

Na szczęście dla tej ostatniej nie ma powodu do podobnego zarzutu, bo żywe świadectwa grzeszą tylko pomieszaniem dwóch zgoła odmiennych norm moralności, a raczej wymienianiem i opisywaniem drugiej, tej importowanej, tej obcej, a pomijaniem pierwszej, rdzennie francuzkiej.

Dwie bowiem normy moralności bytują i rozwijają się na ziemi Trzeciej Rzeczypospolitej. Pierwsza z nich tyle zaledwie różni się od ogólnoludzkiej, ile różni sąd człowieka dojrzałego, pogodnego, już wyrozumiałego na błędy, od sądu młokosa-zapałca, z którego niewiadomo, co wyrośnie, opryszek czy Katon. I ta pierwsza norma poczęła się, zmężniała i zrosła się ze społeczeństwem francuzkiem.

Druga norma moralności, zapoczątkowana przez arystokrację francuzką, a przez arystokrację napływową rozkrzewiona, stała się wytyczną kroci, zjeżdżających do Francyi, cudzoziemców.

Pierwsza z tych norm idzie ręką w rękę z pracą, trzeźwością i czystością myśli i uczuć, — druga hula z próżniactwem bogaczy, przybywających użyć w stolicy świata, obcuje z mętami międzynarodowemi,

ciągnącemi za blaskiem złota i zadaje się z mrowiem cyganeryi i młodzieży cudzoziemskiej, pozbawionej ciepła i kontroli życia rodzinnego.

Oczywiście pierwsza z tych norm jest tą banalną, cikliwą, nudną, nie posiadającą historyi, — druga pali podniebienia schyłkowców, o ekstazę przyprawia histeryczki, usypia godność, skłania do nurzania się w błocie, w imię kłamstwa, że taki w Paryżu obyczaj, a raczej... nieobyczaj...

We Francyi, według tej wtórej moralności, wszystko wolno i wszystko „jest przyjętem“...

W myśl tej zasady, cnotliwi mężowie niemieccy, w towarzystwie cnotliwych żon, dążą do „Moulin Rouge“, zacny ojciec rodziny z małżonką i kuzynem-lekarzem, powagą medycyny warszawskiej, a osobliwości paryzkich znawcą, zasiadają przy stoliku na „Bal Tabarin“ i zabawiają się rozmową z damami rysztołowemi, które lekarz obtańcowuje, tłumacząc zacnym obywatelom, że w Paryżu... inaczej nie wypada! Dla tej samej racyi zakłady w rodzaju „Folie Bergère“, „Marigny“, „Olimpia“, „Bal Bullier“ roją się od szumowin i cudzoziemców. Dla tej samej racyi, młoda mężatka, rozpowiadając w Krakowie o miejscach, które zwiedziła, w czasie podróży poślubnej, wymienia bez zająknięcia nocny paryzki „bajzel“ „Au rat mort“, nie myśląc wcale, że mówi o norze rozpusty, norze, dźwigającej nazwę nie pachnącą „Pod zdechłym szczurem“.

Dla tej samej racyi, dama angielska, purytanka czystej krwi, idzie do byle budy, wysłuchuje z powagą bezeceństw i stwierdza, że dokoła niej pełno

jest równie przyzwoicie wyglądających... cudzoziemców. Zawsze dla tej samej racji, przeciętny „radca“, używając pełni incognita, bierze damę z półświatka pod pachę i paraduje z nią publicznie, bo to we Francji uchodzi tysiącom różnojęzycznych radców...

Ba, i co ciekawsze — większość tych mężów i dam zachowuje na wieki przeświadczenie, że, napawając się miazmatami „Moulin Rouge'u“ lub przechadzając się w tłumie targowiska ładacznic, w teatryku „Marigny“, dostrajało się, w stosunku do Francuzów, do mądrości towarzyskiego przysłowia: „wlażęś między wrony — krakaj jak one“. Żadnemu z tych mężów nie przyjdzie na myśl wziąć pod uwagę, że, na 400.000 cudzoziemców, zjeżdżających corocznie do Paryża, ledwie dwa tysiące zwiedza katakomby, ledwie dziesięć tysięcy ogląda galerie Louvre'u, nie dla snobizmu, lecz w zamian 350 tysięcy z całą pasją podniecenia chłonie wszystko to, co nad Sekwaną cuchnie wyuzdaniem i rozwiązłością.

Lecz ta moralność cudzoziemska importuje do Francji nie samych tylko konsumentów, nie samych biernych widzów. Statystyka urzędowa ma w tej mierze zgoła wyraźne dane.

Naprzykład, w ciągu jednego tylko roku 1906\*) francuskie sądy przysięgłych wyrokowały o losie 47 cudzoziemców, obwinionych o morderstwa, 20

---

\*) *Compte Général de l'Administration de la Justice Criminelle pendant l'année 1906, présenté au Président de la République par le Garde de Sceaux, Ministre de la Justice et des Cultes. Paris. Imprimerie Nationale 1908.*

o zabójstwo, 15 o zadanie ran, powodujących śmierć, 40 o spędzenie płodu, 2 o gwałt, 22 o zgwałcenie nieletnich, 23 o fałszerstwo pieniędzy, trzech o podpalenie, 14 o oszustwo, 73 o kradzież cięższego gatunku. Ogółem w ciągu roku 1906, sądy przysięgłych sądziły 117 zbrodni, popełnionych przez cudzoziemców, a godzących na życie i zdrowie i 118 zbrodni, popełnionych przez cudzoziemców, a godzących na mienie.

Statystyka Trybunałów poprawczych francuzkich, którym podlegają mniej ciężkie przestępstwa — wykazuje w tymże roku 1906 aż 15.512 cudzoziemców, sądzonych przez rzeczne trybunały.

W tej liczbie:

3657	za kradzież
3163	„ zadanie ran i stłuczeń
1182	„ włóczęgostwo
277	„ nadużycie zaufania
254	„ oszustwo
296	„ wykroczenie przeciw obyczajności
587	„ żebractwo
1493	„ zakłócenie ładu publicznego
786	„ naruszenie cudzej własności
564	„ godzenie na zdrowie i honor osób
3255	„ uchybienia różne przepisom prawa

O ile tę statystykę uzupełni się szczegółem, że paryzka Prefektura policyi\*) arestuje rocznie, prze-

---

\*) *Annuaire Statistique de la Ville de Paris. Masson et Ci Editeurs Paris 1908 i poprzednie.*

cięciowo, 1900 cudzoziemców, w czym tylko 80 „pań“, zajmujących się bądź kradzieżą kieszonkową, bądź okradaniem magazynów, że też sama Prefektura zniewoloną jest do aresztowania 1500 prostytutek cudzoziemek, przecięciowo, rocznie, że, наконец, oddział pomiarów antropometrycznych dokonywuje na cudzoziemcach około 800 operacji rocznie, które pozwalają mu wykazywać z górami 300 „dobrych znajomych“, nie mających ochoty do wypominania swych poprzednich z kodeksem zatargów, o tyle można mieć już słabe pojęcie o gatunku moralności, importowanej przez Europę do Francji. Dlatego słabe, że statystyka nie ogarnia jeszcze tysięcy, szukających kryjówki w tłumie paryżkim, ani tysięcy pełnąkących na krawędziach prawnej odpowiedzialności.

Francja, a szczególności Paryż, ściąga wszak legiony ptaków niebieskich, zastępy całe bogatych pustaków, chłystków, którzy nie tylko żywią nierząd, lecz go szerzą, bogacą, nie tylko uganiają się za modnymi pięknościami, lecz polują na ubogie szwaczki, nieopatrzone dziewczęta i przywodzą je do upadku. Wielki liberalizm, poszanowanie „habeas corpus“, nietykalność mieszkań, nie mieszanie się zupełne władzy do stanu cywilnego osób jest dla cudzoziemców istną Arkadyą. Tu bowiem, o ile do starcia z prawem nie dochodzą, mogą do woli przybierać książęce, hrabiowskie, baronowskie tytuły, udawać potomków królewskich rodów, pretendentów do tronu, profesorów, dygnitarzów, grandów hiszpańskich czy poprostu uczciwych ludzi... Nikt

tu do nich się nie wtrąca, nikt nie zapyta ani o metrykę, ani o akt ślubu, ani o paszport... A nawet, w krytycznym momencie potrzeby sporządzenia aktu prawnego, urzędnik francuzki umie zlitować się nad głupotą czy lekkomyślnością ludzką i, choć napisze tylko prawdę, bąknie głośno coś, co zakrawać będzie na „prince“, na „comte“, na „mariée“.

Każda narodowość, krom swoich przedstawicieli, swoich artystów, uczonych, podróżników, arystokratów, magnatów i burżujów przywozi do Francyi i swoich lichwiarzy i passerów i karjerowiczów, zdecydowanych na wszystko, i diwy, rwące się do lekkiego życia, i modelki, i rewolucjonistów i anarchistów i szalbierzy, udających działaczy politycznych, i gromady stręczycielów, pośredników, faktorów, nicponiów.

Każda nadto narodowość, nawet w sprawie najgodniejszych ludzi, przemycać, umie do Francyi złe instynkty. Iluż bo turystów dąży nad Sekwanę z głową nabitą „Tajemnicami Paryża“ — okropnościami i bezecenstwami, wyczytanemi w romansach a iluż z nich nie hołduje zasadzie, że trzeba i „to“ widzieć. Więc szukają, zaglądają tam, dokąd u siebie nie ośmieliliby się zbliżyć... A ileż razy „doświadczony“ obieżyświat utyskuje w gronie mężczyzn z żalem, iż, pomimo usilnych zabiegów, nie zdołał wykryć żadnej „nadzwyczajności“, którejby brakło Berlinowi, Wiedniowi lub Kopenhadze. Odczarowanie, stąd płynące, jest tak wielkiem, że przedsiębiorczość urzęda, naprzykład, kawiarnię homoseksualistów, w której chciwi osobliwości cudzoziemcy oglądają



się i nawzajem o zboczenie posądzają... Nie brak tu i kilku jaskrawiej ubranych komparsów, dla ozdoby kulis, bo zresztą widzowie sami i bezwiednie spełniają obowiązki aktorów. Policya oczywiście się nie wtrąca do tego *qui pro quo*, urobionego przez konfidencyjonalne zwierzenia ciceronów.

Tę inklinację turystów do pornografii równie znakomicie potrafią wyzyskiwać handlarze uliczni pocztówek, którzy zawsze posiadają w pogotowiu serye kart, zapakowane szczelnie i oblepione na wierzchu wrzaskliwą malowanką, przedstawiającą nagą kobietę. Starczy łysknąć tajemniczo cudzoziemcowi opakowaniem, aby, jeżeli jest nowicyuszem, wydobyć odeń kilka franków... za kilka najzwykleszych widoków Paryża, składających zawartość tajemniczej kolekcji.

Arytmetycznie, stosunek cudzoziemców do ludności rdzennej wyraża się następującymi liczbami\*). Francję odwiedza corocznie z górą  $2\frac{1}{2}$  miliona przejezdnych cudzoziemców, wytwarzając znaczny osad, wskutek stałej przewyżki przyjazdów nad wyjazdami. Osad ten daje w rezultacie, krom turystów — 1,033.871 cudzoziemców, przebywających stale na ziemi francuskiej. Godzi się zapamiętać, że w emigracyi dominują Włosi 330 tysięcy, Belgowie 323, Niemcy 90 i Hiszpanie 80 tysięcy, oraz, że w konglomeracie tym figuruje aż 11.198 osób w rubryce „narodowości nieznanej“.

Liczba cudzoziemców naturalizowanych wynosi

---

\*) *Statystyka roku 1901.*



(1901 rok) 221.784 i wzмага się, pomimo coraz surowszego ważenia kandydatur na obywateli Rzeczypospolitej. Za drugiego cesarstwa, największa liczba naturalizacyi \*) była zanotowana w czterolecu 1866—1870 i wyniosła 159 nowych obywateli, w ciągu czterech lat. Za Rzeczypospolitej, liczba naturalizacyi (bez terenów kolonialnych) wynosi, przecięciowo, rocznie 3000 (od lat 30) a w latach 1890, 1891 i 1894 przeszło pięć tysięcy rocznie, (5984, 5371, 5759). Liczby te nie zawierają nieletnich cudzoziemców ani Francuzów, wracających do obywatelstwa Rzeczypospolitej. Stąd gdy rok 1905 notuje tylko 2820 naturalizacyi — przyrost całkowity ludności naturalizowanej wynosi dla Francyi europejskiej 7172, a dla całego państwa francuzkiego (z kolonjami) 8413.

Na Paryż sam, łącznie z przyjezdnymi, osiadłymi i naturalizowanymi cudzoziemcami przypada około 700.000 żywiołu obcego, napływowego, chodzącego zdala od ruchu społecznego Francyi, od jej tęsknot i ołtarzy, poglądającego na nią przez pryzmat pożądania lub przesytu — żywiołu, którego najczystsze, najdodatniejsze warstwy nie zdolne są zneutralizować nawet, sączonych przez tenże żywioł do pogodnego ducha francuzkiego, trucizn nihilizmów i welszmerców.

I rzec można, bez przesady, iż ten żywioł obcy, ten konglomerat ludów, ta piana międzynarodowa, rwąca ze wszystkich krańców świata ku Sekwanie jest nadewszystko twórcą, ostoją i apostołem tego,

---

\*) *Compte générale de la Justice civile et commerciale.*

co we Francyi utożsamnić można z Babilonem. Wszak ci to on, ten obcy żywioł włóczy się od rana do świtu po bulwarach, knajpach, kotowiskach i śmietnikach, on ubiega o palmę pierwszeństwa w hulatyce, on z miasta wielkiej pracy czyni obocznie miasto wielkiego próżniactwa, lekkiego chleba, obok środowiska, mającego przymioty barometru doskonałej się ludzkości, zakłada środowisko bezimiennego sobkostwa — on nadto, żyjąc we Francyi nie głębinami jej bytu, nie nurtem, lecz powierzchowną skorupą, nie moralnością i etyką francuzką, lecz swoją własną, samowolną, wyłamana z pod kontroli społecznej — on, ten żywioł obcy, ma czoło głosić, że ta właśnie wynaturzona, skarłała etyka międzynarodowego konglomeratu jest drogowskazem narodu francuzkiego!

Dziwić i zdumiewać się trzeba obocznie odporności Francyi, iż tak dzielnie umie wytrzymywać ciśnienie cudzoziemczyzny, że bez terroru, praw ochronnych, bez obostrzeń policyjnych, ma zadość mocy wewnętrznej na pozostanie sobą, na zbywanie kalumnii pogardliwym milczeniem i na rozwój samorzutny, niezależny.

Lecz jakież więc zasady moralne wyznaje Francya? Gdzież są dowody, obalające zarzuty upadku cnót rodzinnych, zaniku wierności małżeńskiej, wynaturzenia zmysłowego, gdzież dokumenty, zdolne osłabić takie prawdy, jak bezpłodność, bezbożność lub gdzież są racye, władne umniejszyć przykłady korupcyi urzędników, lekceważenia praw, niesub-

ordynacyi armii i tych wszystkich hiobowych wieści, nadchodzących z Francyi nieustannie?

Na te pytania może odpowiedzieć tylko spokojne, bezstronne przyjrzenie się tym właśnie upadającym „cnotom, tej znikającej wierności małżeńskiej, tej bezpłodności, bezbożności i tej korupcyi społecznej i państwowej.



## RODZINA.

Pierwsze wrażenia. — Pogląd francuzów na ślub i małżeństwo. — Realizm. — Kobieta francuzka. — Jej charakter i jej wymagania. — Co wnosi mężowi. — Gospodarstwo. — Służba domowa. — Przeciwieństwo niemki i nie tylko niemki. — Praca francuzek. — Jej dorobek i treść — Definicja. — Mężczyzna. — Kult dla kobiety. — Mąż. — Wiarołomstwo. — Rozwody i separacje. — Rozwiązłość żonatych i mężatek. — Wątpliwości.



Życie rodzinne we Francji można porównać z temi pełnemi światła, nieba i przestrzeni widokami górskimi, których oglądanie jest jedyną ale i sowitą nagrodą wytrwałych. Tu i tam dostęp niełatwy. Tu i tam zawały monotonnych chmur, chmur szarych, skłębionych chmur. Tu i tam przymus kołowania, ostrożnego, powolnego pięcia się ze skały na skałę, ze zrębu na zrąb. Tu i tam słabych nie tylko zmęczenie w połowie zatrzymuje drogi ale i uczucie, że w górach jeno smutniej, niż na nizinach, zimniej, wietrzniej.

Lecz kto nareszcie dosięgnie szczytu, kto ponad chmury się dźwignie, temu i one srebrem się uścielą, temu lodowce tęczami zagrają, temu niebo i ziemia takie czary okaże, iż daremnie by powiadał wszystko nizinom. Nie uwierzą, nie zrozumią, nie wyrzekną się lęku przed zdradliwością oślizgłych kamieni, przed górskich lawin i nawałnic śmiertelnym miotem, przed gardzielami przepaści.

Jakoż rzut oka w głąb życia rodzinnego Francji daje odrazu wrażenie powietrza i światła, i światła aż rażącego swym blaskiem.

W pierwszej chwili trudno się z niem oswoić, trudno wyznać w jego pochodzeniu, zwłaszcza gdy się posiada zdecydowane o ustroju rodziny pojęcie.



Szuka się powagi głowy domu, żywiciela generalnego i najwyższego władcy, w oczach którego drzemią, zarówno łaskawe spojrzenia, jak i pioruny; szuka strażniczki-westalki, poddanej mężowi, szepczącej z dziećmi po kątach, wznoszącej instancje do patryarchy, w momentach krytycznych, westalki, jeżeli jeszcze nie stroskanej, nie zgorzkniałej, to na po domu, kwaśnej i zaniedbanej, jeżeli zabiegliwej i radnej to i gderliwej i niesfornej; szuka się na koniec czeredki dziełek dobrych ale skrytych, czeredki, której obowiązkiem jest milczeć, słuchać, kochać, cześć rodzicom oddawać, rość na pociechę, na zysk, na lichwę, na rentę, słowem procentować zawsze i w każdym kierunku, bez względu, że, krom życia nie dano im w kapitale często ani zdrowia, ani wykształcenia, ani majątku, ani wiary, ani miłości... Szuka się i nie znajduje naraz nic z tego, co gdzieindziej jest nastrojem i ładem rodziny.

Zresztą nie ma z początku ani czasu, ani mocy na dociekanie, bo oto jakaś pogodna, republikańska, rozchuśtana „fraternité“ „égalité“ i „liberté“ porywa widza, ogarnia. Pojmuje, że w rodzinie francuzkiej jest ciągle coś inaczej, lecz nie chwyta różnic, wie jeno, iż, pomimo tych różnic, dobrze mu, jasno we francuzkiem ognisku domowem i że wszystkim tu dobrze.

Dopiero czas i czkawka, wpojonych o instytucji rodziny, zasad budzi rozbiór krytyczny.

„Równość“, która wydawała się rezultatem wyjątkowego doboru charakterów danego stadła lub, zgodnem z duchem języka, nawykniem, uprawnia-

jącem dzieci do tykania rodziców, uogólnia się, pogłębia wespół z „braterstwem i „wolnością“...

Rozbiór krytyczny oczywiście zwraca się najpierw do mężczyzny i kobiety, do męża i żony, ojca i matki i postrzega, nieobserwowane gdzie indziej, znamiona czujności, logiki życia i sprawiedliwości.

Mężczyzna silniej, doskonale zdaje tu sobie sprawę z obowiązków męża, kobieta pełniej, dzielniej, wnika w zadania żony. Ani śladu owego przeświadczenia, że nierozzerwalność węzłów gwarantuje przymus znoszenia nadużyć jednego z małżonków. Ani śladu usiłowania ze strony mężczyzny do traktowania żony, jako istoty niższej, ani śladu w kobiecie pociągu do niewolnictwa.

Ślub nie jest dla Francuzów epilogiem, lecz początkiem nowej, trwalszej, potężniejszej miłości i nie pierwszym, nudnym, rozdziałem pożycia, którego każdy dzień nowe odczarowanie, nowe zniechęcenie budzi, lecz rozdziałem, którego każda stronica jest nowem ogniwem przyjaźni, zaufania, nowym kochania dokumentem.

Ludy przeczulone, skłonne do pograżania się w wizjach, lubujące się w przeznaczeniach, satanizmie, zamęcie psychologicznym, snadnie mogą zarzucić miłości pary francuskiej zbyt ni realizm, zbyt nią trzeźwość, ziemskość, cielesność... Zarzut ten atoli odpięra znakomicie nieunikniony dodatek i „logiczność“, która nie pozwala, przy kalkulacyi małżeństwa, brać tylko pod uwagę strony duchowej lub stawiać ją na pierwszym planie, gdy istota małżeń-

stwa jest najpierw materyalną, ziemską, cielesną a także i duchową czasami... Czego dowodem, że pokojówki i kucharki bywały doskonałemi żonami nawet potężnych umysłów a bardzo płytki mężczyźni potrafiały uszczęśliwiać nawet niebotyczne mózgi kobiece.

Więc realistyczne pojmowanie małżeństwa króluje we Francyi, co znaczy, iż jednocześnie ani razi, ani nie wyklucza poezyi, ani nie umniejsza uniesień, jeno zwraca je tam, gdzie im przestronniej, swobodniej, bezpieczniej. Wrodzona bowiem subtelność i uczuciowość Francuzów chroni ich od przesady w realizmie, od jego zgrzytów.

Narieczona zatem nie tylko wie, ile jej przyszły zarabia, lecz, i ile centimów ma frank i ile franków chłonie takie lub inne gospodarstwo. Narieczony zaś pamięta, że niebiańska postać sądzonej będzie zdzierła tyle a tyle par trzewików rocznie, tyle a tyle niszczyła szat; pamięta, że, choć miło mu słuchać zwierzeń, iż wybrana jego deklaruje się suchym kęsem chleba żyć, byle z nim, choć i on, w zasadzie, na podobną determinacyę gotów się zgodzić, — lepiej przecież jej uniknąć, lepiej myśleć zawczasu o okrasie, która i miłości na zdrowie wypadnie.

To rozumowanie podziela w głębi i narieczona. To rozumowanie przejmuje wskroś arkany przyszłego małżeństwa i daje w zysku mnóstwo wzorowych, zgodnych stadeł, daje czterekroć więcej, niż gdzieindziej, dobrych mężów, zacnych ojców, idealnych żon i matek.

Idealnych? — Bezwzględnie. Gdyby ci wszyscy

myśliciele, od Montegazzy począwszy, a przyznający kobiecie francuzkiej najwięcej zalet „na kochankę“ zadawali się mniej z ladacznicami, gdyby docierali do istoty życia rodzinnego Francuzów, do kobiet uczciwych, zmieniliby zdanie, nawet kosztem uchybienia niewiastom własnej narodowości, którym, z reguły szowinistycznej, ofiarowuje się palmę pierwszeństwa na żonę.

Francuzka bowiem nadewszystko jest uosobieniem kultu swej płci. Najpełniej, najsztelniej umie trwać przy kobiecym wdzięku, nie zaniedbuje się nigdy, z małżeństwa nie bierze prawa do negliżu, do opuszczenia, do skwitowania, w stosunku do męża, z zalotności, jako już bezużytecznej broni. Przeciwnie, ma ambicyę podobania mu się, nie tylko jako żona, lecz i jako kobieta, nie dla sakramentu, nie dla przysięgi narzeczeńskiej żąda miłości, lecz żąda jej dla uroku, który wywiera, dla powabów, które roztacza. Jeżeli miłość może być nazwana kwiatem, to kobiecie francuzkiej, należy się miano czarodziejki, posiadającej moce niezbadane, chroniące kwiat od zwiędnięcia.

Francuzka nie czuje się upośledzoną dla tego, że nie jest mężczyzną, bo chce, umie i lubi być kobietą.

W pożyciu małżeńskim Francuzka ma wymagania, ma postulaty, od których nie odstępuije. Nie pozwala się zamykać mężowi na dwa spusty, nie pozwala się wyrzucać za nawias spraw i działalności męża, musi znać stan jego interesów, musi wieidzieć o jego zamysłach, musi mieć prawo głosu

w każdej ważniejszej kwestyi. Nie znosi apaty małżonka, nie ma zachowania dla ogólnikowych odpowiedzi, dla nieodgadniętych kwasów głowy rodziny, dla męzkich zebrań, klubów i aspiracyj, o których „kobieta nie ma pojęcia“...

Ale i jeszcze nie tu kończą się jej wymagania.

Mąż jej, o ile osobistego i znacznego majątku nie posiada, — musi pracować i pracować intensywnie, bo ona ani myśli poprzestać na wegetowaniu, bo chce dobrze, przyjemnie żyć, chce się bawić i istnieć, mieć zadość na opędzenie nie samych potrzeb codziennych ale i na oszczędzanie.

Każdę wolną od pracy chwilę mąż musi spędzać z żoną, za takt i serce musi płacić taktem i sercem.

Na straży tych wymagań kobiety czuwa jej wrodzona inteligencya i przezorność.

Francuzka nie bagatelizuje niczego w pożyciu małżeńskim, niczego nie lekceważy. Baczy nawet na chmurki, na obłoczki przelotne. Umie grożące jej szczęściu niebezpieczeństwo niweczyć w zaraniu. Przebacza wiele mężczyźnie, ale za winę ma nawet drobne uchybienie. Wobec ludzi lubi być z mężem na pan i pani, ale w domu nie uznaje nie tylko oddzielnych sypialni, ale i oddzielnych łóżek.

Tak, Francuzka wiele wymaga, wiele żąda od męża ale nie mniej wiele wymaga od siebie samej, nie mniej wiele wnosi do małżeństwa rzetelnych, bezspornych cnót.

A więc swawolna, nastawiająca usta do całunku, wietrznica, strojnisia, jest zawsze znakomitą gospodynią, a dokładniej, dobrą wrózką całego ładu do-

mowego. Systematyczna i punktualna, nie chybiająca na sekundę etapów dnia, choćby znajdowała się w świetnych warunkach materialnych, nie sroma się pracy, krzątania, troszczenia o porządek, czystość i wygodę. Bez hałasu, bez wrzawy i kłótni sprawuje obowiązki pani domu, lecz częściej przodownicy żniwnej, towarzyszki pracy jedynej służącej a, co najczęściej, obowiązki własnej sługi, praczki, pomywaczki i szwaczki i kapelusznarki.

Jeno zasobne bardzo domy mogą sobie pozwolić na zbytek posiadania służącej. Pokolenie nowożytnych paryasek, godzących się na niewolnictwo za lichą zapłatę, barłóg w kącie kuchni i ochłapy ze stołu wyginęło tu bezpowrotnie. Pośledniej słudze trzeba dać oddzielny pokój, dobry wikt, pięćset franków rocznie i pamiętać o jej prawach do snu, do wytchnienia, do zabawy i do wdzięczności, poza umówioną zapłatą.

W budżecie francuzkim utrzymanie byle sługi wynosi tysiąc franków rocznie z okładem. Stąd, jeszcze przy 6000 frankach dochodu (nieomal 2400 rubli), Francuz zaledwie ma na opłacenie kilku godzin przychodniej posługaczki. Równocześnie, umiłowanie swobody, niezależności, zawodów, gwarantujących bezmienność pracy, w stosunku do konsumenta, przerzedzają szeregi służby i czynią posiadanie jej coraz niedostępniejszem.

Francuzka z całą pogodą przystała na tę ewentualność, poddała się duchowi czasu i gospodarstwo domowe doń przystosowała, co znaczy, że zaprzęгла inteligencyę do ułatwienia, uproszczenia najordynar-



niejszej pracy. Wynikiem tego jest dążność stała do nie czynienia nieładu, do oszczędzania, do wzmożenia czystości i do spotęgowania szybkości przeistaczania damy i pani w służę a służę w damę.

Gap' europejski, wpatrujący się natarczywie w białą, wąską rączkę paryżanki, ślizgającą się z wdziękiem po falach wybieranego w magazynie jedwabiu, taki gap' nie uwierzyłby, że taż sama rączka i tego samego dnia wyfroterowała podłogę, sprzątnęła trzy pokoje, wyszorowała statki, że, to dzięki tej samej rączce pięknie umeblowane mieszkanko paryżanki lśni, błyszczy, pociąga harmonją, symetryą i tem genialnem „esprit“, który na każdym przedmiocie ślad ducha wyciska.

Francuzka jest w kierunku gospodarstwa domowego przeciwieństwem Niemki.

Ostatnia zamięłowanie do porządku wyraża przez zatapianie mieszkania dwa razy na tydzień rozczynem szarego mydła i napełnianie go regularnie wilgocią, Francuzka podłogi zaprawia woskiem, lustrem chroni je od zbrukania.

Niemka lubi nurzać się w pyle i brudzie, gdy się go pozbywa. Na poły odziana, pławi nogi i ręce w mydlinach i pomyjach, paznogciami skrobie deski, stolnice i niecki. Szoruje wszystko aż do zdarcia farby, politory, aż do odrapania, aż do rdzenia; kocha się w naczyniach, rondli, garnków musi mieć na pół regimentu, lecz oszczędza na materyale. Jest wyznawczynią łożów, tłuszców zbieranych tygodniami, margaryny, kręci godzinami papierowe fidi-busy dla wydania mniej na zapałki, trze cegłę, aby



nie kupić pasty chemicznej do noży. Kolekcjonuje kości, skórki od pomarańcz, skrawki szpagatu i tym podobne resztki. Ma ambicję robienia w domu wszystkiego i ciast, i konfitur, i chleba, i konserw, i serów, i octu, i kitu do okien, i pomady do włosów i farb. I zalewa się łzami, gdy jej zakasane po łokcie ręce, ręce spracowane, spękane, gdy jej spocona twarz, gdy jej nieszczęścia gospodarskie, wynikające z zakalca, z pleśniejących komputerów, nie znajdują echa serdecznego u małżonka, gdy ten nie ma zachwycenia nawet dla strzykania w krzyżu, o które przyparowała ją wzmożona, przedsezonowa praca.

Francuzka innemi chodzi drogami. Nieład i nieczystość traktuje jako to, co trzeba usuwać, tępić, lecz dla czego nie godzi się wystawiać siebie samej na zniszczenie. Do sprzątania wdziewa szczelnie otulającą bluzę-fartuch, spowija głowę chustką i nakłada rękawiczki. Nie znosi w domu żadnej rupieciarni, żadnych kolekcij. Operuje kilku zaledwie rondelkami; potrafiła oddawna skłonić dostawców artykułów żywności do uwolnienia jej od rąbania, bicia mięsa, żyłowania, szamotania się z głąbami, pękami zielska, dzwonienia moździeżem, łomotania po stolnicy. Do zmywania naczyń używa gałgana, oprawnego w kij. Ług, soda, kreda, grafit, opilki żelazne i żelazne strużyny umiejętnie, dowcipnie przez nią stosowane, czynią pracę Francuzki, około utrzymania porządku domowego, łatwą i piorunową. Tem bardziej, że Francuzka oddawna zrozumiała, iż na fantazyę robienia konkurencyi cukiernikom, pa-sztetnikom, perfumiarzom i t. p. może pozwolić so-

bie jeno bogate gospodarstwo, rozporządzające armią uzdolnionych odpowiednio sług i arsenałem doskonałych aparatów. Francuzka oddawna zrozumiała, że dorobek z tak niezgodnego z duchem postępu i rozwojem żywnościowych udogodnień gospodarstwa nie równoważy straty czasu, że mąż, dla talentów piekarskich żony, nie przebaczy jej zaniku wdzięków.

Ale z tych racyj nie należy wyciągać wniosku, że Francuz odżywia się gorzej od Niemca! Przeciwnie, ten ostatni wyobrażenia nie ma o tak przeczulonym smaku, o takiej różnitości potraw, o takim wykwincie jedzenia, jaki jest chlebem powszednim we Francyi. Tajemnica pozornej sprzeczności leży w prawdzie, że wykwintem kuchni francuskiej jest jej prostota, brak sosów, kłajstrów, odgrzewania, kiszenia, warzenia długotrwałego, inteligencya gospodyn i sens urządzenia życia.

Gdy Francuz staie na progu mieszkania, w oznaczonych na śniadanie i obiad godzinach, wita go nie kucharka, lecz strojna, roześmiana małżonka, stół zastawiony, jadło gotowe, ład i czystość.

W pół godziny po śniadaniu lub obiedzie, giną jego ślady, zapadają się, niby pod ziemię. Kobieta francuska ma czas wolny na udanie się za sprawunkami, na wytchnienie, na spacer, wizyty, na oddanie się ulubionym czynnościom wertowania fejttonów, mód, przystrajania sobie kapeluszy, szycia sukien.

Obowiązki matki komplikują naturalnie taki rozkład dnia, lecz nie wyczerpują, bo przeciętna Francuska nie ogranicza na tem swej roli, przeciętna

Francuzka idzie dalej, bo ima się pracy, która już nie wygody, nie statku domowego sporzy, lecz bogactwa przyczynia...

Niemka, i nie tylko Niemka, w obliczu skromnego budżetu, skąpi sobie, żyje ziemniakami, byle patrzeć w oblicze męża, zajadającego befsztyk; śleczy po nocach nad uciukaniem pary bardzo ordynarnych, groszowych skarpetek; chroni co się da od zniszczenia, więc obwiesza cały dom pokrowcami, włóczkami, serwetkami nicianemi, patarafkami, futerałami. Co kroku rozsnuwa męczącą, nędzną drobiazgowość pracy pajęczej. No i martwi się, bo-  
leje, wyrzeka na los, na kobiecość swoją, na pomstę, która pajęczyny jej pokrowców, serwetek, kanwo-  
wych pantofli, nie uszanuje, nie ma za nieprzyzwy-  
ciężony dla swych podmuchów opór.

Francuzka, bez gwałtu, bez pretensyi do heroizmu, do „tamtamu“ feministycznego staje w podobnym wypadku obok mężczyzny, staje przy nim i wówczas, gdy praca jej ma stanowić nie o ocale-  
niu teoryi związania końca z końcem, lecz o szyb-  
szem zdobyciu pomyślności, świetności, zamożności.

Kobieta francuzka pracuje tak wytrwale, tak owocnie, jak żadna inna.

Statystyka, w tej mierze daje, wymowne, pouczające liczby.\*) Kobiet pracujących we Francyi w działach przemysłu, rolnictwa, i handlu, zawodów wy-  
zwolonych i administracyi państwa jest 6,300.000,

---

\*) *Résultats statistiques de recensement des industries et professions t. IV. publié en 1901.*

czyli, że jedna trzecia część ludności płci żeńskiej (nie wyłączając z liczby tej niemowląt, nieletnich i starców) trwa przy warsztatach pracy i czyli, że, w całkowitej armii pracy francuskiej, około 18,500.000 ludzi, więcej niż jedną trzecią stanowią kobiety. Albo — że, — dodawszy liczbę nieletnich dziewczyn (do 14 lat) do liczby kobiet starych (od 65 lat) otrzymamy 6 milionów a za tem dokument, iż co druga Francuzka pracuje poza domem, iż co druga Francuzka zarobkuje, jest wytwórczynią narodowego majątku.

Lecz pełny obraz wartości pracy kobiet francuskich może dać dopiero jej podział. Tu, niech starczy wskazanie na główne punkty.

Rolnictwo \*) zatrudnia 2,754.000 kobiet, przemysł, w czystym rozumieniu tego określenia, 2,000,000, handel, finanse, widowiska 500.000, zawody wyzwolone 200.000, służba publiczna, administracja państwowa 104.000.

Jedna tylko rubryka wychowania i nauczania daje 82.000 kobiet pracujących na tej niwie!

Jeden tylko dział fabrykacji kwiatów sztucznych (w Paryżu tylko) wykazuje 28,000 robotnic, składających się na produkcję sięgającą, 40 milionów fr. rocznie!

A przecież cała ta statystyka, cała ta liczba 6,300.000 kobiet pracujących nie obejmuje chałupniczek, nie

---

\*) *La Femme dans l'Industrie*. R. Gounard, Paris 1906.  
— *Le Musée social. Memoires et documents. Supplément, aux annales, roczniki 1908 i 1909*.

mówi nic o tych legionach ukrytych, niewidocznych, dostawczyń pierwszorzędných magazynów, składów, o tych jedynych sprężynach wielu gałęzi przemysłu. Nie mówi nic o tych legionach kobiet, które, choć są w istocie doskonałemi i pilnemi rękodzielniczkami, które, choć ślęczą nad kamizelkami, haftami, wykończaniem, szyciem gorsetów, spodni, bluzek, bielizny, abażurów nazywają się oficjalnie żonami urzędników, handlowców, mechaników, kolejarzy, artystów, które są emerytkami — wdowami lub nawet rentierkami!

Co więcej, taż sama statystyka nie obejmuje jeszcze kobiet, których mężowie posiadają własne warstwy pracy. Wszak wyrazy „rzeźniczka“ „piekarka“, we Francyi, nie są określeniem pozycyi socyalnej męża, nie są synonimami w gwarze ludowej wyrazów „piekarszowa“ i „rzeźnikowa“. We Francyi „rzeźniczka“ i „piekarka“ pracuje razem z mężem. Toż samo czyni żona fotografa, bławatnika, bieliźniarza, drogisty, aptekarza i zarówno żona ubożego przekupnia, jak i możnego właściciela handlu towarów kolonjalnych, zarówno żona dorabiającego się krawczyka, jak podwika imponującego świata pryncypała przybytku „konfekcyi damskich“. Francuzka bowiem woli przyczyniać się bezpośrednio do spotęgowania wspólnego majątku, woli trwać przy mężu, niż doń wzdychać, niż wyglądać jego powrotu, nie znać się na jego kalkulacyach i dziwić się naiwnie, że jest smutny, gdy jej akurat placki się udały.

Taką żoną jest ta, którą bezmyślność rada zwać lalką, płochą elegantką a która przecież jest prze-

dewszystkiem najwytworniejszą, najwdzięczniejszą z mrówek małżeńskiego pożycia.

Nie trudno odgadnąć, że zalety kobiety francuzkiej muszą łączyć się z zaletami mężczyzny, że z tych ostatnich niejako wynikają. I tak jest istotnie.

Francuz jest dobrym mężem, jest nim z kultu dla kobiety, z poszanowania dla niej, z obyczaju, z wychowania, z porywu, który mu każe dla niej żyć, dla niej pracować, z głębokiego przeświadczenia, że wszystko, co ona czyni, czem się trudni, czyni to ponad obowiązek, ponad skalę jego rzeczywistych praw, że powołaniem jej jedynem królować, władać, zbierać hołdy i kochać i być kochaną.

Kult dla kobiety robi Francuza delikatnym w obcowaniu, uprzejmym, uprzedzającym. Daje mu niesłychane zrozumienie psychologii kobiecej.

Francuz uważa żonę za swego najlepszego przyjaciela. Radzi go się chętnie, słucha jego uwag, nie upiera się przy swoim zdaniu, w razie różnicy poglądów, szuka punktu wyjścia, gdy go nie ma, rezygnuje pierwszy.

Wobec żony nigdy nie staje na koturnach, nigdy nie symuluje wyroczeni.

Za serdeczne kłopotanie się jej o każdą jego myśl odplaca jej żywym wnikaniem w całe jej, czysto kobiece, kłopotarstwo.

Zgoła poważny mąż Francuzki upatruje na wystawach sklepowych koloru, w którym byłoby do twarzy jego wybranej. Zgoła uczony człowiek ma czas i ochotę do pójścia z małżonką na wyprawę



po nowy kapelusz, — zgoła poważny obywatel lubi, bez wiedzy żony, układać dla niej, przyszły strój.

Dla Francuza nie ma „fatałaszków“, „gałgan-ków“, marności i nicości kobiecych. Z żoną chodzi często, bez niej nie zna teatru, zabawy, kolacyjki, wycieczki — i lubi, aby żona była dobrze odzianą, lubi, by mu jej zazdrozczono, by wyróżniła się bodaj strojem, by mogła podnieść swą urodę, w najkorzystniejszej ukazać się sprawie.

I stąd żona nie potrzebuje naprzykrzać się ani o futra, ani o rękawiczki, ani o kostjum, bo Francuz, oszczędny zazwyczaj, uprzedzi jej życzenie, pójdzie dalej niż ona zamierzała, niż chciała.

Nie mniej żywo obchodzi Francuza gospodarstwo domowe i nie pozwala mu odgrywać roli sobka, który stoi ponad mieszaniem się do zajęć kobiecych. Przeciwnie tam, gdzie nie ma na sługę, tam Francuz nie waha się, bez względu na stopień swego wykształcenia i aspiracyi socyalnych, trzepać dywanów, chodzić po pieczywo, paradować przez ulicę z butelkami a nawet nieomal z zasady, o zgrozo, znosić co wieczór, na podwórko, sakramentalną śmiećniczkę... I tam, gdzie służąca lub przychodnia posługaczka załatwia tego rodzaju misye, i tam jeszcze pan domu z rutyny wprost, z zamiłowania do porządku potrafi sobie oczyścić buty, wody przynieść i wogóle jaknajmniej posług osobistych dla się żądać.

Jeżeli zaś do tych zalet doda się znów pogodę ducha mężczyzny i jego dążność do zabezpieczenia sobie i rodzinie przyszłości, to nie trudno dojść do wniosku,



że zarówno mężczyzna, jak i kobieta, mają wszystkie warunki ku tworzeniu wzorowych małżeństw...

I tak jest istotnie. Pilna obserwacya daje w rezultacie daleko większą sumę harmonii małżeńskiej niż gdzieindziej. Kobieta wogóle jest do zdobycia trudniejszą a dalej daleko silniej reagującą na wiarołomstwo mężczyzny. Przeciętna Francuzka nie ma bynajmniej filozofii poddania się „losowi kobiet” zamężnych. Nie pociesza się doświadczeniem, że płochy kogucik uprzykrzy sobie lamparcie zapaly i wróci potulnie na łono rodziny. Francuzka umie bronić swego honoru i bronić tak, że trudno łudzić się perspektywą wyjednania przebaczenia. Nadto Francuzka-żona znajduje mimowolne współdziałanie kochanki męża, bo i ta, o ile nie jest zwykłą prostytutką, nie znosi pożycia we troje, bo i ta nie ustępuje, nie zezwala na odwrót i potrafi mścić się okrutnie na uwodzicielu...

Opinia publiczna, sądy, w takich wypadkach, idą ręką w rękę... Kobieta, porzucona niegodnie, kobieta, oszukana przez mężczyznę, znajduje usprawiedliwienie nawet wówczas, gdy ucieka się po argument do kuli, noża lub witryoleju.

Mąż bynajmniej nie jest pobłażliwszym na występność żony i opinia i sądy nie są dla niej łaskawszymi.

We Francyi niebezpieczniej niż gdziekolwiek igrać z miłością, bo poczucie godności nie jest tu przywilejem klas wyższych, lecz całego ludu wyznaniem. Nie darmo „fama europejska” głosi, że naj-

trudniej dobyć się młodzieńcowi ze „szpon“ metresy-Francuzki.

Kronika tragedyi i dramatów na tle wiarołomstwa, jest, stosunkowo do liczby mieszkańców i do napięcia wrażliwości małżeńskiej na byle objaw zdrady, bardzo nie wielką. A podkreślić należy, że kronika tego rodzaju znajduje szerokie echo w prasie dla każdego poszczególnego wypadku i to bez względu na sferę, do której bohaterzy dramatu należą... Pozorna błogość w innych krajach, brak gwałtownych porachunków, wynika z obojętności, z pobłażliwości, z zajmowania się prasy jeno inteligencją, z ryczałtowego traktowania tragedyi wśród pospółstwa lub z racyi, że chłop ukraiński przyprowadza uwodzicielowi żonę za rubla.

Silniejszym argumentem na udowodnienie większego we Francyi, niż gdzieindziej, doboru małżeńskiego jest statystyka \*) separacyi i rozwodów, statystyka, która, bez względu na łatwość procedury i na przystępność jej dla wszystkich klas społeczeństwa, ubodzy otrzymują bezpłatną pomoc prawną i zwolnieni są od kosztów sądowych, — wkracza w dziedzinę normalnego odsetka niezgodnych stadeł.

Ilość separacyj, od roku 1898, trwa w granicach liczb od 2164 do 2320 rocznie i przy tendencji do niżki. Rozwody, od roku 1902, trzymają się liczby 10.000 z setkami. Następnie, kobiety wdowy i rozwódki od 15 do 49 lat stanowiły w roku 1851 4.07<sup>0</sup>/<sub>100</sub>

---

\*) *Comptes généraux de la justice criminelle, civile et commerciale.*

w roku 1901 zaledwie 5,21. Mężczyźni wdowcy i rozwiedzeni, w wieku od 18 do 59 lat, w roku 1851, dawali 3,60% a w roku 1901 tylko 3,73. Różnica zasadnicza więc, wobec „dawnych, dobrych“ czasów, jest nieznaczną.

Rozwód we Francyi ma wybitną dążność do osiągnięcia większej sumy szczęścia małżeńskiego. Jeden jedyny rok 1906\*) daje sumy 4012 rozwódek i 4392 rozwiedzionych, którzy zawarli ponowne związki małżeńskie.

Nie trzeba dodawać, że legendy o rzekomej rozwiązłości Francuzów, o tem, że każda żona ma kochanka a każdy mąż metresę, o tem, że małżonkowie wybaczą sobie nawzajem podobne grzeszki, że żony prostytutką zarabiają na zbytek i za wiedzą mężów — są bezecnymi oszczerstwami. Oślą mądrością snobów, znających francuzkie brudy, francuzkie farsy, francuzkie domy publiczne, francuzkie odpadki — ale nie francuzkie rodziny.

Zepsucie i tu, jak i wszędzie, ma swoje rojowiska. Rojowisk tych nawet musi mieć Francya więcej niż inne kraje, bo więcej ma bogactw, więcej swobód cywilnych. Ba, i nie brak we Francyi koliska, które w zupełności dostraja się obyczajami do rzeczonych oszczerstw. Temu kolisku na imię „niezadowoleni z Rzeczypospolitej“... przewodzi im żonaty Orlean ze skandaliczną metresą, Bonaparte z kochanką, pięciorgiem nieprawych dzieci i małżeń-

---

\*) *Statistique générale de la France. Annuaire statistique. Paris. 1908 str. 10.*

stwem z Klementyną belgijską, przewodzi im gromada, która wyrzeka na zanik obyczajów, która pomstuje na upadek Francyi, na rozwody cywilne, na niereligijność, na rozkład... a która zaiste słusznie modli się bardzo, modli się gorąco, bo bardzo grzeszy, bo ciężko grzeszy, bo treścią jej życia są konkubiny, małżeństwa dla pieniędzy, nadużycia, promiskuityzm, gra, pijaństwo i rozwody, prawda, że kościelne.

Lecz ta gromada jest we Francyi mniej szkodliwą niż gdzieindziej, bo bezwładną, bo trzymaną w granicach nicości.

Więc rodzina, jako pożycie mężczyzny i kobiety, jako, z tego punktu widzenia, jednostka składowa społeczeństwa odpowiada dzielnie godności swego założenia... Czy atoli równie dobrze sprawia się tam, gdzie zaczyna się jej stosunek do potomstwa, do wychowania dzieci, do mnożenia obywateli Rzeczypospolitej? Czy zdolna jest wytrzymać zwycięzko, bodaj jeden jedyny zarzut bezpłodności, zarzut gromadzącego Francyi wyludnienia?



## OJCOWIE I DZIECI.

Stosunek dzieci do rodziców i jego podstawy. — Dwie różne swobody. — Wychowanie dziewcząt. — Władza rodzicielska i jej potęga. — Opieka nad małoletnimi i wrażliwość opinii na krzywdę dzieci. — Chyba sentymentalizm. — Ograniczenie liczby potomstwa. — Klęska wyludnienia i jej obrachunek. — Rezultaty. — Warunki ekonomiczne. — Prawo cywilizacyi. — Dwie przyczyny. — Warunki, sprzyjające mnożeniu się ludności. — Istota zbrodniczości i środki niweczące czy podporządkowujące płodność woli jednostek. — Dzieci nieprawe. — Noworodki nieżywe. — Statystyka kryminalna. — Uwolniona morderczyni. — Europa. — Zestawienie. — Jakie i komu grozi niebezpieczeństwo.





Stosunek dzieci do rodziców we Francyi reguluje nie sama miłość, lecz równorzędnie i przyjaźń, i zaufanie i wyrozumiałość.

Bardzo mało tu czci bałwochwalczej dla rodziców, bardzo mało hołdów...

Dzieci nigdy prawie nie chylą się do ręki ojca a rzadko i, jeno w chwilach uroczystych, składają całunek na rękę matki. Za to usta rodziców częściej spoczywają na czołach dzieci, zato ręce synów dłużej i częściej trwają w ujęciu dłoni ojcowskiej.

Akty dziękczynienia za każdy posiłek nie istnieją. Przywitanie i pożegnanie rodziców z dziećmi odbywa się na prawach: równi z równymi. Zwyczaj mówienia „ty“ prawa te potęguje. Tam, gdzie starość nie wyryła zbyt mocnych śladów na twarzy matki lub ojca, tam nie łatwo ich rozeznąć w gronie dorosłych dzieci.

We Francyi nie ma milczenia wobec rodziców, nie ma krycia się ze swem młodzieńczem czy dziecięcym zdaniem. I nie ma rodzicielskiego despotyzmu ani rodzicielskiej nieomyślności, lecz wzamian jest w dzieciach głęboka wiara, że nawet gdy rodzice mylą się, gdy opierają, jedyną ich pobudką jest szczere i niesamolubne pragnienie dobra i zadowolenia dzieci. Wiara, poczynająca się nie z tra-

gicznego zaklęcia, w przełomowej chwili, nie z rozpaczliwego okrzyku matki, postrzegającej nagle, że pisklę już do samodzielnego lotu jest zdolne, lecz z lat wychowania, ze sposobu wychowania.

Francuzi celują w urabianiu dzieci, w rozwijaniu i formowaniu ich charakterów. Są mistrzami w budzeniu ambicyi i godności dziecka. Działają głównie nagrodą a rzadko karą.

Zarówno w szkole, jak i w życiu domowem, nie ma we Francyi owych prymusów, zagarniających co roku wszystkie nagrody i wszystkie pochwały. Szkoła francuzka rozdaje stosy nagród za byle ślad zalety i uzdolnienia w jakim bądź przedmiocie. Nawet kopciuszek, leniuch czy nieuk z urodzenia otrzyma nagrodę, choćby za czystość, choćby za gimnastykę. I taki nawet czuje się przygarniętym a nie odtrąconym, nie wyświeconym z młodziutkiego społeczeństwa rówieśników. W czem nie ma kuszenia nagrodą, nie ma zapomnienia dla potrzeby rozwijania w dzieciach obowiązku, jeno zachęta, jeno przekonywanie młodych istot, że doskonałość, że uznanie jest i dla nich dościgłem, że spełnienie obowiązku, bodaj najdrobniejszego, radości przyczynia.

Miłość rodzicielska Francuzów nie zasklepia się w jednym, stałym tonie, lecz, współrzędnie z wiekiem dziecka, postępuje, zmienia bez wysiłku, bez zdziwienia swe brzmienie, zachowując pełnię mocy.

Nie ma tu scen uroczystych, zaczynających się od słów „masz już lat... więc jesteś mężczyzną“... Scen, wśród których snuje się niepewność ojca, czy

dziecko rzeczywiście już „jest“... i niepewność dziecka, czy naprawdę wolno mu być już... mężczyzną.

Matka wie zawsze, nie tylko, kiedy córka jej przestała być „dzieckiem“, lecz i kiedy niem przestała być...

Dziecko, od najmłodszych, lat jest poczytywanem za istotę, którą należy przekonywać a nie zmuszać, kierować jego myślami ku zasadom a nie narzucać mu brutalnie zasad, nie prawić mu suchych morałów, lecz moralizować je działaniem na fantazję, wyobraźnię, na uczucia.

Bogata literatura, obok własnego dowcipu, sekunduje w tym rodzicom i wychowawcom.

Przy dziecku mówi się o „wszystkiem“, za wyjątkiem tego, co nieprzystojność lubi specjalnie „wszystkiem“ nazywać. Wtrącanie się dziecka do rozmowy rodziców jest poczytywanem za nawiasową sposobność do rzucenia mu ziarenka rozumu. Nie zachmurza się jego imaginacyi, nie wyrывa swywoli i uciecze życia, ale i nie ukrywa nic z trudów, kłopotów, spraw i smutków rodzinnych. Na każde zapytanie odbiera dziecko możliwie dokładną odpowiedź. Półśłówkami lub konceptami zbywa się je w ostateczności.

Ład, punktualność, systematyczność nie ma dla dzieci żadnych doniośle pedagogicznych klauzul, żadnych wyłącznych przykazań. Oboje rodzice, służba, dom cały, cały naród francuzki żyje z zegarkiem w ręku. Dziecko więc, bez oporu, bez przeświadczenia, że ono wyłącznie musi być punktualnem i systematycznem poddaje się wymaganiom. Poddaje bez-

wiednie, bo już w kołysce otrzymało pierwsze podstawy ładu, stanowiącego, że dziecko karmi się w oznaczonych godzinach i że godziny wydzwania zegar a nie krzyk dziecka.

Rodzice chętnie biorą udział w zabawach dzieci i to z zapalem całego temperamentu francuzkiego. Bez śladu mentorstwa, wyższości, przymusu, potrafią dostrajać się do swej czeredki, żartować z nią, przekomarzać, śmiać się z nią razem i figlować. Zjawienie się matki lub ojca tam, gdzie bawią się dzieci, nie mąci rozrywki, nie przytłumia wesela, lecz je wzmaga, boć przybywa jeszcze towarzysz i ten najukochańszy, ten niezrównany!

Dzieci, przez obcowanie ciągłe z rodzicami na prawach równości, przyzwyczajają się rychło do dzielenia z nimi nie tylko zabaw, lecz do interesowania się zawodem ojca, do myśli o pracy, o przyszłości, o jutrze, o rodzinie.

Szczerość rodziców w postępowaniu z dziećmi chroni je od obłudy.

Francuz, wobec syna dorosłego, nigdy nie udaje Katona, nie pozuje na moralizatora. Rad zawsze mu towarzyszyć na przechadzce, na wycieczce, w teatrze i na balu. Jest mistrzem taktu i rozumnej strategii. Ojciec w lot nie tylko umie chwycić spojrzenie młodzieńca, — lecz i, niby kamrat-jednolatek, szturchnąć go swawolnie i szepnąć rażno.

— Patrz, patrz, apetyczna bestyjka! Co?... Ba, ba, jeno mi coś zakrawa, że Rotszylda by gotowa zrujnować! Hę?

Cierpi na tej strategii pruderya ale zyskuje rów-

nowaga i odporność młodzieńca na wpływy złych koleżków, na namowy przewodników rozpusty, zyskuje nadto spokój rodziny i jej czułość.

O ile fatalność, pomimo zabiegów i troskliwości rodzicielskiej, wikła młodzieńca w miłość, usidla w objęciach kochanki, rodzice nie potrzebują uciekać się do śledztwa. Syn przyznaje im się sam, dobrowolnie, z całym zaufaniem. Zaufanie podobne rzadko go zawodzi. Rodzice nie odtrącają go, lecz usiłują naprowadzić na drogę właściwą. Nie przesładują przedmiotu jego sentymentów, jeno starają go się poznać, zbadać. Dają młodzieńcowi czas do zerwania, do namysłu, do otrząśnięcia się z niemocy duchowej. Baczą, jeżeli krzywdę ofierze miłości wyrządził, jeżeli sam był uwodzicielem, aby wycofał się godnie, aby zapewnił los dziecięciu. Idą dalej, bo potrafią żądać od syna poślubienia dziewczyny, uznania dziecka.

W przeciwieństwie do swobody, udzielanej synom, panuje we Francyi bardzo surowy rygor dla córek. Klauzula, wynikająca nie z systemu wychowawczego, bo ten jest jednakowy, lecz z racyi, że i prawodawca francuzki już piętnastoletnie dziewczęta upoważnić musiał do zawierania małżeństw, że na południu Francyi, niekiedy trzynastoletnie podlotki bywają dojrzałemi płciowo, że wogóle brak czasu na okiełznanie temperamentu przed jego rozwinięciem trzeba ratować klauzulą.

Więc, wbrew kłamstwom, szerzonym przez młodzież cudzoziemską płci żeńskiej, iż we Francyi panny korzystają z pełni swobody ruchów, swoboda taka

nie istnieje wcale, chyba tam, kędy sieroctwo, nędza, bieda, niedostatek zaprzęga dziewczęta do pracy na chleb poza domem.

Panna przeciętna francuzka nie wychodzi nigdy sama i nigdzie nie bywa sama. Rodzice nie spuszcza ją z oka. Odprowadzają ją na pensję i przyprowadzają, z nią odbywają drogę do konserwatorium, do instytutu, do zakładu naukowego i z powrotem. Jeżeli muszą wyręczać się sługą, jeżeli muszą zgodzić się, aby córka ich sama drogę do szkoły odbywała, — zaprowadzają kontrolę... Rodzice notują w dzienniczku córki godzinę i minutę wyjścia z domu, nauczycielka dyżurna wpisuje znów godzinę i minutę przybycia uczennicy do szkoły i znów godzinę i minutę jej wyjścia ze szkoły...

Rodzina francuzka nie toleruje żadnego gromadnego bywania kawalerów w domu, gdzie są panny, a już bezwzględnie wyklucza możliwość przebywania z nimi sam na sam, nawiązywania flirtów, tworzenia quasi przyszłych par i małżeństw. Francuzi nie uznają narzeczonych wieloletnich, narzeczonych, którym wolno mówić o miłości, o nadziejach na przyszłość ale nie o ślubie, nie o jego dacie. Dla narzeczonych, zgoła kategoriycznych, otwierają dom, lecz nie łagodzą klauzuli. Nie ma tu mowy o poślubiwości niemieckiej dla córek i ich „schatzów“.

Można powiedzieć, że ten rygor, przy obyczaju francuzkim życia w szczupłym gronie najbliższych krewnych i przyjaciół, utrudnia pannom wyjście za mąż, zniewała do zawierania małżeństw przez pośrednictwo notariuszów, księży, stręczycielek, wyklucza sposobność



poznanie się dobrego przed ślubem, ale faktem jest, że istnieje dotąd i że nie daje wogóle ujemnych rezultatów nawet w kierunku mniejszego doboru, nawet w kierunku pozornej przewagi rozsądku nad uczuciem. Strzeżenie bowiem panien nie utożsamia się z trzymaniem ich pod kluczem nieświadomości życia, ukrywaniem jego zgrzytów, jego szarzyzny. Dziewczyna ma w rodzinie swojej głos, swoje zdanie, swoje prawo mieszania się do spraw rodzinnych. Poza tem, nadto wielka łączy ją z matką i ojcem zażyłość, nadto wielka przyjaźń, szczerość i zaufanie, by mniemała się być uciemiężoną, niewolną, by puklerz, którym ją chronią przed zapomnieniem, przed napaścią, poczytywała za kajdany, za więzy.

Dzieci francuzkie, w tych warunkach i zasadach chowane są, w stosunku do dzieci innych narodów, nad wiek rozwinięte, nad wiek świadome i rozważne, nad wiek do pracy i samodzielności zaprawione i nad przeciętność europejską, do rodziców i rodziny, przywiązane.

Zdawać by się atoli mogło, iż pomyślność taka, bądź co bądź, jest osiąganą zrezygnowaniem, w pełnym stopniu, z władzy rodzicielskiej a już przez zupełne wyrzeczenie się powagi i uroku imienia ojca i matki, przez wyrzeczenie się, wiekami i religią uświęconych, przywilejów należnej rodzicom czci.

Tymczasem dokument przekonyduje, że w żadnym kraju prawodawca i obyczaj nie zawarował władzy rodzicielskiej silniejszych podstaw niż we Francji. Wszak to we Francji nawet pełnoletność



nie uwalnia jeszcze dzieci z pod władzy rodzicielskiej. Wszak to we Francyi mężczyzna do lat 25 i kobieta do lat 21 nie ma prawa wstępować w związki małżeńskie, bez upoważnienia i zgody rodziców.

Niedość na tem, poza określonym wyżej wiekiem, brak zgody rodziców, choć nie jest przeszkodą zasadniczą, lecz musi mieć prawną formę i dowód, że prośba o zezwolenie na małżeństwo została rodzicom, respective opiekunom, doręczoną. Czyli, że, syn od 26 lat a córka od 22 lat począwszy, może zawrzeć związek, wbrew woli rodzicielskiej, ale nie inaczej, jak za rejentalnem wezwaniem ich do udzielenia pozwolenia. Spisany przez rejenta, tak zwany, *acte respectueux*, wędruje do mera, przechodzi przez księgi stanu cywilnego i protokoły i dopiero umożliwia ślub.

Ta błaża na pozór formalność daje rodzicom niesłychaną władzę. Nadewszystko wyklucza raz na zawsze małżeństwa bez wiedzy rodziców i daje tym ostatnim czas i możność użycia perswazyi. Dalej, stawiając za warunek nieodzowny sporządzenie aktu prawnego, tem samem, w decydującym momencie, odstręcza wielu od postąpienia wbrew woli ojca i matki. Co innego przecież opierać się im, pójść za własnem przekonaniem, a co innego porozumiewać się z nimi z kodeksem w rękę, za pośrednictwem urzędnika państwowego. Nakoniec, co innego trwać w cichym zatargu z rodzicami, z powodu zawartego małżeństwa, a co innego zatargowi temu nadać rozgłos publiczny.

Jakoż statystyka, przeciętna, do roku 1906 włącznie, wykazuje tylko 1,13% małżeństw, które poprzedziły *actes respectueux* jednego z nowożeńców. Czyli 98,87 małżeństw, na sto, bywa zawieranych za zgodą rodziców.

Prawo pomienione przetrwało w całej pełni do roku 1896, bo od tego roku dopiero zaczęło wystarczać doręczenie jednego rejentalnego wezwania, — przedtem wymagane były aż *trzy*, następujące po sobie *actes respectueux* — i — zaledwie w roku ubiegłym uległo zmianie i uproszczeniu, jako doprawdy przestarzałe... Co znaczy, że kobieta do 21 lat a mężczyzna do 25, po dawnemu, bez zezwolenia rodziców żenić się nie może wcale — i że dalej, i kobieta i mężczyzna do 30 roku życia musi, wrazie sprzeciwiania się rodziców, aktem rejentalnym fakt prośby, do rodziców wystosowanej, stwierdzić. Po 30 roku życia zaś, akt taki jest już zbytecznym.

Naród więc francuzki niemal że najdłużej wytrwał w prawnym poszanowaniu zgoła patryarchalnego despotyzmu rodziców a i dziś, choć zreformował nieco paragrafy kodeksu cywilnego, nie wyrzekł się jeszcze swego obyczajowego prawa, prawa, mogącego być wzorem poszanowania woli ojca i matki.

Lecz, o ile we Francyi obyczaj i opinia przyznaje rodzicom rozległą władzę, o tyle jednocześnie czuwa nad małoletnimi dziećmi, strzeże je przed złymi rodzicami, chroni zawsze i wszędzie, czyni przedmiotem publicznej troskliwości, opieki, zajęcia.

Dziecko budzi dokoła siebie zainteresowanie,

myśl uprzedzenia jego chęci, ochrony go, dopomożenia.

Od pachotka policyjnego do przekupki, od damy do prostaka, wszyscy dla dziecka i dziecka obcego, spotkanego przypadkiem, żywią tą samą wyrozumiałość, łagodność, dobroć.

Dziecku wyrządzić krzywdę, obejść się z niem brutalnie czy nieuważnie, to znaczy wystawić się na niebezpieczeństwo zadrażnienia tłumu, to znaczy narazić się na bardzo nie miłą rozprawę uliczną, bez nadziei sprawiedliwości...

Przekupień pojmał malca-ulicznika na kradzieży zabawki i doraźną wymierzać mu zaczął karę... Lecz oto starczyło pierwszego okrzyku malca, aby ciżba rzuciła się na przekupnia, aby go policyjanci musieli wyrwać okaleczonego rozjuszonemu tłumowi.

Lud francuzki i rodzicom nie przebacza skarg i płaczu dzieci. Za lada nadużyciem mocy rodzicielskiej, wzywa prokuratora, powoduje oddanie dzieci do zakładu wychowawczego a złym rodzicom wytacza proces karny.

Charakterystyczny ten objaw snadnie wydać się może nieloicznym przeczuleniem, dzieciństwem, którego karykaturę stwierdza proste przypomnienie, że ludność Francyi nie mnoży się dostatecznie, że dobrowolnie wyrzeka się potomstwa, że ogranicza jego ilość.

Więc gdzież tu głębia miłości, gdzież zasadnicza jej podstawa? Chyba powierzchowna czułościowość, chyba sentymentalizm równy sentymentalizmowi, ży-

wionemu dla owych zwierząt, które mniej więcej każdy lubi oglądać, głaskać, litować się nad niemi, nawet kawałkiem chleba obdarzać, ale które rzadko kto decyduje się karmić, chować, oprzątać i wyrzekać się dla nich wczasu, wygód i spokoju?

Podobny sentymentalizm mógłby być wreszcie wytłumaczonym, gdyby naród francuzki był dotkniętym fizyologiczną niepłodnością, gdyby był niezdolnym do szybszego rozmnażania, gdyby był porażonym zanikiem organicznym. Tymczasem, dokumenty powiadają, że nie dla tego przyrost ludności ustaje, zmniejsza się, aby mniej było małżeństw, aby przybywało małżeństw bezdzietnych, lecz dla tego, że nazbyt wielka jest liczba małżeństw, dających życie dwóm lub zaledwie jednemu dziecku. I małżeństw, przyznających się otwarcie do wpływania na taki rezultat, małżeństw, zgóry określających prawie liczbę przyszłych swych dzieci, małżeństw, umiejących, w razie śmierci dziecka, zdobyć się, po latach niepłodności, na nowego potomka...

Więc rzekoma cnota miłowania małuczkich jest komedyanctwem, hypokryzyą egoistów a może osłoną zbrodniczości, zwyrodnienia uczuć, przytępienia najprymitywniejszego instynktu przekazywania życia, przedłużania życia? A może klęska, tak zwanego, wyludniania się Francyi jest wprost żywiołową, niezależną od woli jednostek a może nie jest ani groźną, ani wielką?

Liczyby dają odpowiedź kategoryczną. \*)

---

\*) *Annuaire statistique, Résumé rétrospectif. 1907. Paris.*

W roku 1806, na każdych stu mieszkańców Francji, rodziło się dzieci żywych 3,14, w roku 1814 aż 3,39. Od tego roku procent urodzeń zaczął chylić się ku niżce. Od roku 1832 już nigdy pełnej trójki nie osiągnął, od roku 1843 ani razu nie dał 2,82 urodzeń dzieci żywych na stu mieszkańców; od roku 1851 liczba jest ciągle poniżej 2,71; rok 1876 po raz ostatni notuje 2,62; rok 1879 rozstaje się z piątką w ułamku (2,51) i potem, choć liczby usiłują się dźwignąć, jednakże spadanie wciąż trwa. Rok 1886 zaledwie przynosi 2,30; 1897 tylko 2,23; 1902 — 2,17 nakoniec rok 1906 już 2,05. Różnica jeszcze łatwiejszą będzie do ogarnięcia, jeżeli przytoczy się, że, w roku 1814 — dwadzieścia dziewięć milionów ludności wydało 994.000 noworodków żywych a w roku 1906 trzydzieści dziewięć milionów ludności wydało 807.000. Więc mniej o 187.000 rocznie, przy ludności większej o 10 milionów!

Przerażające te cyfry ustalają więc, przez wniosek prosty, zarówno oczywisty fakt zmniejszania się liczby urodzeń we Francji, jak i fakt, że owo zmniejszanie się jest procesem, trwającym od lat osiemdziesięciu dwóch. Bo za lat 55 (1814 — 1869) królestwa i cesarstwa spadek urodzeń wyniósł 0,82 a za 37 lat Rzeczypospolitej (1870 — 1906) 0,51.

A za tem, kwestya „wyludniania się“ Francji jest nie nową, jest nie żadną republikańską, lecz od 82 lat statystycznie stwierdzoną, czwartego pokolenia sięgającą. I dlatego może czwartego a nie dziesiątego, że braknie odnośnych liczb, braknie obrachunku ludności dawnych błogich czasów...

Francya więc bezwzględnie zbliża się do przesilenia, do chwili, gdy liczba śmierci zacznie *stale* przewyższać liczbę urodzeń a więc ludność Francyi *stale* się zmniejszać...

Sporadyczne bowiem zmniejszanie się ludności, niegdysiejsze w latach wojen (1854, 1855, 1870 i 1871), już przy lada wzmożeniu się śmiertelności, zaczyna się objawiać. Rok 1891, na przykład, dał mniej urodzeń niż śmierci 11.000, rok 1895 mniej 18.000; 1892 mniej 20.000; 1900 mniej 26.000 a jeden 1890 mniej 39.000! Godnem jest uwagi, że już raz, przez trzy lata z rzędu (1890, 1891 i 1892), trwał we Francyi ubytek i dał łącznie o 70,000 więcej śmierci niż urodzeń.

Jakież są przyczyny tej, znanej zresztą ogólnie i do gadulstwa omawianej, „klęski“?...

Pierwsza myśl szuka odpowiedzi w statystyce małżeństw i w lot chwyta komunały: — warunki ekonomiczne utrudniają zawieranie małżeństw, młodzi ludzie nie żenią się, panny jęlczeją w celibacie przymusowym i t. d. Wszystkie te komunały jednak są wierutnym fałszem. Liczba małżeństw nie zmniejsza się we Francyi, lecz wzrasta... W roku 1851, na stu mężczyzn, w wieku od 18 do 59 lat, było żonatych 57,99 w roku 1901 zaś 60,90. Nadto, na stu mężczyzn od 60 lat wzwyż było żonatych w roku 1851 — 64,71 a w roku 1891 było 64,40. Dalej, w tym samym czasie, na sto kobiet, w wieku od 15 do 49, lat było (1851) 52,36 zamężnych a w roku 1901 — 57,67. Na sto kobiet od 50 lat wzwyż 53,55 i 48,42.

W ogólnym wywodzie przeto ilość małżeństw się wzmogła i, co znamienniejsze, wzmogła się liczba



żonatych mężczyzn do lat 60 i zamężnych kobiet do 50 roku życia.

Wpływ zatem warunków ekonomicznych na ilość małżeństw był bardzo słaby i nie ujemny ale, wzamian, stanowczo ujemny na ilość dzieci.

Warunki ekonomiczne? Któreż to mianowicie warunki? Francja jest wszak bogatszą, niż była kiedykolwiek. Zamożność jej wyemancypowała się oddawna z tych czasów, gdy zbytek, dostatek był prawem nielicznej kasty, gdy na przepych wersalski składała się nędza narodu...

Skądże więc może być mowa o trudnych warunkach ekonomicznych na ziemi, która wyzbyła się lepianek, kurnych chat, na ziemi, której ludność troszczy się już nie o dach nad głową, łyżkę strawy, łachman, lecz o wygodne mieszkanie, wykwintne pożywienie, piękną odzież?

Jakoż istotnie, racja warunków ekonomicznych łączy się ze zmniejszeniem liczby urodzeń we Francji, lecz nie złych warunków ekonomicznych, nie ciężkich, jeno tych świetnych, tych znakomitych właśnie, tych, wynikających z wielkiej kultury narodów.

Cywilizacja szczerą, czynną, gorącą, twórczą, jest złym przewodnikiem mnożenia się ludzkości i to dla dwóch zasadniczych względów.

Pierwszy z tych względów jest poniekąd niezależnym od woli jednostek, od ich wczesnego czy późnego żenienia się, ani od doboru płciowego, ani od higieny, ani od mężczyzny ani od kobiety.

Najprzedniejsze, najpotężniejsze rody, najczystsze rasowo rody giną, znikają. Na nic się nie zdają wy-



siłki ku przedłużeniu nazwiska, ku zdobyciu następ-  
ców... Tam nawet, gdzie posiadanie potomka jest  
kwestią stanu, gdzie liczna gromadka dzieci wyro-  
kuje o losie milionów, gdzie młodzieniec lub dzie-  
wica czyni wszystko ku zahartowaniu ciała, ku wzmo-  
cneniu swej płodności, tam nawet szczezają rody  
Jagiellonów, Wazów, Burbonów, i patrycyuszów rzym-  
skich, i krzyżowych rycerzów i Kapetów i Walezju-  
szów i Piastów.

Pewne szczeble kultury, bytu, rzec można, niwe-  
czą płodność, zmniejszają, skazują rody na zagładę.

Ten pierwszy wzgląd a raczej ta pierwsza przy-  
czyna niemnożenia się rodów jest ustaloną od wie-  
ków, opartą na arsenale dokumentów i przesłanek.  
Tej przyczynie uledez musiała więc nadewszystko  
Francya, jako najstarsza w pokoleniu państw euro-  
pejskich, jako pionierka i przewodniczka, arysto-  
kratka ludów współczesnych...

Oczywiście Francya, logicznie biorąc, nie po-  
winna być wyjątkiem ale tymczasem niech nim bę-  
dzie...

Bezspornie przeto „wyludnianie się“ Francyi,  
w znacznej mierze, jest nieuniknionem następstwem  
cywilizacyi, następstwem niemożliwem do zwalcze-  
nia, do opanowania.

Wzamian druga przyczyna „wyludniania się“ i ta,  
przyśpieszająca działanie pierwszej, ta, która Fran-  
cyę uczyniła najbliższą mogiły ludów, ta, która, w sto-  
sunku do Europy, w wyjątkowo niebezpiecznych  
postawiła ją warunkach, ta przyczyna jest wynikiem  
świadomej, rozmyślnej woli ludu francuzkiego.

Narodziło tę przyczynę spotęgowanie, wyszlachetnienie uczuć rodzicielskich, wyzwolenie ich z samolubstwa, narodziła miłość...

Skala minimum dobrobytu dźwignęła się, skala minimum wiedzy, nieodzownej do istnienia, podniosła się dziesięciokrotnie. Czasy, gdy obfitość potomstwa była dostatkim, minęły bezpowrotnie. Proletariat, wyręczający zazwyczaj wszędzie klasy uprzywilejowane w rozrodczych funkcjach, wypowiedział posłuszeństwo. I on zaczął myśleć szczerze o przyszłości swego potomstwa, o uchronieniu go od nędzy, od niedoli od poniewierki.

Kędy brakło moralnego czynnika, dowodzącego, że lepiej jednemu dziecku zapewnić byt, niż czworo skazać na pauperyzm, tam jawiło się prawo, zakazujące nieletnim pracy, tam przychodziły ograniczenia wysługiwania się dziećmi, tam przybył apostoł neomalthuzianizmu..

Neomalthuzianizm działał wiele we Francji, może więcej niż we własnej swej kolebce, Anglii, ileże zjednał sobie sympatyę i poparcie zarówno anarchizmu, jak i socjalizmu. Ten ostatni zwłaszcza w neomalthuzianizmie, — będącym wznowieniem starej teorii Malthusa w nowej formie, lecz z tym samym wynikiem, — widział oręż ku podniesieniu wartości pracy przez brak rąk do pracy i ku niechybnemu polepszeniu bytu rodzin robotniczych.

Wpływów więc nie brakło na sprzyjanie ograniczeniu ilości potomstwa, na wzmożenie naturalnego, żywiołowego zmniejszania się przyrostu ludności.

Ruch ten ogłoszonym został przez Europę za

niegodny a i przez wielu moralistów francuzkich za złowróźebny, haniebny, groźny, wymagający zwalczania go za wszelką cenę.

Walka atoli z „wyludnianiem“ podotąd nie osadziła nawet złego na miejscu. Dlaczego? Dlatego, że smutna prawda powiada: dobrym przewodnikiem mnożenia się ludności jest jej ciemnota i nędza.

Póki uczucia rodzicielskie drzemią, póki sześćioletnie dziecko już się opłaca, już się da zużytkować do pasania gęsi, póki dwunastoletnie pacholę sporzy izbie dobytku, póki strata krowy jest nieszczęściem większem, niż strata dziecka, bo krowę trzeba kupić a niemowlę można mieć prawie darmo, póki człowiek przebywa na najniższym szczeblu cywilizacji, póki Ghetto maluczkich trwa a śmierć je dziesiątkuje, tępi w nich wszystko, co nie jest ze stali, póty naród w oczach się dwoi...

Dwoi się jeszcze i tam, choć wolniej, — gdzie, na gromadkę inteligentów, gdzie na stu ludzi wypada 70 prostaków, nieuków, parjasów... Bo tam paryasi dają inteligentom mamki, bo tam mlekiem prostaków inteligenci krzepią limfatyczne swoje potomstwo...

Tak na całym świecie, tak i w Europie.

Stopień płodności każdego poszczególnego narodu da się zmierzyć nawet ilością szkół, nawet skalą cywilizacji, stanem oświaty.

Francuzi miłują swe potomstwo, ale nie są już w stanie miłować je tak, jak miłowali je ich praojcowie, bo nie są w stanie poprzestać na wykarmieniu potomstwa, na rzuceniu go bezbronnego na falę losu.

A trudności wychowania dzieci się mnożą, bo coraz cięższe stawiają się zadania probiercze mózgowi ludzkiemu, bo pojęcie wyrazu „chleb“ się wzmacnia, bo żadna filozofia, żaden „kontrakt“ społeczny nie wróci ludu francuzkiego siermiędze, chodzeniu na bosaka, spaniu pokotem, na słomie, bo żadna siła nie wróci czasów, gdy i we Francji urodzaj ziemniaków decydował o urodzaju dzieci.

Prąd ograniczenia płodności bynajmniej nie jest we Francji równomiernym we wszystkich warstwach ludności. Miasta, na przykład, ulegają mu silniej niż wsie, — ludzie biedni, bezdomni, słabiej niż możni, klasy oświecone mocniej, niż klasy o niskim poziomie wykształcenia.

Wzajemian pieczołowitość wychowania dzieci, dania każdemu z nich najlepszych warunków dla rozwoju fizycznego i moralnego odpowiada ściśle mniejszej płodności.

Paryżanki, dla dobra niemowlęcia, skazują się dobrowolnie na męki trwogi, bo dla mleka, dla powietrza oddają je wieśniaczkom normandzkim i bretońskim. A nie dla uwolnienia się od kłopotów pielęgnowania, jak chcą lekkomyślni oskarżyciele Francuzek. Oboje rodzice wyrzekają się bez protestu wszelkiej myśli o swobodzie ruchów, szczęściem ich jest, gdy każdą wolną chwilę mogą spędzić ze swem dzieckiem w ogrodzie, parku, lesie, gdy mogą je widzieć w ramach słońca, zieleni i powietrza, rozśmiane do życia, do natury, do zdrowia.

Wtórą, a bodaj pierwszorzędną nawet kwestyą „wyludniania“ się Francji jest sama istota działania

na płodność i jej zbrodniczość, niemoralność. Więc, co za tem idzie, domniemany fakt istnienia legjonu fabrykantek aniołków, zboczeń płciowych, zwyrodnień seksualnych, poronień, spędzań płodu i wygóle czynników niweczących, udaremniających potomstwo.

Tymczasem dowody bynajmniej rozwielnienia zbrodniczości, w tym kierunku, nie potwierdzają. Logika bowiem podpowiada, że tam przedewszystkiem zbrodniczość winna by się ujawnić, gdzie narodzenie dziecka już nie tylko ciężarem jest, lecz i hańbą i upadkiem i wykołajeniem się kobiety. A więc, o ileby usuwanie dziecka, niweczenie płodu, dzieciobójstwo było łatwem, powszechnem, tolerowanem, to chyba najpierw liczba dzieci nielegalnych, nieprawych powinnyby się zmniejszyć.

Aliści, takiemu moralizatorstwu życie zgotowało niespodziankę...

Liczba dzieci nieprawych z 55 tysięcy w r. 1814 trwa, od roku 1881, w granicach stałych od 70 do 76 tysięcy rocznie! Więc niedość, że nie wykazuje zmniejszenia urodzeń, że nie chyli się do zniżki ale bynajmniej, nie zdradza tendencji do niepłodności! Przeciwnie, ludność, od roku 1814, wzrosła o 33<sup>0</sup>/<sub>0</sub>a ilość urodzeń dzieci nieprawych wzrosła o 64<sup>0</sup>/<sub>0</sub> rocznie.

Statystyka noworodków nieżywych, która pośrednio musi być statystyką lekkomyślnego traktowania ciąży, a nawet dobrowolnego jej zabijania, — również zaprzecza zbrodniczości. Liczba noworodków nieżywych, notowana oddzielnie, niezależnie od rubryki urodzeń żywych, — dopiero od roku 1840 (31 tysięcy), prowadzona — doszła do największej potęgi, w roku

1866, bo do 48 tysięcy noworodków nieżywych i od-  
tąd zaczęła spadać tak, że rok 1907 wykazał tylko  
37 tysięcy — więc różnicę, odpowiadającą różnicy  
liczby zaludnienia.

Kryminalistyka sekunduje energicznie tym po-  
myślnym rezultatom. Procent wymierzanych kar za  
dzieciobójstwo, za spowodowanie poronienia, zabi-  
cie płodu jest nieznaczny bardzo a, w sumie ogół-  
nej, daje zaledwie około 160 osób ławie oskarżo-  
nych i z nich tylko około 60 skazuje.

Prawda, że uwolnionych od odpowiedzialności,  
uniewinnionych przez trybunały francuzkie, nie wszy-  
scy gotowi uznać za niewinnych.

W momencie kreślenia tych słów, naprzykład,  
sąd przysięgłych rozpoznawał następującą sprawę.

Służąca, niezamężna, urodziła dziecko i oddała  
je na wychowanie mamce, na wieś, za umówioną  
opłatą 20 franków miesięcznie z dodatkami na bie-  
liznę i t. d. Przez rok płaciła służąca najregular-  
niej — gdy, naraz, zaległa. Mamka, wobec tego, od-  
wiozła dziecko służącej i, zrażona uchybieniem raty,  
nie dała się udobruchać wypłatą należności, i dal-  
szej pielęgnacyi dziecka odmówiła. Służąca ukryła  
niemowlę w swej izdebce, na piątym piętrze, i, przez  
dni kilka, niewyśledzona przez nikogo, żywiła je  
i trzymała. Dziecko kwiliło. Nad głową służącej za-  
wisło ujawnienie dziecka i wydalenie... W przystępie  
szału desperacyi, wyrzuciła niemowlę przez okno  
swej izdebki... Przysięgli uwolnili dzieciobójczynię od  
odpowiedzialności...

Gdyby atoli za podstawę do obliczenia zbrodni



dzieciobójstwa i spędzenia płodu wziąć, nie tylko skazanych ale oskarżonych wogóle, gdyby, do liczby tej dodać ilość znalezionych resztek płodów w stanie prawnego nieuczłowieczenia (mniej siedmiu miesięcy ciąży), to jeszcze nie można by dowieść Francyi wyjątkowej jej występności. Morga paryska, w roku 1905 naliczyła u siebie 118 embrionów ludzkich. Ilość nie wielką ani w stosunku do poprzednich lat, ani w stosunku do klęski niemnożenia się ludności...

Te dokumenty przekonywają, że ograniczenie liczby dzieci wynika nie z niszczenia płodów, lecz głównie z unikania zapłodnienia i unikania nawet nie radykalnego.

Środki ochronne, mechaniczne, które przecież Anglicy tak udoskonalić umieli, słabo i najwięcej przez prostytutkę międzynarodową Paryża są popierane. Francuzi poprzestają prawie na antyseptyce, na sterylizacyi, osiąganey wyrafinowaną czystością. Taka sterylizacya zawodzi nieraz, taka sterylizacya nie wyklucza często zapłodnienia — ale niechybnie je zmniejsza, ale niechybnie ogranicza potomstwo...

Na zupełne przekonanie nieufnych należałoby wyłuszczyć, na czem polega owa wyrafinowana czystość a więc mimowoli ubogim duchem podsunąć półśrodek może. Wolej jednak być posądzonym o frazes, sprzeczny z racjami niektórych lekarzów, niż pomówionym o sianie wiadomości szkodliwych, zgubnych, morderczych zwłaszcza tam, gdzie przyszłość narodu opiera się wyłącznie prawie na jego rozraźdaniu się.



Czyżby przyszłość ludu francuzkiego była mniej zaszachowaną przez klęskę zmniejszania przyrostu mieszkańców? Niechybnie, bo Francya, w rzędzie krajów, ulegających temu samemu prawu cywilizacyi nowożytnej, jest pierwszą, lecz nieodosobnioną... Zmniejszanie się liczby urodzeń poraziło już całą prawie Europę i poraziło gwałtownie, bo barometr płodności spada szybciej niż niegdy we Francyi.

W tropy za Francją idzie Anglia, Dania, Szwecya, Norwegia, Belgia, Szwajcarya i t. d. i t. d., aż do ludów, słynących zdolnością mnożenia się.

Dzielnie objaśnia ten fakt porównanie, ile dzieci rodziło się na stu mieszkańców w niektórych krajach Europy, w epoce od 1876 do 1880 roku, a ile rodziło ich się, w epoce 1906 i 1907 roku.

We Francyi	2,53	ostatnio	2,05	mniej	= 0,48
„ Anglii	3,54	„	2,63	„	= 0,91
„ Szkocyi	3,48	„	2,70	„	= 0,78
„ Irlandyi	2,57	„	2,22	„	= 0,35
„ Danii	3,21	„	2,83	„	= 0,38
„ Norwegii	3,17	„	2,70	„	= 0,47
„ Szwecyi	3,03	„	2,55	„	= 0,48
„ Austrii	3,87	„	3,39	„	= 0,48
„ Szwajcaryi	3,15	„	2,73	„	= 0,42
„ Holandyi	3,64	„	3,04	„	= 0,60
„ Belgii	3,20	„	2,52	„	= 0,68
„ Włoszech	3,70	„	3,19	„	= 0,51
„ Finlandyi	3,69	„	3,14	„	= 0,55
„ Niemczech	3,92	„	3,22	„	= 0,70

A więc z tych liczb wynika, że najsilniej ubiegają się o dogonienie Francyi, Anglia, i Niemcy...

Wynika nadto, że klęska Francyi zaczyna się uogólniać i że niechybnie dosięgnie rychło tej, co nad Sekwaną, skali — bo, z jednej strony, Francya może już stanąć na pewnej, niezmiennej liczbie urodzeń a, z drugiej, prąd ku ograniczeniu liczby dzieci musi w ościennych krajach coraz szybciej ku zenitowi zdążać, bo tam więcej jeszcze, niż we Francyi, sprzyjających okoliczności, bo tam, obok rozkwitu cywilizacyi, obok wzmożenia pożądań, dobrobytu, brak ziemi, brak przestrzeni.

Niebezpieczeństwo, płynące z przewagi mnożności jednego ludu nad mnożnością drugiego, jest groźnem, lecz nie dla jednej Francyi ale dla wszystkich tych państw europejskich, które daleko poza sobą pozostawiły swych europejskich, czy azyatyckich, bliźnich. Ci bowiem, skazani na ciemnotę, na miano nędzarzów cywilizacyi, ci to dwoją i dwoić będą swe szeregi i ci, za lata obojętności na ich dołę, za pozwolenie im trwania w mrokach, mogą atteczykom Europy zgotować zagładę.



## **BEZBOŻNOŚĆ.**

Rzut historyczny. — Polityka królów. — Pierwsze starcie  
ludu z Rzymem i rewolucya. — Powrotna fala. — Dalszy  
ciąg tej samej polityki. — Trzecia Rzeczpospolita i Waty-  
kan. — Minowa walka. — Duchowieństwo francuskie. —  
Rampolla i Merry del Val. — Zerwanie. — Prawo o roz-  
dziale kościoła z państwem. — Istota sumienia religijnego  
Francyi. — Walka o szkołę. — Ostatnie wypadki. — Dzisiejsza  
bezbożność Francuzów.



Bezbożność Francyi datuje, w ogólnie europejskiem rozumieniu, zaledwie od lat kilku, bo od chwili, gdy wolnomularze, libertyni z odszczepieńcami pospołu, zagarnęli rządy Rzeczypospolitej, wywołali zatarg z Watykanem, zorganizowali prześladowania religijne i, uchwalwszy prawo o rozdziale Kościoła z państwem, uczynili bezwyznaniowość warunkiem obywatelskiej prawomyślności.

Blizsze atoli badanie, zarówno dla bezbożności Francuzów, jak i stosunku ich do religij, do Watykanu, znajduje mniej popularne, mniej ryczałtowe ale bardziej zrozumiałe postulaty. I postulaty niezbędne, gdy idzie o docenienie istoty zaniku czy znieprawienia religijnego Francyi.

Historia poucza, że zatargów i okrutnych miała Francya z Watykanem ilość nieprzebraną. Dość przypomnieć, że okres przemieszkowania następców Św. Piotra we francuzkim Avignonie zwie się oficjalnie „niewolą babilońską papieży“; — że w roku 1511, papież Juljusz II., na zagładę Francyi Ludwika XII, utworzył aż „Ligę świętą“, której perłą był Henryk VIII angielski, podówczas, według Rzymu, „*Defensor Dei*“ — a wkrótce potem apostata i twórca schyzmy; że, z powodu władania Avignoniem, na

przestrzeni od roku 1662 i 1797, między Watykanem a umiłowaną córką Kościoła katolickiego, Francją, wybuchały i cichły gwałtowne starcia, — rozstrzygnięte dopiero przez pierwszą rewolucję francuską; że już sztandary Konwentu powiewały na murach Rzymu; — że Pius VI był więźniem francuskim i jako więzień, w Valence, życia dokonał; że nakoniec, Pius VII, po zawarciu z Napoleonem konkordatu, był w następstwie sporów wywiezionym do Francji i tu, przez szereg lat, trzymanym pod strażą, oraz, że Państwo kościelne było równocześnie (roku 1809) opanowanem przez Bonapartego i wcielonym do korony cesarza Francuzów.

Historja nadto, mówiąc o tych, niewyczerpanych tu bynajmniej starciach Francji z Watykanem, daje nietylko pełny obraz przyczyn, które wywoływały starcia, ale i zgoła nie świeckich środków walki o wskroś świeckie racje władców Państwa Kościelnego.

Monarcha-papież, polityk i mąż stanu, zabiegający o utrwalenie swych wpływów, granic, zdobyczy, przywilejów stawiał do boju nie z samym mieczem ale i gromem klątwy w rękę. Król rzymski miał zawsze w odwodzie zastępcę Chrystusa na ziemi, miał za sobą Ojca Świętego.

Tak działo się powielekroć razy z Francją i nie z Francją. Cel polityczny, racja państwowa, traktat handlowy, o ile Rzymu dotyczył, o ile w stosunku do Rzymu trafiał na opór — przybierał pozory krnąbrności względem Kościoła, uchybienia wierze, bezbożności i rozdawał lud, dotkniętego niełaską



papieską, króla i burzył ład uczuć religijnych. Fikcja państwowości walczyła w duszy poddanego z fikcją wiary i prowadziła do groźnych rozterek wewnętrznych i targała podwalinami tronów.

Panujący, stojąc między problematami tronu i religii, jednakowo na niebezpieczeństwo wystawionymi, drogi pośredniej nie miał. I bądź ratował honor i niezależność korony zniewoleniem ludu swego do kacerstwa, do odszczepieństwa, do uznania w monarsze naczelnika nowego kościoła, bądź szedł z zaciśniętymi zębami do Canossy.

Królowie francuzcy jeszcze w trudniejszym znajdowali się położeniu. Lud ich, po większej części, był szczerze katolickim, do zapalczywości i fanatyzmu do obrządków i dogmatów i gorących ich apostołów przywiązany. Królowie francuzcy na Canossie kończyli zawsze.

Do pogromu hugonotów, do nocy Św. Bartłomieja, mógł Henryk Nawarski roić o zerwaniu z Rzymem, o pójściu śladami Anglii, — lecz, po rzezi pamiętnej, hugonota z przekonania, musiał ukorzyć się, musiał schylić czoło przed potęgą stolicy papieskiej.

Śmierć tragiczna Henryka Nawarskiego, śmierć z ręki tego, który w królu Francyi domyślał się ukrytego kacerza, stała się dla następców Henryka IV niezapomnianem memento.

Odtąd polityka królów francuzkich, pomimo ostrych różnic z Rzymem, pomimo mnóstwa niesnasek, czyniła wszystko możliwe, aby do zerwa-

nia, do klątwy nie doprowadzić, aby pozory zachować.

Dwie, idące po sobie, długoletnie rejencye kardynałów a wraz z nimi potężny wpływ duchowieństwa na układ i bieg spraw państwowych, wykluczyły do reszty możliwość buntu. Francya nie przedstawiała być oficjalnie ukochaną córką Kościoła.

Trwało tak do chwili, gdy po koronę Burbonów wyciągnął ręce lud francuzki, gdy sam zapragnął wystroić się w gronostaje. Wówczas role się zmieniły. Bo dotąd królowie francuzcy, dla zachowania swej dynastyi, strzegli powagi Rzymu, teraz Rzym, dla zachowania religii, jął tem energiczniej wspierać zagrożoną dynastję.

Lud jednak nie uląkł się wypowiedzenia posłuszeństwa dwóm naraz władzom. Lud francuzki bowiem, od wielu lat, widział tych władz wzajemną dla siebie powolność. Od wielu lat przekonywał się, że Kościół nie broni go przed królem a król oddaje na łaskę inkwizytora. Od wielu lat patrzył na rozpustę, gwałty, zbrodnie nawet, popełniane w cieniach tronu i od wielu lat patrzył na nuncyuszów, kłoniących się przed metresami królewskimi, na zbytnią wyrozumiałość duchowieństwa dla sumień dygnitarzów państwa, na zupełną tegoż duchowieństwa dla pragnień ludu obojętność.

Stąd pierwsza rewolucya francuzka z równą zawziętością burzyła zamki królewskie, jak i pałace biskupie, z tem samem okrucieństwem ścigała stronników Ludwika XVI, jak i sługi Kościoła. Nie umiała, nie mogła nawet odróżnić rojalisty od katolika.

Rzym zresztą nie pozwolił rewolucjonistom francuzkim wątpić o swych, dla gwałcicieli ustroju monarchicznego, sentymentach. Rzym opowiedział się za legitymistami, za pomazańcem, za spadkobiercą Ludwika Świętego, za posłuszeństwem dla króla. Co więcej, Rzym przyczynił się do uzbrojenia całej Europy przeciwko Francyi republikańskiej, do żywienia kontrewolucyi, do podtrzymywania wojny domowej.

Pierwsza rewolucya wpadła w anarchię nie tylko społeczną ale i religijną.

Prześladowane, tępione, mordowane duchowieństwo ustąpiło przemocy. Kościoły stały się otworem dla orgii szalejącej tłuszczy, zniszczone, zrabowane klasztory świeciły pustkami. Na ołtarzu katedry Notre-Dame w Paryżu ukazywała się naga postać rewolucyjnej hetery i odbierała hołdy ludu...

Po siedmiu latach bezprzykładnego zamętu pojęć religijnych, czy poprostu bezwyznaniowości Francuzów, kościoły zaczęły powoli rozbrzmiewać, jak niegdy, pieniami religijnymi, duchowieństwo wracać do opuszczonych probostw, fijolety biskupie ukazywać się na poczesnych miejscach.

Z pozoru wracała wiara i poszanowanie władzy papieskiej. Z pozoru? — Dlaczego? — Dlatego, że wiara w Boga, wiara w naukę Chrystusa, choć urągała formom i obrządkom, trwała i podczas rewolucyi w narodzie francuzkim i dlatego, że poszanowanie władzy papieskiej, przez sam sposób jej powrotu, budziło, wątpliwości.

Wszakże władza papieska wracała nie dla Bur-

bona, nie dla Ludwika XVIII, lecz dla Bonapartego, dla uzurpatora, dla wczorajszego generała Konwentu i Dyrektoryatu. Więc Rzym nie o dynastję walczył, jeno o ideję monarchizmu, nie o świętość namaszczonego rodu, lecz o silne ramię władcy.

Kto w tej mierze złudzenia hołubił, tego wkrótce przekonały dzieje rozvodu, ponownego małżeństwa Napoleona, jego korcnacyi i jego sposobu załatwiania spraw z Watykanem.

I stało się, że gdy Bonaparte odebrał Piusowi VII władzę królewską, gdy mu zagarnął państwo, nikt nie myślał troszczyć się bodaj o rzuconą na Małego kaprała kłatwę!

Dzwony kościelne biły na cześć wojownika, błogosławiło go duchowieństwo a wierne zastępy żołnierzy i poddanych oswajały się z przeświadczeniem, że nic im do politycznych zatargów cesarza z papieżem.

Pomimo tak widocznej klęski, poniesionej przez Rzym, wskutek nierozważnego mieszania się do rewolucyi i sprzyjania otwartego jednej wyłącznie formie rządu, — Watykan i w następstwie trwał przy dawnej zasadzie.

Rok 1830 i 1848 również niczego nie pouczył Kuryi rzymskiej w stosunku do Francyi. Działalność jej trzymała się niezmiennie reakcyi i monarchizmu, jemu wiernie sprzyjała nawet wówczas, gdy miał za przedstawiciela bratanka Napoleona, gdy ten zamachem stanu władzę zagarniał.

Dla tej już, rzecz można, tradycyi niefortunnej,

i Trzecia Rzeczpospolita nie znalazła dla się poparcia Watykanu.

Z początku relacje szły dosyć gładko, może dlatego, że klęska Francji była równoczesną klęską zniszczenia Państwa Kościelnego a może dlatego, iż Trzecia Rzeczpospolita ogólnie była poczytywaną za jedną więcej efemerydę rewolucjonizmu.

Znośne atoli stosunki między Watykanem i odrodzoną Francją zeszyły niebawem do ostateczności pozorów...

Walka cicha, minowa wybuchła. Watykan sprzyjać zaczął pretendentom do tronu, popierać rojalistowskie, bonapartystowskie i wogóle antirepublikańskie prądy.

Przyznać trzeba, że, w tym razie, Rzym widział dla siebie coś więcej niż wzmocnienie wpływów politycznych. Wszak Napoleon III był przeciwnikiem odebrania papieżom władzy królewskiej, wszak każdy nieomal z pretendów gwarantował swą katolicką prawowierność i deklarował wskrzeszenie Państwa Kościelnego. A choć by tylko ewentualny król francuzki zdołał przeciąć węzeł, uciążliwego dla Watykanu, „*non possumus*“, choćby tylko biernie się zachował w tej mierze, to jeszcze wskrzeszenie prastarego tronu katolickich monarchów, miało tak niezmierną dla Watykanu doniosłość, że warto było się o nią pokusić. I tem więcej, że w szeregach republikańców francuzkich roiło się od hugonotów, bezwyznaniowców i libertynów.

Nie wdając się w roztrząsanie, czy te lub inne jeszcze przyczyny złożyły się na usposobienie Wa-

tykanu a co za tem idzie podwładnego mu duchowieństwa, — trzeba stwierdzić fakt, że Trzecia Rzeczpospolita miała niemal w każdym księdzu nieubłaganego przeciwnika.

Tu i owdzie znalazł się wyjątek, lecz ogół kleru francuzkiego stanął na prawicy parlamentarnej a więc tam, skąd w ustrój republikański jeno gromy padają, skąd solidarność ma dłoń, lecz dla komunisty lewicowego, dla socyal-rewolucjonisty, aby bodaj jego żagwiami cios Rzeczypospolitej zadać.

I nie są to kalumnie człowieka-niedowiarka, szukającego ludzkich błędów dla zachwiania boskich prawd, lecz uczciwe świadectwo człowieka miłującego wiarę ojców.

Duchowieństwo francuzkie gotowało zgubę Rzeczypospolitej.

Ono i zawsze utrzymywało najlepsze stosunki z legitymistami, ono zalegało przedpokoje i salony, wyglądającej powrotu Burbona czy Bonapartego, arystokracji, ono współdziałało obchodom kościelnym rozmaitych rocznic i świąt monarchicznych, ono urabiało na rojalistowską modłę młodzież, ono utrzymywało czoło armii w cichej do republikanizmu niechęci.

Kto w tych czasach miał sposobność zetknąć się tylko z duchowieństwem francuzkiem, tego wprost zdumiewała nienawiść do rządu, do kierowników nawy państwowej, do haseł republikańskich, ten ledwie oczom wierzyć mógł, że stoi przed nim nie męczennik, nie misyonarz ziemi, rozbrzmiewającej prześladowaniami za wiarę, lecz duchowny i oby-



watel kraju wolnego, lecz urzędnik, pobierający rządową pensję, lecz członek jednego z najbogatszych klerów katolickich... Tak, bo kler francuzki i za Rzeczpospolitej był niesłychanie bogatym. Świątyń posiadał mnóstwo i wypełnionych po brzegi skarbami sztuki, klasztorów setki i nieznanej nigdzie za-  
możności. Majątków, szkół, dobroczynnych zakładów, zapisów, bibliotek tyle, że byle tem rządzić a dzieło samo potężnieć będzie. Klerowi francuzkiemu nie zbywało i, na gwarantowanej przez rząd, estymie i na miejscu godnem purpury kardynalskiej i na honorach należnych mitrze biskupiej... Rzeczpospolita była patronką misyi katolickich na Wschodzie, nie skąpiła w tym kierunku nigdy ani swej pomocy ani opieki. Rzeczpospolita była powolną dla całego ustroju wewnętrznego duchowieństwa. Nie mieszała się do tego, czy obowiązki wikariusza pełni ksiądz-hiszpan lub ksiądz-polak, zakonom nie stawiała granic.

Ale, pomimo tego, Rzeczpospolita nie zdołała sobie miłości kleru pozyskać, bo... uchwaliła prawo o rozwodach, bo gdyby nie uchwaliła pomienionego prawa, to byłyaby tylko rzeczpospolitą a nie monarchią.

Rząd francuzki tymczasem wybornie zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które mu groziło ze strony kleru, rząd francuzki wiedział, iż kler ten sprzyja nieprzyjaciołom republikanizmu, lecz rząd francuzki jeszcze ufał pojednaniu.

Co nie należy brać za napomknienie na jakoweś skrupuły religijne rządu francuzkiego. Bynajmniej.



Rząd francuzki sromął się ostateczności i był niechybnie w tym razie epigonem wielu swych monarchicznego autoramentu poprzedników.

O potędze państwowej danego narodu stanowi rozwój oboczny trzech zasadniczych fikcyj. Fikcyi dynastyczno-monarchicznej, fikcyi religii i fikcyi ojczyzny. Tam, gdzie te trzy zasadnicze fikcje, trwają i krzewią się, tam łatwiej sprawować rządy niż tam, gdzie bodaj jedna chyli się do upadku...

Rzeczpospolita posiadała z natury ustroju swego już tylko dwie fikcje, dwa fundamenty idealne. Rozdźwięk z duchowieństwem groził jej zejściem do jedynej, do ostatniej, do ojczyzny.

Rząd francuzki więc, z egoizmu, powiedzmy, z chęci uniknięcia religijnej walki, z obawy przed waśnią, rozdzieleniem wewnętrznem, szukał zgody. Prawda, że już w roku 1900 ścigał Assomptionistów (kongregacye pod wezwaniem Wniebowzięcia) za antypaństwową działalność i ogłosił prawo o rozwiązywaniu zakonów i związków religijnych, tworzonych bez zezwolenia rządu, lecz były to środki grożące tylko a jeszcze nie wykluczające porozumienia z Watykanem.

Nadzieje były nie małe. Papież Leon XIII, pomimo swej osobliwej przyjaźni dla protestanckiego cesarza, Wilhelma, i wręcz, po kulturkampfie, gorszących z Prusami flirtów politycznych, bądź co bądź, za wpływem kardynała sekretarza stanu, Rampolli, skłaniał się do Francyi. Wpływy niemieckie w Watykanie słabły. Leon XIII nadto wydał i ogłosił pamiętną encyklikę, że każda władza pochodzi od

Boga i dał tem samem stanowczą odprawę prezydentom, konspiratorom antypaństwowym. Oburzył na się francuzkich rojalistów i imperialistów, lecz Rzeczpospolitej podał rękę. Nadzieje Rządu francuzkiego ziszczały się....

Śmierć Leona XIII a obocześnie zapewniony, prawie nieunikniony, wybór na papieża kardynała Rampolli, przyjaciela nie królów francuzkich, lecz Francyi — wzmocniły ufność Rzeczypospolitej.

W Paryżu spodziewano się lada dzień okiełznania kleru, lada dzień zdawało się „*Roma locuta*“ i „*causa finita*“.

Aliści wybór Rampolli został zakwestyonowanym. „Każdy inny ale nie Rampolla“ — oświadczyły Niemcy, za pośrednictwem Austrii a przez usta Polaka, i papieżem ogłoszonym został Józef Sarto. Teką sekretarza stanu dostała się młodemu hiszpanowi, zapaleńcowi, kardynałowi Merry del Val. Wpływy niemieckie zatryumfowały w Watykanie. Rzeczpospolita francuzka miała do wyboru, bądź żywić dalej ukrytego nieprzyjaciela, bądź mieć go przed sobą w szrankach. Z dwojga złego opowiedziała się za mniejszem.

Czekano teraz na powody, czekano nie długo.

Kwestya obsadzenia wakujących biskupstw była pierwszą bojową przygrywką. Watykan potraktował żądania Rzeczpospolitej całą lekkomyślnością swego młodego sekretarza stanu.

Przyjazd z rewizytą prezydenta Loubeta do Rzymu stał się atoli dopiero decydującym *casus belli*.

Loubet był, według Watykanu, pierwszym przed-

stawicielem państwa katolickiego, który ośmielił się odwiedzić króla włoskiego w jego stolicy a raczej w mieście świętem, w którym powinien władać papież. Przybycie więc prezydenta Rzeczypospolitej było aktem sankcjonującym aneksję królestwa papieskiego.

Kroniki milczą jeszcze, czy rewizyta Loubeta, w Rzymie właśnie a nie w innem mieście włoskiem, była rozmyślnym krokiem rządu francuzkiego, czy chęcią zadowolenia włoskich propozycji. Niezawodnie obie strony widziały w takim układzie korzyści dla siebie.

Dwór włoski spodziewał się, że w ten sposób nareszcie zapoczątkuje się koniec tragikomedyi, która monarchów katolickich zmusza do unikania Kwirynału a monarchom innych wyznań, o ile w Rzymie z hołdem do Watykanu spieszą, każe udawać, że przybywają, nie z gościny u króla włoskiego, lecz wprost ze Siamu... Co znaczy, że zajechali do swej legacyi i, po wypaleniu papierosa, wsiedli do pojazdu prywatnego i, w kilka minut, stanęli u granic Państwa Kościelnego.

Rząd francuzki może widział w tem okazję wyrażenia swej szczerzej przyjaźni bratniemu narodowi a może i okoliczność do zaszachowania Kuryi Rzymskiej.

Watykan powitał przyjazd prezydenta odmową przyjęcia u papieża a pożegnał stanowczym protestem.

Obraza była ciężką i niespodziewaną. Niespodziewaną dla tego, iż przeszłość kardynała Sarto

wróżyła inne zakończenie. Kardynał Sarto przecież, przed niespełną dziesięć laty, umiał w Wenecyi pogodzić obowiązki wiernopoddanego Włocha z obowiązkami kardynała i reprezentanta Stolicy Świętej, i króla Humberta, króla uzurpatora, króla, pożywającego z Państwa Kościelnego, króla, będącego z całą rodziną w stanie grzechu nad grzechami, godnie uhonorował... A przecież ten nadewszystko i tylko ten władca winien był poznać i w Wenecyi, że krzywda, wyrządzona Kościołowi, trwa, jątrzy i że o niej kardynałowi zapominać nie wolno.

Kardynał Sarto nie był jednak wówczas Piussem X i nie miał przy sobie desperata politycznego w osobie Merry del Vala.

Obraza przedstawiciela Francyi jeszcze i dlatego była niespodziewaną, że niechybnie Rząd Rzeczypospolitej, gdyby przypuszczał możliwość tak energicznego protestu, nie wystawiał by głowy państwa na cięcie. Knowaniom w tym kierunku Combessa, który stał na czele gabinetu francuzkiego, oparł by się i człek tak ostrożny i zwinny, jak ówczesny minister spraw zagranicznych, Delcassé, i oparł by się jeszcze energiczniej prezydent Loubet, ile że, dla tego ostatniego, przywiezienie z Włoch policzka mogło równać się osobistej zagładzie.

Po za tem, o ile by Francyi zależało na sprowokowaniu Watykanu, na podnieceniu przeciwko niemu opinii swych obywateli, to niewątpliwie umiałyby znaleźć lepszą sposobność i dla Kuryi Rzymskiej niewygodniejszą.

Na protest Piusa X, Rzeczpospolita odpowiedziała

odwołaniem posła, zamknięciem szkół i uczelni, prowadzonych przez duchowieństwo wogóle, zerwaniem z Watykanem stosunków dyplomatycznych i uchwaleniem prawa o rozdziale Kościoła z państwem.

Następstwem tych uchwał było: sekularyzacja klasztorów i konfiskata na rzecz państwa majątków zakonnych, o ile należały do zgromadzenia, które nie posiadało zezwolenia rządu i nie poddało się prawu o stowarzyszeniach; dokonanie inwentarza kościołów, oddanie ich na własność miastom i gminom na warunkach, że mają być wynajmowane zjednoczeniom religijnym odnośnego kultu; zamknięcie ostateczne wszystkich szkół, ochron, zakładów wychowawczych, prowadzonych przez duchowieństwo; sekularyzacja duchownych, którzy by nauczaniem, w cywilnych szkołach, chcieli nadal się zajmować; wykluczenie nauki religii z programu gminnych i rządowych zakładów naukowych; zakaz umieszczania godeł wiary na gmachach, budynkach i t. d. nie poświęconych wyłącznie kultom religijnym; zniesienie wszelkich pensyj, opłat i subwencji, wypłacanych bądź duchowieństwu, bądź instytucjom przedmiot religii mającym na celu.

Nie trudno odgadnąć, że racya państwowa, ku przeprowadzeniu tych zarządzeń, poza polityczną stroną, musiała znaleźć przyjazny oddźwięk u znacznej części obywateli Rzeczypospolitej. Inaczej żaden naród, a przedewszystkiem francuzki, nie pozwolił by sobie narzucić praw, godzących w jego religję. Inaczej następstwem rozdziału Kościoła z Państwem byłyaby reakcja, opór, wrzenie i go-

towanie się mas do wojny domowej, co straszniejsze, wojny religijnej.

We Francyi, przeprowadzenie rozdziału Kościoła z Państwem nie tylko, że podobnych następstw nie wywołało, lecz niemal brakiem istotnego oporu, brakiem energicznych protestów, sprawiło nawet naczelnikom rządu prawdziwą niespodziankę.

Czas bo, wielki czas, aby nareszcie zaniechać bajek o ukontentowaniu, zadowoleniu Rządu francuzkiego ze znalezienia sposobności do zerwania z Watykanem, do odebrania Kościołowi cech państwowej instytucji.

Rząd francuzki, do ostatniej chwili, wahał się, do ostatniej chwili, gotów byłby zrezygnować z wielu swych żądań, gdyby druga strona bodaj cień ustępstw okazała.

Combes, ów straszny „Antychryst“, ex-kleryk, ów rzekomy wróg massoński katolicyzmu — wszak i Combes nie był za przejściem Rubikonu, wszak on sam, i on, w przedeniu wojny z Kościołem, dałby był wiele, żeby *modus vivendi* osiągnąć, żeby odwlec, opóźnić bodaj... klęskę!... Combes, nie dla sentymentów religijnych, nie dla skrupułów, pragnął szczerze uniknąć ostateczności, lecz dlatego, że zbyt dobrym był republikaninem, aby Rzeczpospolitą wystawiać na niebezpieczeństwo, zbyt głębokim był politykiem, aby nie doceniać potęgi duchowieństwa, wiary, Kościoła!

Ba, wszak samo nieugięte, twarde zachowanie się Watykanu było tej potęgi dokumentem. Kurya Rzymska umiała być zapalczywą, porywczą — lecz



posiadała zawsze silny zmysł polityczny. W potrzebie, wobec porażki, nie gardziła odwrotem, nie sromotała się wyprawienia parlamentarza z gałązką oliwną! — Nigdy atoli, w tym razie, nie skłaniała się do kompromisów.

Rzym miał same atuty w ręku: rękojmię religijności całego oficeryatu francuzkiego, legjony mniichów, księży i zakonnic, wszystkie gminy i placówki obsadzone, zasoby pieniężne, wpływ na młodzież przez szkoły i przytułki, wpływ na motłoch przez szafarstwo zapomóg i wsparć, wpływ na arystokrację, na szlachtę, co więcej, Rzym miał jeszcze setki, pragnących upadku Rzeczypospolitej, miał gwarancje pretendentów do tronu, miał podszepty niemieckie, zabiegające o wycieńczenie Francyi.

Rzym był pewien zwycięstwa — rząd francuzki drżał przed grozą religijnej wojny. Rozstrzygał wyrok ludu...

I wyrok zapadł — i wyrok, jakiego nie spodziewał się ani Watykan, ani rząd Rzeczypospolitej.

Czyżby bezwyznaniowość, zobojętnienie dla religii, dla wiary już tak głębokie zapuściło we Francyi korzenie?

To proste zapytanie wymaga skomplikowanej odpowiedzi.

Sumienie religijne Francyi od wieków przechodziło przez krzyżowe ognie. Od fanatyzmu, tępienia inowierców, od wypraw krzyżowych, prześladowania za brak wiary aż do gilotynowania biskupów, profanowania świątyń, społeczeństwo francuzkie ogłądało wszystko, lecz nie ogłądało bezkarnie.



Widma hugonotów, palenie heretyków, rządy kardynałów, sąd duchowny nad Dziewicą Orleańską, tradycje, czy legendy kacerskie, o losie kawalera de la Barre, o życiu Etienne Doleta, aż do politycznych ze zwierzchnikami Kościoła zatargów, pracowały na tworzenie w sumieniu religijnem Francji osadu zwątpienia. Osad ten utrwalali rozmaitego pokroju działacze, myśliciele czy wywrotowcy, więc i Voltaire, i encyklopedyści i jakobini, i demagodzy i przyrodnicy, i zwolennicy Renana i odszczepieńcy i anarchiści. Osad ten żywiły nadto i rewolucje i komuna, i powstanie Wandei i zamachy stanu, i reakcje monarchizmu i, towarzyszące temuż, sporadyczne odradzanie się, wzmaganie władzy duchowieństwa i tego ostatniego nie dość ofiarna, nie dość apostolska praca.

Łańcuch nieskończony wielkich i niedostrzegalnych ogniw złożył się na urobienie współczesnego sumienia religijnego Francuzów i na skojarzenie w niem, szarmonizowanie dysonansów, wynikających z wrodzonej, dziedzicznej wiary w Boga, z kultury chrześcijańskiej, z zamięłowania do tradycji, zwyczajów i obrządków kościelnych, z odczarowań, z buntu przeciwko Papieżtwu, przeciwko jego polityce, z wpływu dociekań filozoficznych, z prawdy że ludowi francuzkiemu obiecywano polepszenie bytu po śmierci, gdy on je osiągnął, i sam, za życia.

I ten właśnie łańcuch sprawił, iż decyzja rządu Rzeczypospolitej, że uchwała parlamentu była uchwałą zarówno większości obu izb prawodawczych, jak

i większości narodu, że rozdział Kościoła z państwem był niejako potwierdzeniem rozdziału, dokonanego oddawna, w pojęciach obywateli Rzeczypospolitej. O ile zaś niem nie był, — o tyle, przez niezręczną dalszą akcyę Watykanu i duchowieństwa, zdobył przyzwolenie nawet większości opornych, nawet tych, którzy wrogo przyjęli zapowiedź reformy.

Prawo francuzkie bowiem z dnia 9 grudnia 1905, druzgocząc niby to więzy konkordatu i stosunku państwa do władz duchownych, pozostawiając niby to kwestyę religii, obrządków, indywidualnym wyobrażeniom, wolnej woli obywatela — wyszło z zasady i oparło się na zasadzie dosłownej:

„Rzeczpospolita gwarantuje wolność sumienia. Gwarantuje swobodę kultów religijnych, z zastrzeżeniem jedynie warunków, zabezpieczających ład publiczny“.

Jakoż prawo to, burząc dotychczasowe podwaliny ustroju religijnego — stworzyło nowe podwaliny, niezawodnie, ograniczające władzę duchowieństwa i Watykanu, — ale jeszcze nie zabójcze, ale jeszcze i bardzo znośne i bardzo liberalne.

Przewodnią rzeczzonego prawa są gminy wyznaniowe, które otrzymują od państwa, za opłatą symbolicznego jednego franka rocznie, dany gmach świątyni, z obowiązkiem chronienia go, strzeżenia, przed zniszczeniem i zatraceniem jego pamiątek, naczyń i przedmiotów kultu religijnego.

Gminy podlegają ogólnemu prawu o stowarzyszeniach, -- mogą być zawiązywane wyłącznie dla

celów religii i przy udziale już siedmiu osób, w miejscowościach, gdzie ilość mieszkańców wynosi mniej niż tysiąc ludzi, a przy udziale dwudziestu pięciu osób, gdy ludność przechodzi liczbę 20.000 dusz. Gminy takie mogą tworzyć związki i posiadać zarząd centralny...

Słowem, prawo z dn. 9 grudnia 1905 roku sta-  
nęło na gruncie symetrii układu społecznego i w isto-  
cie, nie bez kozery, z punktu bezwyznaniowego widze-  
nia, wywołało protest socyal-rewolucjonisty Allarda.  
Ramy prawa nowego dały bowiem odmienne, lecz  
zawsze olbrzymie, pole rozwoju nawet dla tego, w co  
godziły, to jest, dla władzy i wpływów politycznych  
Watykanu.

Rząd nie poszedł dalej, — bo w gruncie ani chciał,  
ani mógł gwałcić wolności sumienia, — bo, w pod-  
daniu gmin wyznaniowych prawu o stowarzysze-  
niach, widział dla się możliwość kontroli i czuwania,  
bo pragnął narzucić Rzymowi własny *modus vi-  
vendi*.

Stolica Apostolska pozostała nieprzejeđnaną. Na  
uchwałę prawa odpowiedziała encykliką „*Vehemen-  
ter nos*“ (11. II. 1906), a, po rozważeniu rezultatu  
obrad biskupów francuzkich, przez „*Gravissimo offi-  
cii*“ (11. VIII. 1906) potępiła stanowczo wszelką  
myśl o poddaniu się katolików prawu gmin wyzna-  
niowych.

Przewodnią decyzji Watykanu było, że uchwała  
parlamentu francuzkiego ma intencye schyzmatyckie,  
że stanowi o tem, co, jako organizacya wewnętrzna

Kościoła, nie może podlegać wynikowi głosowania tego lub innego parlamentu.

Ten z pozoru jedynie zasadniczy punkt widzenia Stolicy Apostolskiej i zasadniczo słuszny był obocześnie poważnem zaszachowaniem rządu Rzeczpospolitej... Nie uznanie, nie poddanie się prawu o gminach wyznaniowych, udaremniało rządowi kontrolę nad duchowieństwem, tworzyło dlań nieznaną, nieuchwytną, tak co do liczby, jak i rodzaju, masę wyznawców, zmuszało do niewykonywania prawa, do obchodzenia go, do tolerowania nielegalnych instytucji.

Obocześnie atoli zasadnicze stanowisko Stolicy Świętej wywarło przynębiające wrażenie wśród legionów katolików wierzących i praktykujących a nawet wśród odłamu duchowieństwa francuzkiego niepokój spowodowało. Legiony te potępiały i sekularyzację zakonów i zamknięcie szkół, prowadzonych tak dzielnie przez duchowieństwo, nie pochwalały wyzucia księży z praw do pensyi, emerytury, przywilejów służby publicznej — ale i nie mogły wyrozumieć, dlaczego zasada wytrąca im oręż z ręki, dlaczego nie zezwala na ratowanie wiary, dlaczego sroma się drogi, która, bądź co bądź, daje jeszcze wolność zaspakajania potrzeb religijnych, wolność propagandy, a za tem wolność oddziaływania na masy.

Tymczasem zaczęło się stosowanie prawa a więc kasowanie klasztorów, spisywanie inwentarzy kościołów i zamykanie, podwładnych duchowieństwu, instytucji. Kler francuzki dał hasło do oporu, do

rewolucyi niemal. Zaprowadzał strażę u wejścia do świątyń, barykadował bramy, gotował protesty, wzywał wojsko do niekarność, parafian do buntu otwartego — daremnie. Posłuchu nie znalazł a raczej znalazł go tyle akurat, ile potrzeba było na wywoływanie zająć, polegających na rozpędzaniu gromadek manifestantów strumieniami wody z węzłów strażackich.

Uczciwość przytem nakazuje stwierdzić, iż wszelkie tragiczne sceny gwałcenia, plugawienia świątyń przez władze francuzkie były wymysłem, jednym z wielu kłamstw, rozsiewanych o Francyi.

Lud francuzki nie reagował wcale na czynności komisarzy rządowych a właściwie dał tylu klerowi manifestantów przyjaznych, ilu manifestantów wrogich. Wrzaski „niech żyje papież!” krzyżowały się z wrzaskami — „precz z papieżstwem” — naród zaś stał i słuchał obojętnie...

Lecz nie idzie tu o historję Kościoła katolickiego we Francyi, jeno o skryształizowanie stanu jej dzisiejszego religii a głównie o rzut na bezbożność, bezwyznaniowość francuzką.

A więc prawu nowemu stało się zadość, rozdział Kościoła z państwem został dokonany. Czyżby świątynie były zawarte, czyżby praktyki religijne ustały? — nie. Wyginęły tedy może zakony bezpowszechnie? — I to nie. Poddano się paragrafom prawa? — także nie!

Cóż się stało? — stało się to, co musiało wziąć górę nad encyklikami, fiskalizmem urzędników, nieprzejednaniem jednostek. Siłę tej na imię życie,

które rozkaz ludzki nie właden jest zatrzymać w biegu, które, wbrew tym czy innym racyom, samo sobie toruje drogę, samo żłobi nowe koryto.

Watykan odrzucił myśl uznania prawa, wydanego przez parlament, ksiądz proboszcz również go nie uznał, — lecz że go nikt nie rugował ze świątyni, więc pozostał. Jużci, dla podołania i uwolnienia się od zatargów z władzą, uformował proboszcz coś w rodzaju dawnej rady kościelnej, lecz rady znów nie chcącej słyszeć o drakońskim prawie... Ale, nadeszła, przypuśćmy, potrzeba odnowienia świątyni, która, jako gmach, stała się własnością państwa. — Proboszcz dany, z radą pospołu, zajmuje ją jako „*occupant sans titre*“ — co znaczy, że przebywa w niej bez tytułu prawnego, — czyli nie może świątyni odnawiać. Na ten koniec trzeba zezwolenia prefekta Sekwany, jak, na przykład, miało miejsce, gdy szło niedawno o reparacyę gruntowną kościoła Św. Ferdynanda w Paryżu. Ksiądz z urzędu jest nieprzejednanym, więc... zgłasza do prefektury tylko „przyjście z pomocą“ (*offre de concours*) w odnowieniu świątyni. Prefekt na pomoc się zgadza pod warunkiem, że mu proboszcz (dla prefekta tylko pan ten i ten) zbierze fundusze i doręczy mu je dla dokonania wypłat... A że przy tem, dla proboszcza, wynika stąd ewentualność wielokrotnego, dalszego porozumiewania się z władzą, więc uciera się sam przez się nowy konkordat, nowy ład.

Jak ten ład w całości się przedstawia — niech odpowie to źródło, które już bezwzględnie nie można pomówić o bezwyznaniowość, o sympatyje republikańskie.



W roku 1908, w Paryżu, ukazały się pamiątniki\*) księdza Leona Postawki, doktora Św. teologii, prałata domowego Jego Świętobliwości Piusa X, i rektora Misji Polskiej w Paryżu. Ksiądz Postawka, który trzy czwarte życia spędził we Francji na rozmaitych szczeblach hierarchii kościelnych — tak obrazuje stan religii i bytu duchowieństwa, po dokonanej reformie.

„Są\*\*) już dziś parafie zupełnie ogołocone ze wszelkiej pomocy religijnej. Kościoły zamknięte, na plebaniach świeci karta: „Dom do wynajęcia. Zgłosić się do sekretarza domu municypalnego po wiadomość“. Są to kościoły i parafie, po większej części, małe, gdzie znajduje się trzystu, czterystu najwyższej sześcuset parafian, w podobnych parafiach większość mieszkańców jest czysto republikańską i przeciwną Religii. Mniejszość, która wszędzie istnieje, opłakuje ten stan rzeczy. Wierni udają się po pomoc religijną do sąsiednich parafii, co jest rzeczą niezbyt wygodną, lecz przymusową.

„W miejscowości, gdzie zwykle spędzam wakacje, kwestya ta tak rozstrzygniętą została.

„Parafia Św. Jana liczy pięcuset mieszkańców, posiada jeden z najdawniejszych kościołów obok

\*) *Pamiątniki, obejmujące okres od roku 1863 do 1908, napisane przez ks. Leona Postawkę, doktora św. Teologii, Prałata Domowego J. Św. Piusa X, Rektora Misji Polskiej w Paryżu. Paryż. Imprimerie Levé. 74 rue de Rennes 1908.*

\*\*) *Tom II strona 350, 351 i 352 in extenso — bez opuszczeń.*



starożytnego klasztoru Benedyktynek, przedstawiającego dziś malownicze ruiny ze wspaniałym ogrodem. Kościół, po odnowieniu, wygląda pięknie, chociaż kilka razy był zniszczony przez ogień i ostatecznie, przez rewolucję francuską; resztki klasztoru są wynajmowane osobom świeckim. Plebanię wybudowano za czasów Cesarstwa — był to dom jeden z najpiękniejszych w parafii.

„Po zerwaniu konkordatu, w tej parafii rzeczy ułożyły się tak, że większość mieszkańców konserwatywna wymagała utrzymania proboszcza przy parafii. Aby więc zadość uczynić prawu, zażądano od proboszcza, jako od lokatora, za wynajęcie kościoła i plebanii, pięć franków rocznie — na co ksiądz, z aprobatą Biskupa, zupełnie się zgodził.

„Dodać tu należy, że, po zniesieniu konkordatu, wszystkie pensye duchowieństwa zostały cofnięte, parafianie Św. Jana obowiązali się więc przez składki zastąpić pensyę, zniesioną przez rząd“.

„W ten sposób rzeczy trwały prawie dwa lata, poczem nastąpiły wybory municypalne w całej Francyi. W osadzie i parafii Św. Jana wypadły nieszczęśliwie — większość wybranych była z opozycji, zażądano w następstwie od proboszcza nie pięć, lecz dwieście franków z dodatkami“.

„Proboszcz, obrażony niesprawiedliwą niespodzianką, która go dotknęła, podał się do dymisji i otrzymał inną posadę. Wobec tego, od końca kwietnia b. roku (1908) wszelkie nabożeństwo jest w osadzie tej zawieszone. Pobożne damy złapią czasem jakiego księdza i ten odprawi nabożeństwo

od czasu do czasu, lecz stale nie ma tam pasterza“.

„W ostatnich dniach września dowiedziałem się, że w parafii tej nastąpił zwrot na dobre, parafianie udali się do Biskupa, aby dał im nowego kapłana. Część parafii zobowiązała się dawać pewną sumę na utrzymanie proboszcza i odprawianie nabożeństwa jak dawniej“.

„W Vieux-Moulin, gdzie od ośmiu lat jestem parafjaninem, rzeczy mają się inaczej. Municipałość zażądała dwieście franków od proboszcza za używanie kościoła i plebanii. Proboszcz wystosował odezwę do parafian, którzy zobowiązali się piśmiennie składać na jego ręce 1200 franków rocznie. A za tem proboszcz ów, nietylko nic na tej zmianie nie stracił, lecz owszem jeszcze zarobił, gdyż rząd płacił mu pensyi 900 franków. Oczywiście dochody za śluby, pogrzeby i inne ceremonie pobiera proboszcz na utrzymanie swoje i kościoła.

„W całej Francyi, oprócz honoraryów za Msze św., wszystkie inne opłaty za śluby, pogrzeby i t. d., przed zniesieniem konkordatu, składane były w ręce dozoru kościelnego, a ten corocznie musiał składać rachunki panu burmistrzowi. Suma owa tworzyła fundusz na potrzeby kościoła. Teraz rachunki te nie istnieją i kasa koncentruje się w rękach proboszcza.

„Przyznać należy, że rząd i municipałość nie wtrącały się do niczego, spełniając jedynie formalność i nie robiąc żadnych trudności“.

„Dawniej opłaty za urządzenie nabożeństw, ślu-

bów i t. p. uroczystości były oznaczone dekretami podług klas czy też stopni, obecnie dekrety te zostały zniesione i proboszcz naznacza je według swego uznania z aprobatą Biskupa“.

„Z tego wywnioskować można, że, w bogatszych parafiach, duchowieństwo osobiście nic nie straciło a w niektórych razach nawet zyskało, jedynie fundacye różne, seminaria, szkoły parafialne, utrzymywane przez duchowieństwo, strasznie ucierpiały“.

„To, co powiedziałem, o dwu parafiach Saint Jean i Vieux-Moulin daje pojęcie o stosunkach, istniejących w innych parafiach na prowincyi. W wielu bardzo, proboszczowie, na wzór św. Pawła Apostoła, wzięli się do pracy ręcznej. Np. jeden z nich w diecezyi Beauvais zajął się uprawą ziemi, wprowadzić robił on to i dawniej, aby zarobić na kawałek chleba, gdyż pensyę, jaką otrzymywał od rządu, rozdawał ubogim do tego stopnia, że ci ubodzy musieli składać się na zakupienie mu niezbędnej bielizny i odzieży. Obecnie zaś ksiądz ów pracuje nad uprawą roli własnoręcznie, aby módz zostać przy swych ukochanych parafianach, nie będąc im ciężarem \*)“.

„O dwu innych proboszczach słyszałem jeszcze rzeczy następujące. Jeden z nich okazał się znakomitym tokarzem; drugi, w kilkomiesięcznym okresie, doszedł do majątku — wynalazł on wódkę jakiegoś nowego pomysłu; likier żółty jak złoto, podobno dodatnio wpływający na zdrowie i mający smak

---

\*) *Tamże tom II str. 354.*

bardzo przyjemny. Obecnie z nektarem tym wszędzie spotkać się można a proboszcz-wynalazca pierwsze 100.000 franków oddał swemu Biskupowi na potrzeby dyecezyi i kościoła.

„Od roku wprowadzony jest we Francyi nowy rodzaj świętopietrza, mający na celu potrzeby dyecezyi.

„Każdy z wiernych pośpiesza z datkiem raz na rok a nawet i kilka razy do roku, wedle woli i możliwości. Pieniądze, w ten sposób zebrane, składa się na ręce Biskupa a ten używa ich, wedle potrzeb, na utrzymanie seminaryów, ubogich kościołów i opłatę pensyi księży w parafiach, które nie mogą utrzymać się o swoich siłach.

„Idzie to dotychczas po Bożemu i tym sposobem zapewnione są środki, potrzebne na chwałę Bożą, udzielanie wiernym Sakramentów św. i na utrzymanie duchowieństwa“.

„Tu, w Paryżu, są parafie, posiadające, więcej dochodów, niż potrzeb, lecz są też uboższe i bardzo ludne, które nie mają dostatecznych funduszy. Arcybiskup, odbierając datki powszechne, rozdziela je między uboższe parafie, aby tym sposobem zaspokoić ich potrzeby. Naturalnie, wydatki są ogromne. Utrzymanie samego arcybiskupstwa z personelem, służbą i t. d. jest już poważną pozycją, szkoły parafialne także drogo kosztują, przyznać jednak trzeba, że hojność katolików francuzkich jest doprawdy niezwykłą \*)“.

---

\*) *Tamże, tom II str. 355.*

Na zakończenie tych znamienitych wynurzeń Księdza-Prałata godzi się przytoczyć jego wyjaśnienie o sposobie, w jaki użytkuje dziś z kościoła Wniebowzięcia Misya polska w Paryżu.

„Do czasu trwania konkordatu, kościół Wniebowzięcia i mieszkanie dyrektora Misji były udzielane jej przez parafię św. Magdaleny, do której kościół ten należy, bez najmniejszej opłaty. Gdy zaczęła się zawierucha i przypuszczano nawet, przez czas jakiś, że kościoły zostaną skonfiskowane i zamknięte, udałem się do prefekta Paryża z zapytaniem, czy Misya polska w Paryżu może liczyć na przyszłe swoje istnienie. Pan prefekt odpowiedział mi z wielką uprzejmością, że Misya również, jak i inne plebanje, będzie musiała płacić komorne i zapewnił mnie, że miasto Paryż naznaczy komorne jaknajmniej uciążliwe.

„Po niejakiem czasie, przybyło z prefektury trzech urzędników, aby ocenić wartość mieszkania i kościoła; naznaczono razem 10.000 franków rocznego komornego. Gdym się o tem dowiedział, zrobiło mi się kwaśno na sercu i na duszy, nie traciłem jednak nadziei, gdyż pamiętałem o zapewnieniu prefekta Paryża. Po upływie trzech miesięcy, przybył do mnie wikarjusz, skarbnik św. Magdaleny, który oznajmił mi, w imieniu proboszcza, że mam mu płacić za używalność kościoła i bardzo liche mieszkanie, tworzące zaledwie czwartą część całego domu, 1000 franków.

„Narazie nic nie mówiłem, gdyż musiałem się porozumieć z prezesem i członkami komitetu, czuwa-

jącego nad stroną materyalną Misyi. Dowiedziałem się następnie, przy umowie z proboszczem św. Magdaleny, że prefektura zażądała za całe komorne 10.000 franków, jakeśmy się lękali, lecz 1200 franków. Oczywiście, naznaczono tę minimalną sumę jedynie dzięki interwencji prefekta Paryża. Okazało się więc, że, wskutek tej umowy, parafia św. Magdaleny miała używać kościoła Wniebowzięcia i trzech czwartych domu za 200 franków rocznie, gdy tymczasem Misya polska miała płacić 1000 franków za prawa znacznie mniejsze. Dysproporcya była bardzo wymowną.

„Napisałem tedy do proboszcza św. Magdaleny o zmniejszenie tak wielkiego ciężaru. Odpowiedział mi, że nie było to jego osobistą decyzją, lecz zależało od dozoru kościoła i parafii św. Magdaleny, dodając mi na pociechę, że, jeżeli warunki te wydają mi się zbyt uciążliwymi, mogę szukać innego mieszkania. W końcu, w dowód wielkiej sympatii i współczucia dla nieszczęśliwych wygnańców, oznajmił, że zmniejszy komorne o 200 franków rocznie, a więc, zamiast 1000 franków, Misya polska płaci ks. proboszczowi, jako głównemu lokatorowi, 800 franków, co przy utrzymaniu zakrystyana i innych wydatkach kościelnych, wynosi razem około 1600 franków“ \*).

Według więc tego, naogół optymistycznego, świadectwa Księdza-Prałata, pomimo rozdziału Kościoła z Państwem, konfiskaty majątków duchownych, po-

---

\*) *Tamże tom II., str. 374, 375 i 376.*



mimo nie poddania się kleru nowemu prawu, nic lub bardzo nie wiele ucierpiało na tem uposażenie księży i służba Boża.

Sprawiedliwość nakazuje mniej pogodnie na sprawy te się zapatrywać, gdyż, o ile słusznie Ksiądz-Prałat stwierdza, że w wielkich środowiskach, jak Paryż, Lyon i t. d., dochody probostw się znacznie powiększyły, o tyle zbyt ufa rzekomemu wspomaganiu ubogich parafii przez bogate...

Katolicy francuzcy od wieków słynęli z ofiarności na rzecz Kościoła, jego celów i potrzeb. Słynęli w czasach, gdy majątki duchowne, legaty, pensye rządowe księży, wysokie bardzo taksy za każdy cień pompy obrzędowej, wreszcie pomoc gmin i departamentów w wydatkach na utrzymanie i budowę świątyń nie mogła podniecająco na szczodroblivość ich oddziaływać. Katolicy francuzcy wszakże nie tylko nie uchylali się od ofiar, lecz znosili obyczaj, mało w innych krajach katolickich znany, nieustannej kwesty podczas nabożeństw. Dziwili się nawet, gdy jednowierca ich, cudzoziemiec, powiadał im, że istnieją kościoły katolickie, nie żądające przymusowego haraczu za miejsce siedzące, nie brząkające pograżonym w modlitwie coraz to inną puszką.

Stąd łatwo pojąć, że gdy kościoły i probostwa zostały огоłocone z legatów, kapitałów, posiadłości a księży pozbawieni pensyi — ofiarność katolików francuzkich musiała szersze przybrać rozmiary.

I tak się stało. Tysiące całe opodatkowały się dobrowolnie, tysiące zgłosiły swe coroczne i wysokie nieraz subwencye.



Obocześnie kwesta codzienna, jako teraz zgoła słuszną, potroїła swe dochody, — a taksy, za różne stopnie świetności obrzędowej, wyzwolone z klauzuli dekretów, podwoїły zyski, bo umożebniły traktowanie zgłaszających się po śluby, chrzty, nabożeństwa, nie według tego, ile zamierzili, lecz, ile, w stosunku do możności swej, powinni wydać, — bo posiadły niezachwiany argument o pozbawieniu świątyn i duchowieństwa środków utrzymania.

Parafje więc liczne, parafje wielkomiejskie, stojące w pobliżu ofiarności, w sąsiedztwie ludzi pysznych, miennych, wierzących, czy jeno zachowujących tradycje, znakomicie wyszły na nowym układzie. — Natomiast parafje ubogie, parafje, skazane na hojność kmieci, te parafje wpadły w istotną, niezaprzeczoną nędzę.

Kmieć francuzki, jak każdy kmieć zresztą, z chwilą gdy ustał dlań wszelki przymus gminny łożenia na kościół, rad unika ofiar dobrowolnych, szuka tańszego sposobu załatwiania swych z Panem Bogiem porachunków, na wyjazdy do miasta zachowuje swą pobożność, łączy przystąpienie do Sakramentów z kupnem lub sprzedażą konia lub cielaka, woli „cudzego“ księdza niż księdza, utyskującego wciąż na biedę, domagającego się składek, zapomóg, darów. Co więcej, kmieć francuzki nie pozostał głuchym na hasła nowatorskie.

Są, szczególnie na południu Francyi, parafje opuszczone zupełnie dla braku wyznawców, dla braku środków na utrzymanie księdza na straconej placówce; obok tych parafji, w których widnieje na

gmachu kościelnym napis „dom do wynajęcia“ są znów, tuż obok, parafie liczne, bogate i są takie, w których, już nie dla braku wierzących, proboszcz wydany jest razem ze świątynią na nędzę.

Rzekome zaopatrywanie biednych parafij nadwyżką dochodów z parafji możliwych jest dotąd frazesem zazwyczaj. Na żale proboszcza do biskupstwa, dekanatu, nadchodzi, z reguły, zachęta do wytrwania, jeremiady o smutnem położeniu Kościoła, błogosławieństwo biskupie a rzadko stufrankówka.

Przyczyny tak macoszego traktowania ubogich parafii są rozliczne. Pierwszą z nich jest zła organizacja, odrzucenie prawa o stowarzyszeniach, a za tem zepchnięcie duchowieństwa, razem z wyznawcami, w odmęt nielegalnych rad nadzorczych, nielegalnych związków, nielegalnych kas. Niegdy pensye rządowe regulowały normy uposażenia księży, gwarantowały minimum, utrzymywały w równowadze parafie biedne, biskupstwa niezamożne. Dziś, ile biskupstw, tyle królestw oddzielnych, zawistnie strzegących swej niepodległości. Centralizacyi finansowej, która by całą, wyznającą katolicyzm, Francję, ogarniała nie ma. Potrzeby kleru zróżniczkowały się silnie. Ksiądz, na bogatym probostwie, chce działać, walczyć, biedny księżyna chce żyć. Jeden za nieodzowny wydatek ma dla się spotęgowanie piękności kościoła, upokorzenie jego wrogów przez znamię siły, jeden zwiększone dochody ma dla się za prawo do zwiększenia wydatków, drugi, nie bez słuszności, twierdzi, że przewyżka jemu, pozbawionemu prebend, się należy.

Powtórę, snobizm, ofiarności sprzyjający, podaje ręce klerowi wielkoświatowemu. Bo i ten snobizm pragnie również, aby hojność jego miała nieśmiertelny wyraz, by, po wsze czasy, było wyryte złotem i głoskami, że ten i ten to i to, na chwałę Bożą, uczynił.

I oto, na ziemi, na której, dla braku funduszy na utrzymanie księdza, kościoły stoją pustkami, są do wynajęcia, — budują się nowe kościoły! W ciągu ostatnich pięciu lat Paryżowi przybyło, naprzykład, *dziewięć* nowych świątyń katolickich, gdy, niegdy, za czasów pomyślnych dla duchowieństwa, na pobudowanie tyluż gmachów, stolica Francji potrzebowała lat sześćdziesięciu.

Arcybiskupstwo paryżkie ma niechybną rację do chluby ze swej tak owocnej działalności, lecz niech nie pyta o nią tych wiejskich kościółków, na których widnieją napisy „*maison à louer*“.

Trzecią nareszcie przyczyną macoszego traktowania ubogich a odległych od stolic biskupich parafii jest walka z Rządem, walka, mająca dziś za główny teren szkoły początkowe republikańskie i ich, według duchowieństwa, antireligijny, przeciwkatolicki charakter. Walka ta chłonie dostojników kościoła i odwraca ich energię od wielu spraw pilniejszych, bliższych.

Nie należy wszakże mniemać, że przedmiot walki o szkołę początkową jest błahy.

Parlament francuzki przez prawa, wydane w r. 1901 (1 lipca), 1902 (2 grudnia) i 1904 (7 lipca) uchwalił, tak zwaną, „laicyzację“ oświaty publicznej,

t. j. zamknięcie szkół, utrzymywanych przez kongregacye nie usankcyonowane, pozbawił osoby, do kongregacyi należące, prawa nauczania w zakładach wychowawczych, nie uprawnionych do tego, nakoniec (r. 1904) ogłosił bezwzględne skasowanie i kongregacyi, zajmujących się oświatą i szkół do kongregacyi należących. Celem tych uchwał było położenie kresu kształceniu młodych pokoleń w kierunku wrogim Rzeczypospolitej.

Nie wchodząc w słusność pomówienia duchowieństwa francuzkiego o tak nieprzyjazną działalność, wypada stwierdzić, że, bądź co bądź, uchwały parlamentu ugodziły w liczby, zdolne najbardziej katolickiego męża stanu przerazić. Liczby te bowiem, same przez się, poruszały zasadniczą kwestyę, czy państwo winno mieć przywilej nauczania początkowego, czy ma prawo cierpieć, aby przeszło 33% dzieci pobierało naukę poza wpływem i kontrolą Rzeczypospolitej.

Dokumenty, w tej mierze, nie pozostawiały żadnej wątpliwości.

W roku szkolnym 1880—1881 \*), było we Francyi szkółek publicznych rządowych lub prywatnych cywilnych: macierzystych \*\*) 1259 z 173,718 dziećmi płci obojga; początkowych \*\*\*) 54,628 z 3.276,982 dziećmi płci obojga.

\*) *Renseignements annuels fournis par le Ministère de l'instruction public.*

\*\*) *Ecoles maternelles, ochronki, przyjmujące dziecię w wieku od 3—6 lat.*

\*\*\*) *Ecoles primaire — jednoklasowe.*

W tymże roku 1880—1881 Kongregacye posiadały we Francyi szkółek:

macierzystych 5,611 z 447,459 dziećmi płci obojga,  
początkowych 19,813 z 1.772,381 „ „ „

Innemi słowy, w roku szkolnym 1880—1881, rząd dysponował dla nauczania początkowego 55,887 szkółkami, — Kongregacye 25,424; rząd wpływał na umysły 3.350,700 dzieci, — Kongregacye zaś na 2.219,840.

Po latach dwudziestu usilnych zabiegów ze strony rządu, aby, przez otwieranie nowych szkółek, zmniejszyć wpływ kongregacyjnego nauczania, w roku szkolnym 1900—1901, a więc w przededniu pierwszego wystąpienia parlamentu przeciwko Kongregacyom — było we Francyi szkółek publicznych rządowych lub prywatnych cywilnych:

macierzystych 2,306 z 406,967 dzieci  
początkowych 66,398 z 3,984,419 „

W tymże roku 1900—1901 Kongregacye posiadały we Francyi szkółek:

macierzystych 3,693 z 347,280 dzieci  
początkowych 18,578 z 1.542,381 „

Czyli, po dwudziestu latach walki szkołyki cywilnej z kongregacyjną, ta ostatnia jeszcze urabiała 1.889,661 dziatwy drobnej.

A przecież liczby te nie obejmowały średnich i wyższych naukowych i wychowawczych zakładów, prowadzonych bezpośrednio lub pośrednio

przez duchowieństwo świeckie, zakony i związki religijne.

Cios, zadany przez uchwały parlamentu, był więc niezmiernie doniosłym dla rozwoju szkół państwowo-republikańskich, a niezmiernie dotkliwym dla pomienionych wyżej oświatowych organizacyi. Setki uczelni kongregacyjnych zniknęły bezpowrotnie, dziesiątki szkółek, pensyonatów, internatów, kolegiów różnego typu uległo zamknięciu. Cios ten atoli, nie mogąc być śmiertelnym, walkę zaostrzył i, ocalałe z pogromu, placówki zamienił w ogniska już wręcz złowrogie dla obecnego ustroju państwowego.

A placówek tych ocalałych jest ilość znaczna i nie tylko dlatego, że rząd podotąd nie zdołał dokonać rugowania zakonów, lecz że, porażeni prawem, zawczasu, gdzie jeno była możliwość, przygotowali się do obrony. Tysiące nauczycieli i nauczycielek zmieniło habity na suknie cywilne. Setki szkół, szkółek, internatów kongregacyjnych ukryło się za plecami słomianych firm.

Na przestrzeni czasu od 1901 do 1905 roku, a więc w ciągu czterech lat, przybyło Rzeczypospolitej aż 35,000! nauczycieli i nauczycielek cywilnych! wyrosło niby z pod ziemi, dzię więc tysięcy szkół początkowych prywatnych!! Obocznie wszystkie niemal wyższe a możniejsze uczelnie, administrowane przez duchowieństwo, wyszły obronną ręką. Zmienił się niekiedy zarząd, gmach, tytuł prawny — lecz uczelnia została i została w warunkach, że głośno i otwarcie się mówi, iż jest, jak przedtem, kongregacyjną instytucją. Cała różnica,



że gdy dawniej młodzież kolegum św. Stanisława, na przykład, skłaniała się ku monarchicznemu prądowi, — dziś hałaśliwie i bezwzględnie dzieli się jedynie na orleanistów i bonapartystów...

Rząd w tym kierunku jest bezsilnym. Zresztą idzie mu głównie o nauczanie początkowe, o wychowanie republikańskie mas ludu i tu zbroi się w nowe prawa, tu walczy.

Przed rokiem, duchowieństwo, słusznie czy niesłusznie, neutralność państwowych szkół dla religii i wykreślenie z programów szkolnych wszystkiego, co ma związek z kultem wiary — ogłosiło za krzewienie bezwyznaniowości i jęło skłaniać rodziców, opiekunów, dzieci do oporu, do bojkotu podręczników szkolnych, jako bezbożnych, godzących w katolicyzm.

Żywa agitacja duchowieństwa spowodowała burzę, która wnet zwróciła się przeciwko szkołkom początkowym, jako gorszycielkom maluczkich.

Dzieci, tu i owdzie, zabrały się do niszczenia potępionych książek, do wymazywania z nich całych ustępów, do wypowiadania posłuszeństwa nauczycielom; tu i owdzie rodzice organizowali wiece, protesty, zakazywali dzieciom uczęszczania do szkółek i, zbrojni w powagę stolic biskupich i akcyę partyi antirepublikańskich, domagali się usunięcia podręczników, obrażających wiarę katolicką i odebrania szkole charakteru bezwyznaniowego.

Burza dosięgnęła parlamentu, zaprzęgå do pracy odnośną komisję i spowodowała bardzo ciekawy



raport \*). Raport, nie pozostawiający żadnej wątpliwości, że ciało prawodawcze Francyi uchwali jego wniosek o karach za podburzanie do uchylania się od obowiązującej szkółki początkowej i zwalczanie tejże szkółki pod jakimbądź pozorem.

Raport bowiem rzeczony najeżony jest potężnymi argumentami. Więc, przypomina, że wybór podręczników nie jest przywilejem ministerstwa, fantazją rządzącej jednostki, lecz zawsze wynikiem narad całego nauczycielstwa, które, z roku na rok, na zebraniach obwodowych, poddaje książki szkolne krytycznemu rozbiorowi i decyzje swoje przedstawia do zatwierdzenia komisjom departamentalnym. — Dalej zaznacza, że, potępione dziś tak sromotnie, podręczniki są przedewszystkiem podręcznikami od wielu lat do szkółek wprowadzonymi, że nikomu, przez szereg lat, nawet duchowieństwu, nie przychodziło na myśl wątpić o bezbożności dobrej wierze takich autorów, jak Lavissee, Aulard lub Calvet. W ostatku, raport komisji parlamentarnej, rozpatrzywszy poszczególne wypadki protestów, historię, już nie niszczenia, ale palenia uroczystego książek, ataków na szkołę cywilną, wyrzekań mówców takich, jak Jacquier, na to, iż właśnie szkoła cywilna czyni, że deputowanym konserwatywnym ubywa głosów na wyborach, — w ostatku raport przytacza te ustępy,

---

*\*) Nr. 180. Chambre de Députés. Session 1910. Rapport fait, au nom de la Commission de l'enseignement sur le projet de loi portant modifications à l'article 14 de la loi du 28 mars 1882 sur l'enseignement primaire obligatoire, par M. Dessoye.*

które ten lub ów podręcznik skazały na potępienie przez duchowieństwo. Godzi je się przytoczyć dla zrozumienia sporu o szkołę.

„*Manuel de morale*“ Bayeta zawiera zdanie: „Wolnością sumienia nazywa się prawo wyznawania takiej religii, jaką się chce wyznawać, lub niewyznawania żadnej. Wolność sumienia jest prawem absolutnem“.

„*Historya Francyi*“ Calveta jest atakowaną za tego rodzaju poglądy:

„Ludwik XIV, dla ambicyi, prowadził liczne wojny“.

„Zawarcie pokoju w Campo-Formio było dla Francyi wielkiem zdarzeniem. Rzeczpospolita bowiem, w ciągu lat czterech, osiągnęła rezultaty, o które nasi królowie daremnie całe wieki zabiegali“.

Wieki średnie Calvet nazwał „epoką nędzy i ciemnoty“ — i powiedział dalej:

„Wówczas nastąpił wspaniały rozwój sztuk i piśmiennictwa, nastały czasy Odrodzenia. Stare wierzenia znikwały, duch swobody badań odzyskał swe prawa a rewolucya religijna, Reformacya, oderwała połowę kościoła od katolicyzmu“.

„Ludwik XV przyczynił Francyi swym niestatkami 4 miljardy długów“.

Tych ustępów chyba starczy na dowód, że jeno dziwić się trzeba, iż kurja Rzymska a za nią duchowieństwo francuzkie, tak późno wystąpiło z protestem przeciwko książkom, szerzącym tego rodzaju światopoglądy. Godzą one wszak w uprzywiljowane stanowisko katolicyzmu we Francyi, stawiają go mię-

dzy religie wogóle, nasuwają myśli o ich równoznacznej wartości, druzgoczą zawczasu rojalistowskie ideały, sieją sarkazm dla Ludwików i Napoleonów, republikanizmem zatruwają na wieki młode serca.

Lecz rząd nie mniej w tym razie będzie konsekwentnym, nie mniej o swoją znów rację wytrwałym. Podręczniki szkolne zwyciężą — ale walka długo jeszcze, długo toczyć się będzie, pomimo, że arcybiskupi nicejski i albijski \*), wbrew pogładowi większości duchowieństwa, śmiało i otwarcie oddali sprawiedliwość bezpartyjności autorów książek szkolnych francuzkich.

I walka nietylko o szkoły początkowe, ale wogóle o pogwałcone prawa katolicyzmu, o przywileje katolicyzmu trwa. Kler bowiem nie złożył broni, nie poddał się i nie podda rychło.

Wszak sprawa kongregacyi, likwidacya sama jeszcze lat, lat całych potrzebuje!!... Bo w tej niegodziwej Francyi, w tym kraju, który, według umiejętnie wywołanego w Europie... wrzasku, przepędził, wyzuł ze wszystkiego klasztory... w tym kraju po dziś dzień zakony liczą się na setki!...

Tak, w roku 1911, Francya liczy dokładnie:\*\*) )

\*) Nr. 370. *Chambre des Députés. Session 1910. Budget Général de l'exercice 1910. Instruction publique. par M. T. Steeg, député. Paris 1910. strona 117.*

\*\*) Nr. 365. *Chambre des Députés. Rapport fait au nom de la Commission du Budget. Ministère de l'intérieur et des cultes. 2 Section: Cultes, par M. Guist'hau, député. Paris 1910.*

Kongregacyi, uprawnionych do istnienia w roku 1901 . . . . .	526
Kongregacyi samowolnych, podlegających kasacyi . . . . .	137
Kongregacyi, uchylających się z pod prawa, lecz których charakter reli- gijny sądownie nie mógł być dowie- dzionym . . . . .	33
Razem Kongregacyi . . . . .	<u>696</u>

Kongregacye, pomienione wyżej, dziś, w roku 1911, posiadają szkół, zakładów wychowawczych, naukowych, ochronek, lecznic i t. p. instytucyi:

Instytucyi uprawnionych, należących do uprawnionych Kongregacyi . . . . .	1975
Instytucyi nieusankcyonowanych, lecz na- leżących do uprawnionych Kongre- gacyi . . . . .	2876
Instytucyj, należących do Kongregacyj, którym nie udowodniono sądownie charakteru religijnego . . . . .	35
Instytucyj, należących do Kongregacyj sa- mowolnych . . . . .	449
Instytucyj, należących do Kongregacyj, których żądania o zatwierdzenie Izba deputowanych odrzuciła i które idą do likwidacyi . . . . .	<u>2473</u>
Razem instytucyi Kongregacyjnych . . . . .	<u>7808</u>

Pozatem ciało prawodawcze Francyi ma przed

sobą do stanowienia o 3000 (trzech tysiącach) z górą instytucji kongregacyjnych, których zamknięcie nie zostało podotąd uchwalonem a które złożyły odnośne podania o zatwierdzenie ich.

Czyli że, po pięciu latach działania statutu bani-cyjnego, Francya może ciągle imponować klasztorami i zakonniemi instytucjami! Czyli, że, gdy w czambuł dalej kasować i zamykać będzie kongregacye, gdy już ani jednego więcej zezwolenia nie udzieli, to jeszcze pozostanie jej 526 kongregacyi uprawnionych z 1975 zakładami!

Tych liczb winny na pamięć nauczyć się ludy, które, od dziesiątków lat, załatwiwszy się z kongregacyami i ich wpływem, biadają nad gwałtownością republikańskiego rządu.

Liczyby te nadto winny pouczyć i tych, co już tyle papieru zalali ironicznemi uwagami o likwidacyi majątków duchownych, o zawiedzionych nadziejach Rzeczpospolitej, i konfiskacie, która, jako *male parta*, szczęścia nie może przynieść zaborcy.

Tymczasem ubogi dotąd plon likwidacyi wynika, nie z nadużyć, popełnionych przez Duezów, lecz nadewszystko z tego, że likwidacya ma ciągle jeszcze miliony do likwidowania. A następnie i w ogólnym rezultacie dlatego nie przyniesie emeryturze robotników, czy innym celom społecznym, spodziewanych gór złota, że uchwała parlamentu nie jest piorunem despoty. Waży się latami, urabia, dyskutuje i daje czas na ratowanie zagrożonego prawem dobytku. Zakony francuzkie czuwały i nie liczyły

na ogień z nieba. Co było tylko do spieniężenia, spieniężyły. Co było do ukrycia, obdłużenia, ukryły i obdłużyły. Francuzki kredyt ziemski (Crédit Foncier), w przededniu banicyi zakonów i likwidacyi majątków duchownych, udzielił na te majątki zgórą 20 milionów pożyczek, — odmówić ich nie miał prawa. Rządowi francuzkiemu dostaje się więc jeno to, czego tknąć było niepodobieństwem. Nagie mury, zamazane hypoteki i procesy z potomkami legatarjuszów. Tam bowiem, gdzie jeno żyje jeden potomek zapisodawcy klasztoru, Kościoła, kongregacyjnej instytucyi, tam rząd, w myśl prawa o rozdziale Kościoła z państwem, obowiązany jest do zwrotu legatu prawnemu spadkobiercy.\*) W ten sposób miliony funduszów mszalnych, darowizn, fundacyi powróciło drogą pośrednią do duchowieństwa. Wypadków zaś, aby, dla braku spadkobierców prawnych, zapisy przechodziły na rzecz państwa, jest procent nieznaczny, bo nie sięgają one poza wiek XIX, poza konkordat z Napoleonem, konkordat, który wypłatę pensyi duchowieństwu miał za ekwiwalent, odebranych zakonom i kościołom majątków przez pierwszą rewolucję.

Stąd, gdy, na przykład, około 1845, gromadka Polaków ustanowiła fundusz, aby w kościele w Montmorency, w rocznicę śmierci Niemcewicza, było odprawiane nabożeństwo żałobne za zmarłych na emigracyi rodaków, fundusz ten, jako złożony na imię posiadające spadkobierców, został wyłączony

---

\*) Prawo z dnia 9 grudnia 1905 roku artykuł 9.



z likwidacyi i nabożeństwo, po dawnemu, się odprawia.

Wynik przeto likwidacyi, przy tak sumiennem traktowaniu prawnej zasady, musi w rezultacie dać znacznie mniejszą sumę od sumy rzeczywistego majątku danego klasztoru lub kościoła. Wynik ten umniejszają nadto procesy, których likwidacya ma na dziesiątki lat — i wynik ten redukuje i ten pewnik, że Rzeczpospolita nie tknęła skarbów, zawartych w przedmiotach i aparatach kultu. „Bez-wyznaniowa“ Francya uszanowała to, czego, po trzecim rozbiorze Polski, ani myślała uszanować katolicka Austria.

A za tem duchowieństwo świeckie wogóle i zakony obronną wychodzą ręką z konfiskaty. Pierwsze straciło część funduszków, drugie straciły część rezydencji. Pierwsze pozyskało nowe środki, miast przepadłych, drugie, o ile zostały skasowane, miały zadość na nową instalację. Dramatyczna skądinąd chwila wypędzenia Kartuzów ze wspianego opactwa i, prowadzonej przez nich, fabryki likierów, była chwilą wyprowadzenia się i wyjazdu tychże Kartuzów do zawczasu przygotowanej siedziby w Tarragonie hiszpańskiej, gdzie na przedsiębiorczych mnichów czekały jeszcze potężniejsze, bardziej odpowiadające zdobyczom techniki, urządzenia dystylacyjne.

A społeczeństwo francuzkie? Społeczeństwo francuzkie było i jest chrześcijańskie i po dawnemu przywiązane do tradycyi i obrzędów kościelnych. Rozdział Kościoła z państwem nie uczynił żadnego



wyłomu w szeregach ludzi wierzących. Zastępy bezwyznaniowców powiększa, jak przedtem, ewolucya pojęć, ewolucya niezależna od uchwał ciała prawodawczego, ewolucya, której ani kresu, ani siły oznaczyć nie podobna, tak dobrze we Francyi, jak i w Anglii lub Włoszech.

Katolicyzm stracił przywileje państwowe, poddany został, na równi zupełnej z innemi wyznaniem, bezwzględnej zasadzie wolności sumienia, zasadzie, wykluczającej mieszanie się władzy do religii jednostki obywatelskiej i mieszanie duchowieństwa do spraw, stojących po za ścisłemi granicami kultu religijnego. Lecz katolicyzm i nadal pozostał religją dominującą, religją Francyi.

I dziś, jak przed laty dwudziestu, wiosna pozwala oglądać setki tysięcy dziatwy odświeżenie przybranej a dążącej do pierwszej komunii. I dziś, jak przed laty, pierwsza komunja dziecka jest uroczystością rodzinną, dniem obchodzonym solennie i tak solennie, jak o tem nie śniło się nigdy, najprawowierniejszemu z Włochów, najreligijniej wychowanemu z Polaków.

Ten sam Francuz, który trwał przy racyi republikańskiej, który sankcyonował nawet rozdział Kościoła z państwem, ten sam Francuz, rzadko decyduje się zapomnieć, iż nawet bożek, depczący na miazgę nietykalność Stolicy Apostolskiej i osoby Namiestnika Chrystusowego, nawet Napoleon rzekł, że najpiękniejszym dniem w jego życiu był dzień pierwszej komunii.

Lecz nie tylko komunja pierwsza skłania Francuzów do zachowania łączności z religią.

Akt ślubu cywilnego wystarcza najczęściej tam, gdzie przepisy kościelne udzielić swej pieczęci nie mogą. Po za tem, córka prezydenta Rzeczypospolitej, pana Fallières'a, staje u stóp ołtarza w kościele św. Magdaleny na równi z córką ultramontanina. I żadnemu przecież republikaninowi nie przychodzi na myśl, aby sądzić, że prezydent Rzeczypospolitej osobiste poglądy sumienia swego lub swej córki powinien mieszać do zatargów racji państwowych z Kościołem! I nikomu też nie przyjdzie na myśl dziwić się, że, w pogrzebie republikańskim ofiar statku podwodnego, brał udział kler. Bo i w „bezbożnej“ Francyi nikomu też nie przyjdzie do głowy dziwić się, że w okolicy gmachów kościelnych, zabawy ludowe, naprzykład, muszą ustawać i podczas rannych nabożeństw i podczas niesporów, bo tak chce prawo o poszanowaniu religii.

Dokumentem zgoła niezachwianym jest statystyka pogrzebów miasta Paryża a więc środowiska najwięcej, na obszarze Francyi, w bezbożności pogrążonego. \*)

A więc, w roku sprawozdawczym 1905, w roku najsilniejszego starcia religii z państwem, w roku okrzyków „precz z piuską“ (*à bas la calotte*), — było w Paryżu pogrzebów wogóle 49.879. W tem pogrzebów, którym towarzyszyły ceremonje obrzę-

---

\*) *Annuaire Statistique de la ville de Paris XXVI-e année. Paris 1907 str. 248. Relevé des services funebres exécutés pendant, l'année 1905.*

dowo-religijne katolickie było 35,452 a ceremonie religijne innych wyznań 1712 — ogółem, charakteru religijnego pogrzebów 37.164. Pogrzebów zaś pozbawionych zupełnie ceremonii religijnej, — 12.715!

Więc jednakże aż dwanaście tysięcy siedemset osób, w jednym roku 1905, pogrzebano, w jednym Paryżu, bez obrzędów religijnych?!

Byłaby to liczba niezawodnie wymowna, gdyby jej brakło objaśnień równie wymownych...

Cóż to są za jedni ci okrutni bezwyznaniowcy, którym na imię 12.715?!!

Najpierw między nimi jest 5341 nędzarzów, których nie było za co pochować a którym gmina miasta darmo sprawiła i trumnę i dół i wóz na cmentarz.

Następnie figuruje, między tymi bezbożnikami, aż 2173 biedactwa, które stać było tylko na najuboższy, pozbawiony wszelkiej pompy, pogrzeb.

A w ostatku 84 noworodków nieżywych i 1928 nieboszczyków, których ciała wywieziono dla pogrzebania poza granicami cmentarzy paryzkich a więc nieboszczyków, co do których nie ma wiadomości, czy z zachowaniem obrzędów religijnych, czy też bez zachowania ich, pochowanymi zostali.

A ponieważ sama logika poucza, że żadną z tych kategorii ludzi nie można pomówić o dobrowolną ochotę do pogrzebu cywilnego — przeto ogólna liczba niezaprzeczonych bezwyznaniowców wyniesie 3189. Ale bezwyznaniowców, którzy pogardzili nie samym księdzem katolickim, ale i pastorem i mułłą

i rabinem i Buddą i Allahem i Jehową. Czyni to razem niewielki, na konglomerat Paryża, procent siedem z ułamkiem cywilnych pogrzebów, procent bardzo nieznaczny, bacząc, iż, w stolicy świata, roi się od cudzoziemców, którzy chronią pod skrzydłami Rzeczypospolitej swe, dalekie od praw i wyobrażeń własnej ich ojczyzny, bezwyznaniowe poglądy.

Godzi się przypomnieć raz jeszcze, że rozdział Kościoła z państwem dotknął w tym samym stopniu, inne wyznania. Do synagog, świątyń anglikańskich, reformowanych również trafiły inwentarze, konfiskata i prawo o stowarzyszeniach. Różnica ta jedynie zaszła, iż wszystkie nie katolickie gminy wyznaniowe poddały się nowemu łaadowi, zrzeszyły na nowych podstawach, oswoiły z niemi i prosperują z nie mniejszą, niż przedtem, żywotnością.

Duchowieństwo katolickie atoli, idąc za wskazówkami Rzymu, walczy i niezawodnie długo jeszcze walczyć będzie.

Czy jednak zyska na tem wiara? Czy, coraz mocniej zaznaczające się, różnice poglądów między biskupami a nawet już między Watykanem i biskupami nie pójdą dalej? Czy i kiedy ustanie minowa walka z Rzeczypospolitą? Czy duch pojednania narodzi się? Czy Francya uczyniła krok naprzód, czy, za jej przykładem znów, inne państwa wezmą rozbrat z Kościołem, czy też może francuzki rozdział jest chwilowym, jest erą wolności sumienia, po której może nastąpić fala powrotna? Na te pytania odpowiedzi nie ma...

Wyrazem chwili jest odezwa w czterech językach,

przybita na drzwiach kościoła św. Magdaleny—odezwa, zaklinająca cudzoziemców do wspierania datkami katolickiej świątyni! — Odezwa, policzkująca hojność Francuzów,—odezwa, wołająca o składki na najbogatszy naród i jedną z najbogatszych na świecie parafii.



## KROLEWIĘTA RZECZYPOSPOLITEJ.

Żywioł rządzący. — Potęga kółek maszyny państwowej. — Niepocześni dygnitarze. — Koncepty snobizmu europejskiego. — Droga na szczyty. — Delcassé i jemu podobni. — Parlament. — Większość rządząca. — Opozycja i jej nastroj. — Duch parlamentu, jego czujność. — Rangi i szewrony. — Uposażenie dostojników. — Prezydent, ministrowie, senatorowie i deputowani. — Udręka posłów. — Kamera doświadczalna. — Królewietta Rzeczypospolitej. — Clemenceau. — Nieznana gdzieindziej zaleta. Cześć dla Cincinatów.





Francją od wielu, bardzo wielu lat rządzi drob-  
nomieszczański żywioł. Z tą jedynie na dzisiaj róż-  
nicą, że, gdy dawniej żywioł ten wspinał się po  
drabinie hjerarchii państwowych, stroił się w herby,  
tytuły, zdobywał przywileje kastowe, mnożył za-  
stępy arystokracji, zacierał ślady swego niezna-  
nego pochodzenia, dziś otwarcie się doń przyznaje,  
dziś trwa w szeregu republikańskiej równości.

Niegdy, syn ubogiego młynarza, Lefebvre, dzia-  
wie swej, którą miał z żony praczki, zostawiał, krom  
wojskowych zasług, mitrę księżęcą — dziś najzna-  
komitszy generał Lefebvre ma dla synów jeno za-  
sługi, jeno kruchą ich tradycję, bo wydaną na  
zniknięcie w mrowiu pospolitych Lefebvrów.

Z tej republikańskiej zasady płynie mniemanie,  
zakorzenione wśród wszechuropejskiego snobizmu,  
jakoby nawał Rzeczpospolitej sterowali jacyś zaka-  
zani ludzie, jacyś sekciarze masońscy, jacyś parwen-  
jusze, o których słychu by nie było, gdyby na Pa-  
łacu Elizejskim powiewały lilje burbońskie, gdyby  
orzeł Bonapartów zdobił trójkolorowy sztandar.

Tymczasem, tymczasem gdyby „lilie“ wróciły,  
to istotna zmiana polegała by na tem, że demo-  
kratyczni politycy i działacze francuzcy, że dzisiejsi  
skromni panowie o przeciętnych nazwiskach wy-

rośliby na markizów, baronów, diuków. Domniemany Ludwik XIX mógłby, splendorowi gwoli, mianować któregoś z potomków Bayarda, czy tylko praprawnuka nałożnicy królewskiej, wielkim strażnikiem swej najuroczystszej pętelki, mógłby obdarzyć go wyłącznym, w całym państwie, przywilejem noszenia zielonej czapki z żółtą kitką — ale ten sam Ludwik XIX rządy, władzę państwową musiałby oddać tym, którzy pracą, energią, talentami swemi ku niej się dźwignęli.

Historia francuzka ubiegłego stulecia najzupełniej tę prawdę stwierdza. Dyrektoryat, dwa Konsulaty, dwa Cesarstwa, trzy Królestwa, dwie Rzeczypospolite i dwie Rewolucye Francya dlatego tak bezkarnie zniosła, iż za fundament, za podłoże miała ciągle ten sam zdrowy, spokojny, twórczy element drobnomieszczański.

Jedenaście przewrotów, jedenaście huraganów, brzemiennych wszystkiem tem, co pogrąża państwa, co je chłonie, przywodzi do upadku, nie zmogło Francyi.

W górze padały gromy, ginęły czy zmieniały się hasła, systemy, jednostki — ale rdzeń narodu trwał, rdzeń narodu nigdy się nie cofał, zawsze szedł na przód pod sztandarem wytrwałej, cichej pracy.

Zamach stanu miażdżył gromadkę nieprzyjaciół nowego prądu, lecz nie tykał, bo nie mógł tknąć, kółek i kółeczek maszyny państwowej.

Kółka te bowiem stały zawsze po za tą lub inną formą rządu. Kółka te bowiem posiadały zdolność pozornego ulegania, poddawania się, niby jodły,

które każdemu wichrowi giąć się dadzą, ale które nie ku południowi, nie ku północy, jeno zawsze ku niebu swe młode kierują latorośle.

Gdy Ludwik XVIII, odnawiając stolicę Burbonów, ścierał nalot cesarstwa, gdy niby powracał świetność królewskiemu majestatowi, gdy wskrzeszał tradycję — w rzeczywistości przeinaczał tylko chorągiewki, wstążeczki, cyfry i kokardki i przy pomocy i tych, którzy nosili przedtem godła Konwentu lub Konsulatu, i tych, których wychowywała wielka rewolucya a rząd Wielkiego Korsykanina kształcił.

Przy wjeździe do lasu, zmienił się napis, zmieniła tyczka, liberya leśnika ale las rość nie przestał.

I trzecia Rzeczpospolita, przystępując do zaprowadzenia nowego ładu, nie miała innych urzędników, działaczy jeno tych samych, co Napoleon III. I ona nie mogła zerwać z tradycją specjalizacyi ministeryalnych radców i ona nie była w stanie pogardzić rutyną i doświadczeniem tych, co stali u rządowego warsztatu cesarza Francuzów.

W tym kierunku i Trzecia Rzeczpospolita musiała pójść za rdzeniem narodu i rozpocząć swe panowanie od niezupełnie demokratycznych rządów. Dość tu wymienić, że ministrami Rzeczpospolitej byli Diuk de Broglie, diuk Decazes, baron de Larcy, markiz de Montaignac, wice-hrabia du Cumont, markiz de Banneville, baron Roussin, wice-hrabia de Meaux, — nie bacząc arystokratów mniejszego auctoramentu.

Dopiero czas a z nim, od lat czterdziestu trwające, nie udzielanie tytułów, nie zasilanie arysto-

kracyi stanem średnim, wreszcie wymieranie tej ostatniej i jęczenie — rozstrzygnęło powoli o demokratyzowaniu dostojników władzy państwowej.

Gdzieindziej, w ciągu tych lat czterdziestu Trzeciej Rzeczypospolitej, junkier pruski stroił się w mitrę Lauenburga, gdzieindziej, szlachetka polski a pruski neofita zdobywał sobie tytuł księcia Radolina, — gdzieindziej syn berlińskiego portmonetkarza, Schön, został już i szlachcicem i baronem — gdzieindziej legiony arystokracji były wzmacniane, odżywiane infuzją chamskiej krwi, gdzieindziej narosły plejady rozmaitych koron, we Francyi ubyło dawnych — we Francyi przybyło drobno-mieszczańskich, niepoczesnych imion na świeczniku władzy.

W teorii, być potomkiem Łazarza Hoche'a znaczy, jeżeli nie więcej, to równie wiele co Lannes'a. W praktyce atoli potomek Hoche'a jest jednym z tysiąca Hoche'ów, z których każdy rad się do pokrewieństwa ze znakomitym generałem przyznawać, — a potomek Lannessa jest odrazu księciem Montebello, któremu nikt nie ważyłby się wspomnieć, że wywodzi się nietylko od marszałka Francyi ale i od masztalerza i stajennego chłopca!

Nie dość na tem.

Gdzieindziej, minister, kanclerz, mąż stanu idzie w stan spoczynku obdarowany zaszczytami, latyfundjami, honorami, — usuwa się, lecz błyszczeć, lśnić i pożywać nie przestaje. Jest ekscellencyą, ochmistrzem dworu, ma emeryturę, żyje dalej życiem tem samem. We Francyi? We Francyi kołacze się tylko jakiś pan Loubet, jakiś pan Doumer, ex-pre-

zydent Rzeczypospolitej, ex-gubernator, a z nimi gromada cała ex-premjerów, ex-ministrów, ex-dostojników, którzy z pałaców, ze wspaniałych rezydencji rządowych, przenieśli się do dawnych swoich trzech lub sześciu pokoi „z wygodami“, którzy powrócili tam, skąd wyszli, którzy nawet zdobytym mająteczkiem nie są w możności ocalić splendoru wczorajszego...

I stąd, dla milionów cudzoziemców, jeno okazya do lichych conceptów i dykteryjek o tem, jak żona wczorajszego adwokata budzi się w sypialni Maryi-Ludwiki, jak ludzie, w izdebkach zrodzeni, w królewskich rozpierają się komnatach, jak mieszczuch dobroduszny nie zna się na sztuce tumanienia, olśniewania motłochu, jak mizernie się przedstawia jego zwykły tużurek, na tle, kapiących od złota i srebra, uniformów!

Przed laty, kiedy to jeszcze prezydentem Rzeczypospolitej był Thiers, minister Ludwika-Filipa, kiedy marszałek Mac-Mahon symulował całego monarchę, Carnot królika a Feliks Faure przemysłował nad ustrojeniem się w jakiś niezmiernie wspaniały mundur, — głowa Francyi wdrażał snobizmowi europejskiemu niezmierne uszanowanie. I nie dlatego, że Feliks Faure był człowiekiem zdolnym i uczciwym przemysłowcem — lecz że był pysznym, że zasłużył na przezwisko *dindoneau*, że lista cywilna nie wystarczała mu na pompę prezydentury, że na całego kacyka kroił.

Odkąd atoli Loubet a za nim Fallières stanęli na gruncie ścisłego przestrzegania konstytucyi, odkąd

prezydenci zerwali ze śmiesznością pychy Faure'ów, wygłaszania co kroku „*bon mot*“ na modłę historycznych banialuk Mac-Mahona, odtąd rechot Europy nie ustaje.

Żywioł drobnomieszczański rządzi Francją. Czy dlatego, że tworzy zwartą kastę, że solidarnie działa, że łączy się w związki, stowarzyszenia, tworzy ligi?

Nie. — Droga, która małomieszczaństwo francuzkie wiedzie na szczyty, która urabia je na mrowie rządzące jest, od lat, zawsze taż sama, od lat nie inna. Miano tej drogi praca, praca natężona, nieustanna praca a za nią, hen, dopiero wyjątkowe przymioty, nadzwyczajne talenty. Tu i owdzie pomyslna gwiazda dobywa swego wybrańca, tu i owdzie przysłowiowy łót szczęścia przeważa funt rozumu, lecz bardzo rzadko i nie na długo. Twarda szkoła życia, ciasne mieszkanka, dzieciństwo, które maszyna do szycia matki do snu kołysała, które poiło się widokiem spracowanych rąk ojca zwycięża — bierze górę nad faworytem losu.

Jakiś przepospolity „bumbel“ zwozi do Paryża ładunek pstrego pogłowia ludzkiego z czwartorzędnych stacyjek kolejowych a w tym ładunku małego, szpetnej urody adwokacine, małomiasteczkowego kauzyperdkę, — typowego, jak mówi Anatol France, „*radicaillon*“. Adwokacina ma w całym majątku tobolek mizernego odzienia, kilkadziesiąt franków i dwa zwoje madrygałów do druku, na które ostatni z reporterów nie raczyłby rzucić okiem. I adwokacina razem z falą szarego tłumu wychynął z dworca



i zapadł się w mroki conajciaśniejszych uliczek, niepostrzeżony, niezauważony...

Po latach kilkunastu, ten sam nikły, wątły człowieczek gra na instrumencie międzynarodowej dyplomacyi, jakby się urodził synem Metternicha, ten sam kauzyperdka dobywa Francję z politycznego odosobnienia, szachuje państwo Niemieckie — ten sam palestrant zaściankowy jest już ministrem, deputowanym i znakomitym panem Delcassé.

Z małymi wyjątkami, lecz nie inaczej, się poczynali i wybijali Briand, Clemenceau, Bourgois, Loubet, Dubost, Steeg, Brisson i trzystu innych luminarzów władzy. Legendy żywotów sławnych ludzi stały się we Francyi prawem.

Ubogi profesor filozofii w liceum dwunastotysięcznego miasteczka Lons-le-Saunier, „stolicy“ zapadłego departamentu Jura, — Charles Dumont, roi o Paryżu, o wielkim terenie pracy społecznej, o szrankach potężnych, o wypłynięciu na szerokie wody działalności publicznej. Nadchodzą wybory do Izby. Dumont stawia swą kandydaturę. Przeciwnik jego ma środki, ma rozległe wpływy. Dumont ledwie garstkę przyjaciół ale i energię niepożyłą. Chwyta za laskę pielgrzymią i idzie sam, piechotą, od izby do izby, od proga do proga, jednać stronników. Ta syzyfowa pielgrzymka daje mu zwycięstwo. W roku 1898, wchodzi do upragnionej Izby. Tu jednak przez lata słyhu nie ma o Dumontcie. Młody poseł ślęczy nad papierami, terminuje dopiero. Aż w komisjach zaczyna się coraz śmielej odzywać, gruntowna informacja coraz częściej zwraca

uwagę na Dumonta. Profesor filozofii zdobywa powagę — ogarnął rolnictwo, ekonomię polityczną, jest niezmordowanym referentem. Dosięga tak stanowiska generalnego sprawozdawcy budżetu.

Izbie ani się śni przesilenie ministeryalne, nikomu ani w głowie upadek Brianda czy Clemenceau, nikt przewidzieć nie umie, jak ukształtuje się najbliższa większość rządząca a przecież lada woźny Pałacu Burbonów wie o tem, że Dumont zostanie ministrem. Dlaczego? — Dlatego, że Dumont jest tym właśnie posłem, który, od rana do wieczora, trwa na stanowisku i nie w fotelu deputowanego, lecz w biurze parlamentu nad stosami projektów, raportów i dokumentów, — jest tym, który jawi się w sali obrad jeno w decydującej chwili.

Do Francyi współczesnej można z całą bezwzględnością i w dodatkiem rozumieniu stosować rację, że naród ma taki rząd, jaki chce mieć i na jaki zasługuje.

Większość parlamentarna Trzeciej Rzeczypospolitej jest istotną a nie sztuczną przedstawicielką większości ludu. Fakt, że w wyborach bierze udział zaledwie trzydzieści kilka procent, uprawnionych do głosowania, wyborców, nie osłabia pomienionego twierdzenia, jeno dowodzi, że potężna część obywateli Rzeczypospolitej zachowuje się biernie, zgadza się z góry na wynik elekcji.

Przyczyny tej bierności, tego przyzwalania na rezultat wyborów łączą się i ze specjalizacją pracy i z indywidualizmem i z niechęcią do kwestyi, których przeciętny Francuz nie ma czasu i możliwości

z głębić. Doświadczenie, urobione tylokrotnymi rewolucjami, restauracjami, oddawna zaprawiło Francuza do powściągliwości i rozwagi. Polityka elektryzuje go, zapala, porywa ale tylko polityka zewnętrzna, polityka w wielkim stylu, ta polityka, co do której nie ma różnic, na którą zawsze godzi się 99999 procent całej Rzeczypospolitej.

Dla wewnętrznej atoli polityki większość Francuzów ma przyzwolenie, koncept, satyrę, westchnienie nad lichotą rządu, próżniactwem Izb i niedołęztwem administracji. Ale, w głębi ducha, ma spokój, wiarę i zaufanie do królewiat swoich.

Większość panuje, większość włada.

Prawda, dzięki usuwaniu się obywateli od urn wyborczych, na fotelach poselskich rozpierają się i wywrotowcy i krańcowcy — lecz cóż to szkodzi? — Obecność ich w parlamencie jest pożyteczną, utrzymuje jego czujność, podnieca sprężystość. A gdyby, gdyby stąd miał zawisnąć nad rozwojem społecznym grom zniszczenia — to do urn rzuciłyby się legiony na obronę ładu obecnego.

Parlament francuzki dzieli się tylko na trzy zasadnicze grupy. Na podstawową, republikańską, złożoną z rozlicznych gromadek, tak zwanych, socjal-radykałów i dwie skrajne frakcje: socjal-rewulucjonistów i nacyonalistów. Wszystkie inne różniczkowania się partyj, odcienia, są w istocie błahymi separatyzmami, wynikającymi na tle walk o mandaty do Izb.

Tak zwani socjal-radykali stanowią większość i, łącznie z pobratymczymi gromadkami, tworzą cen-

trum parlamentu. Centrum różne zasadniczo od przyjętego w słownictwie konstytucyjnym wyobrażenia, ileże stanowiące nie równowagę między opozycją lewicy i lojalnością, czy konserwatyzmem, prawicy, lecz rdzeń ciała parlamentarnego, którego oba krańce dążą do rewolucyi i, choć pod różnemi hasłami, z jednaka zaciętością zwalczają obecny ustrój państwowy Francyi.

Program centrum streszcza się w dążeniu do pokojowych reform społecznych i ekonomicznych i w zapewnieniu republikańskiej formie rządu trwałych podstaw. Program ten oczywiście, według poszczególnych frakcyj, przybiera mniej lub więcej wyraziste kształty, jako całość atoli jest wyrazem pełnego centrum Izby.

Duch centrum jest zawsze umiarkowany, unikający zgrzytów gwałtownych, konsekwentnie stopniujący reformy. Nie sekciarstwo, nie doktryna nim powoduje, lecz życie, jego prawa i jego społeczny rozwój.

Kojarzenie się, ustosunkowanie grup centrowych wyrokuje o podziale tek ministeryalnych, wysuwa na czoło republikańców tego lub innego autoramentu i trwa od szeregu lat u steru państwa.

Lewicę parlamentu francuzkiego tworzą „Socjaliści Zjednoczeni“ a właściwie socjal-rewolucyoniści, zapierający się, w gorętszych swych odłamach, o anarchizm.

Lewica jest główną przedstawicielką Związku generalnego pracy, wykwittem zrewolucjonowanych gromad robotniczych, dążących do ziszczenia ko-

munistycznych ideałów; a nadto usiłuje być rzeczniczką braterstwa ludów, zniesienia militarizmu, federacyi wolnych stanów Europy a dalej całego świata.

Opozycja lewicy jest wytrwałą, — lecz często daje się przejednać, skłonić dla zamierzeń frakcyj centrowych. — Zgoła odmienną jest opozycja prawicy.

Na prawicy zasiadają „nacyonaliści“ — gromadka posłów, która, dzięki swej fałszywej nazwie, ma szczególny mir w opinii polskiego społeczeństwa. „Nacyonalistów“ bowiem opinia pomieniona uważa za przedstawicieli narodowych programów. Tymczasem, pod mianem „nacyonalistów“, kryją się we Francyi tylko zwolennicy reakcyi monarchistycznej, tylko rojaliści i bonapartyści, toczący beznadziejną chwilowo, lecz nieubłaganą ciągle, walkę z Rzeczpospolitą.

Stąd prawica z zasady wspiera w izbie wszystko, co działa na osłabienie rządu, na zachwianie gabinetu, na podkopanie sojuszków centrowych. Jakoż nie tylko jest niezawodną stronnicką wszelkiego niezadowolenia w parlamencie, nie tylko wotuje z anarchistami, z wywrotowcami — ale zawiera z nimi kompromisy przy wyborach.

Nacyonaliści francuzcy są straszniejszymi wrogami dzisiejszego ustroju państwowego Francyi niż socyal-rewolucyoniści. Pierwsi bowiem biją na alarm, zagrożonych niby, hasła narodowych, pierwsi udają obrońców armii, duchowieństwa, Kościoła, wiary, tradycyi, pierwsi grają na najczulszych strunach ludu

francuzkiego — drudzy błędzą na promiennych bezdrożach apostołów społecznych, drudzy grzęzną w trzęsawisku postulatów, może pięknych czasami, bajecznie wszechludzkich — ale nieziszczalnych w najbliższym okresie czasu. Pierwsi radziby Francję pchnąć w odmet domowych niesnasek, chcieliby wciągnąć ją do wojny, aby, bodaj za sprawą nowożytnego Bismarka, powrócić Francję dynastyi, pierwsi każdą klęskę Rzeczypospolitej mają sobie za atut — drudzy przynajmniej doceniają, że upadek Rzeczypospolitej może stać się grobem myśli komunistycznej.

Rozum obywatelski Francyi zna się na tych dwóch biegunowo przeciwnych krańcach i miarkuje je dzielnie.

Nacyonaliści, pomimo całej potęgi środków, które im zapewnia możnowładztwo, fortuny pretendentów, sprzyjanie duchowieństwa, powolność armii — tracą mandaty, topnieją. Socyal-rewolucyoniści zaś co dnia większą zdobywają niechęć społeczeństwa.

Ogół wybrańców narodu, zasiadających na ławach parlamentu, składa się z ludzi rozumnych, ożywionych zacnym duchem. Karyerowiczowstwo wciśka się, grasuje i tutaj i tutaj bywają jednostki lekkiego żywota, złej czy nikczemnej woli — ale niezawodnie w mniejszym, niż gdzieindziej, stosunku. Parlament francuzki, jak niegdy, odznacza się wielką sprawiedliwością w ferowanych wyrokach, wielką godnością, szlachetnością.

A pamiętać należy że słowa „jak niegdy“ są potężnym argumentem.



Polityka Francji republikańskiej musiała však poddać się nieubłaganemu gniotowi, musiała zasklepić się w sobie, wyrzec wielu, wielu bardzo zapałów dawnych. Rzeczpospolita dźwignęła się na pobojuwisku, na polu strasznego pogromu i dźwignęła się odosobniona w swym ustroju państwowym. Polityka Francji republikańskiej skazaną więc została na zerwanie z podniosłem zadaniem stawania w obronie słabych, pokrzywdzonych.

Republikański parlament nie miał za sobą zwyciężkich orłów, nie miał wiary w moc francuzkich zastępów, nie miał nimbu dla swej militarnej potęgi — a miał od zawiązku i ma po dziś dzień przed sobą mur niemieckich bagnetów. Lecz, pomimo to, nigdy nie zerwał z tradycją, po dziś dzień umie być sumieniem Europy i sumieniem czystem, nieobłudnem.

Minister, premier milczy wobec kwestyi, sięgających poza granice Francji, broni racyi nie mieszania się do wewnętrznych spraw danego mocarstwa, zakłada przez rząd, większość poddaje się obuchowi przejścia do porządku dziennego — ale, w toku procesu, izba huczy jednogłośnie, drży w posadach ale, i po oddaleniu wniosku, z nim czuje, z nim wierzy.

Parlament francuzki jest bardzo surowym w rozdawaniu zaszczytów, w wyborze swoich luminarzów. Uczciwość, cnotę, talent, wielbi nawet w przeciwnikach większości. Hrabia de Mun, najtęższy z nacjonalistów, cieszy się posłuchem i sympatją Izby na równi z księdzem Lemirem. Jaurès ma zawsze sku-



pione i pełne audytoryum, gotowe do grzmotu oklasków dla znakomitego mówcy.

Ale tenże sam parlament obocześnie i swoim własnym filarom nie przebacza robienia majątków na fotelach senatorskich czy ministeryalnych tekach. Parlament rozumie się znakomicie na takich majstrach gry na giełdzie, jakim był Rouvier, wgląda nawet w życie rodzinne leaderów i obocześnie strzeże hierarchii, szewronów i rang poselskich.

Te rangi i szewrony, nieuchwytnie dla laików, nie pojęte dla mas, decydują, rozstrzygają często w parlamencie francuzkim. Rangi te, szewrony ustanowił obyczaj i czas a więc prawodawcy, zażywający we Francyi bezwzględnego szacunku.

Kto nie był referentem któregośkolwiek z poszczególnych budżetów — ten nie może zostać referentem generalnym, kto nie przewodniczył w komisji, ten nie będzie prezydował w Izbie, — ta godność poselska prowadzi do skromniejszego stanowiska władzy wykonawczej parlamentu, — inna do Elizejskiego pałacu, — takiej pracy musi dokonać kandydat na ministra handlu a takiej na ministra oświaty.

Niechybnie i w innych parlamentach ważą się podobne zalety, w żadnym jednak nie mają tak decydującej mocy, jak we francuzkim.

Konstytucya powiada, że prezydentem Rzeczypospolitej może być każdy obywatel, wybrany przez Kongres Senatu i Izby deputowanych. Zwyczaj, poczucie społecznej harmonii ustanowiło, że prezydent musi być nietylko posłem ale i dygnitarzem parla-

mentu, musi być ex-ministrem, prezesem jednej z Izb, musi być wybitną jednostką ale nie może być gladjatorem partyi, naczelnikiem walczącego stronnictwa, musi być nadto człowiekiem żonatym, nawet wdowcem być mu nie wolno.

Na dokument jak dalece ściśle cały parlament przestrzega tych pozakonstytucyjnych, niepisanych ustaw — dość przypomnieć, że tylko raz jeden, przy wyborze prezydenta Sadi Carnot, głosy wotujące rozstrzeliły się i wymieniły aż jedenaście nazwisk, lecz w tem aż pięć takich, które posiadały od pięciu do jednego zwolennika. Od tego czasu walka istotna rozstrzygała się zaledwie między dwoma kandydatami.

Jakoż elekt kongresu, czy tylko poszczególnej izby parlamentu, wstępując w progi prezydentury Rzeczypospolitej, czy tylko prezydentury Senatu, może o sobie powiedzieć, że i zwyciężył i dla swej pracy wieloletniej miru się doczekał.

Łzy wzruszenia dławia pierwszą mowę nowego prezydenta, łzy lśnią w oczach nowego ministra gdy staje u władzy, gdy rzutem myśli mierzy otchłań przebytego życia.

Rzeczpospolita bardzo skromnie wynagradza swych najwyższych dostojników.

Głowa państwa francuskiego, głowa najbogatszego na świecie kraju pobiera 600.000 franków pensyi i drugie tyle na koszt reprezentacyi. Nie wielka to suma, bo frank we Francyi, ma zawsze walor pięćdziesięciu polskich groszy, bo szumnie

brzmiały 1,200.000 równa się tylko 300.000 rublom.

Dyrektor banku „Crédit Lyonnais“ lub „Société Générale“ ma zatem lepsze uposażenie od Fallièresa, a wzamian żadnych, wyznaczonych z góry, wydatków.

Bo ma wprawdzie prezydent Rzeczypospolitej darmo pałace na mieszkanie, ma część urzędników płatnych przez rząd — ale ma obocznie mrowie przymusowych darmozjadów do utrzymania, nieodzownych festynów, przyjęć do odprawienia, gratyfikacji, darów do złożenia. Innemi słowy, uposażenie nie pozwala roić prezydentowi Rzeczypospolitej o roztańczaniu pompy królewskiej, o współzawodniczeniu z dworami innych mocarstw. Natomiast prosta przeorność każe mu pamiętać, iż, po siedmiu latach, ani on ani rodzina jego żadnej więcej nie otrzyma pensyi, że wrócić będzie musiała do dawnej szaryzny, co gorzej, do przeciętności człowieka, którego karyera się skończyła.

Stosunkowo jeszcze skromniej wynagradza Rzeczpospolita swoich ministrów, bo pensyą 60.000 franków rocznie, — obliczaną i wypłacaną za dni urzędowania. Co znaczy, iż dymisya gabinetu ucina bez pardonu pensyę ustępującym dostojnikom w dniu i niemal w godzinie upadku ministerstwa. Obocznie pensya ministra kasuje wynagrodzenie deputowanego i wogóle wszystkie inne pensye rządowe. Wyjątek istnieje tu jedynie dla wojskowych. Generał lub admirał, powołany na ministra wojny lub marynarki, zatrzymuje swój admirałski czy generalski

żołd i pobiera stąd prawie dwa razy tyle, co minister, wychodzący z łona członków parlamentu.

Do tych sześćdziesięciu tysięcy franków minister ma mieszkanie... ministeryalne, lecz przy niem tak skromne dodatki w naturze, iż, o ile nie posiada własnych funduszków, — nie może pozwolić sobie na trzymanie pojazdu — i tembardziej, że lada godzina może paść grom miażdżący, że nie ma przed sobą nawet tygodnia pewnego jutra. Nie jest to frazesem, jeżeli się zapamięta, że, w roku 1911, roku czterdziestolecia Rzeczypospolitej, — ministerstwo Cail-lau było z rzędu pięćdziesiątem.

Jakoż ministrowie francuzcy zazwyczaj nie zmieniają trybu życia, po zainstalowaniu się oficjalnem w swych imponujących rezydencyach. Zamożni zamożnie bytują, — biedni biednie.

Clemenceau, Briand nawet sypiać wolą w swych własnych kątach. Inni są gośćmi ministeryalnych apartamentów. Wprowadzenie się lub wyprowadzenie dygnitarza Francyi, męża który dźwigał lub dźwigać ma brzemień jednego z pierwszorzędných mocarstw Europy, polega czasem na jednej wątlej walizce, wypełnionej skryptami.

Równie niewielkiem jest wynagrodzenie prezydentów izb — ale przynajmniej połączonem z rocznym mandatem.

Deputowani i senatorowie otrzymują po 15.000 franków i naogół, bez tek ministeryalnych, zdobywają zgoła utrwalone dochody. Pierwszeństwo powodzenia święcą oczywiście adwokaci. Millerand, na przykład, nigdy krańcowy socyalista, rzecznik

kollektywizmu, redaktor „*Lanterne*“ a w życiu adwokata w „najfantastyczniejszych“ procesach, — doszedł do milionów.

Równie „luksusowym“ jest zawód wielkich trybunów, toczących walkę z „burżuizmem“.

Taki Jaurès, bez wielkiego natężenia pracy, ma swoje niezawodne 40.000 franków dochodu. Sembat, „*la plus forte gueule de la Chambre*“ zarobił oddawna na dodatek: „*socialiste révolutionnaire, ce qui ne l'empêche pas d'être millionnaire*“.

Najślabiej, z pośród senatorów i deputowanych, zaopatrzeni są właśnie ci, którzy tworzą kadry ministeryjne. Znoyny trud w komisjach chłonie ich, praca w parlamencie nie pozwala myśleć o ubożnych dochodach, odrywa od zajęć zawodu.

Wyraźniej, dokładniej jeszcze zarysuje się skromność uposażenia dostojników parlamentu na tle wielkich urzędów Francji. Prezes ministrów ze swoimi 60.000 franków jest nędzarzem wobec gubernatorów Indo-Chin, Algieru lub Madagaskaru, — ma niemal połowę nie tylko tego, co stanowi posadę ambasadora, lecz i prefekta Sekwany. Nie dość na tem, — przewyższają go dochodami już nie wielcy dygnitarze ale marni poborcy podatkowi, dyrektorzy biur hipotecznych, mizerni pionkowie.

Co więcej — ostatni, krom świetnych posad, mają przyszłość zapewnioną, mają emeryturę, byt dla rodzin, które osieracają. Żony i dzieci zmarłych senatorów, deputowanych, wczorajszych ministrów... mogą najwyżej śnić o otrzymaniu koncesyi na sklepik z tytuniem. Lecz wzamian, przepadły na wy-

borach, działacz parlamentarny żadnych łask tego rodzaju spodziewać się nie może. *Vox populi* odtrącił go, — więc gorze słabemu, gorze powalonnemu.

Udręką senatorów a przedewszystkiem deputowanych są wyborcy, ich ciągle petycye, korespondencye, prośby, komisye prawie. Deputowani francuzcy są zasypywani co dnia listami — co dnia spada na nich deszcz żądań o posady, zapomogi, przywileje, awanse, nagrody, protekcyje i t. d.

Ataki te są istną klęską życia parlamentarnego Francyi. Deputowani bowiem muszą się liczyć z żądaniem, muszą trawić czas na obleganiu urzędów, ministrów, biur rozmaitych, — muszą bodaj część próśb zadowolnić. Wprawdzie od tego rodzaju ataków nie są wolni ani posłowie austriaccy, ani belgijscy, ani włoscy — ale w niesłychanie mniejszym stopniu. Wyborca francuzki, szczególnie wyborca małomiasteczkowy, zna swego deputowanego i uważa go za własnego reprezentanta, za opiekuna gminy, za rzecznika jego, wyborcy, nawet prywatnych spraw.

Z tej działalności posłów wynika, naprzykład, że nie masz prawie we Francyi listonosza, woźnego w prefekturze, dozorca podatkowego, policyanta, żandarma, oficjalisty najbiedniejszego, którego stan służby nie rozpoczynałby się od listu polecającego jednego a czasem kilku deputowanych.

Dokuczliwy ten nieobyczaj znalazł wyraz w projekcie noweli prawnej, dążącej do ustanowienia wyborów okręgowych a więc takich, które dobędą posłów z zależności bezpośredniej danej gminy a to



przez głosowanie grupy całej gminy na pełną listę kandydatów okręgu.

Deputowani wielkich środowisk, jak Paryż, Lyon, Marsylja i t. d. mniej są wystawieni na natręctwo jednostek — ale w zamian borykać się muszą z zorganizowanymi gromadami społecznymi. A zadanie to stokroć cięższe, zdradliwe, trudniejsze, niebezpieczniejsze. Gromady te bowiem, często bez oglądania się na ogół, domagają się reform, przywilejów, ustępstw — co więcej, stanowią czoło fali sił wyborczych.

Pomimo tych uderzeń, tego oddziaływania i mas i jednostek na osłabienie napięcia pracy parlamentarnej, praca ta wre, kipi, na sekundę nie ustaje. Parlament francuzki nie myśli osiadać na laurach tryumfu Rzeczypospolitej, nie zasklepia się w formułach, nie sroma nowatorstwa, sam i najdzielniej sprzyja im, czyni z Francyi kamerę doświadczalną rozwoju społecznego.

Niechybnie parlament francuzki ma po temu, krom środków, znakomity materiał w przymiotach narodu — ale podobno i z tymi materiałami i środkami nie podołałby zadaniu, gdyby nie cnoty jego własne, gdyby nie zastęp ludzi dzielnych, ludzi, nie dających się mierzyć banalnym łokciem europejskiego wyobrażenia.

Choćby jeden Clemenceau — ów tak głęboko francuzko-paryski „le petit Clément” — rewolucjonista gorący, radykał, mer Montmartru w roku pogromu, w roku Komuny, — dalej słynny „przewalacz” ministrów, ten, przed którego furją ataku



nie ostał się ani Brisson, ani Ferry, ani potężny Gambetta! Choćby on jeden starczy na zdumienie, na przekonanie, że mężowie francuzcy stoją poza skalą europejskich wyobrażeń.

Wszak ci ten sam Clemenceau, ten sam lewowiec, rozwichrzony gwałtownik — na szczble prezesa ministrów, na stanowisku głowy państwa — miał spokój i pewność olimpijską, miał bystrość sądu społecznego, miał, w chwilach przełomowych, jedną decyzję...

Gdy, w końcu 1908 roku, z powodu zajścia w Casablance, na tle dezercyi żołnierzy-Niemców z legii cudzoziemskiej, obrażone Niemcy zażądały, aby Francya wyraziła swój żal, gdy miecz Damoklesa wojny zawisł w powietrzu — Clemenceau kazał sobie podać dokumenty, zbadał je i odparł kategorycznie — „Nigdy — czyńcie, co się wam podoba!...”

Więc działacze francuzcy, trybunowie zmieniają przekonania, więc są sprzeniewiercami, odszczepieńcami? — Nie. — Są jedynie istotnymi apostołami racyi, wygłoszonej przez posła księdza Stojałowskiego, który, na zarzucone mu odstępstwo — odrzekł spokojnie — „Deszcz padał wczoraj?” — Padał. — „Dziś pogoda?” — Pogoda! — A dalej są działacze francuzcy ludźmi, którym najskrajniejsze zasady nie zdolne są zaćmić trzeźwości sądu, którzy nie sromają się wyrzec własnych racyj w obliczu dobra powszechnego.

Co więcej, mężowie francuzcy posiadają jedną jeszcze nieznaną niesłychaną zaletę — że na najwyższych stanowiskach pozostają sobą. Ministeryalne

pałace nie mącą im równowagi, prezydentura nie przyprawia o zawrót głowy.

Prezes ministrów, Briand, jest zawsze tym samym panem Briandem. Prezydent Fallières jeno z musu wyrzeka się swej przechadzki codziennej w stronę lasku. Na inauguracyi wystaw salonów sztuki pierwszy dostojnik Rzeczypospolitej ani trochę nie udaje znawcy a wzamian na wystawach rolniczych, wbrew nakazom protokołu, admiruje z zapałem okazy warzyw, rogacizny, trzody. W prezydencie zawsze bierze górę szczerłość właściciela fermy w Loupillon, troskliwego opiekuna swego kawałka ziemi.

Inna sprawa, gdy godność reprezentanta Francyi ma wystąpić razem z reprezentantem innego mocarstwa. Wówczas ceremonia, дума francuzka ani kroku nie ustąpi, wówczas strzeże nieubłagane najdrobniejszego szczegółu etykiety. Ale skoro niknie ów kontakt bezpośredni z cudzoziemskim dworem, skoro prezydent między rodakami staje — jest zawsze i wszędzie tym panem Fallièresem, którego od lat tylu zna życie społeczne i polityczne Francyi.

Zapewne, dostęp do prezydenta francuzkiego jest trudnym, bo dla tysiąca racyi stanu nie może być łatwym — wzamian rozmowa z prezydentem toczy się łatwo, bo toczy się z człowiekiem a nie Pythią.

Ta również sztuka pozostawania sobą czyni, że, gdy nadchodzi chwila przełomowa, gdy minister składa urząd, gdy prezydent kończy siedmioletnią kadencję — wówczas z pogodnem czołem wraca do powszedniego życia, do pracy, do szeregu.

Skromna, wiekiem pochylona postać Emila Lou-

beta ex-prezydenta, sunąca bulwarami Paryża mogła by tu dostarczyć obszernego przedmiotu do wywodów — lecz wielka cywilizacja europejska cnotę Cincinnati ma jedynie na wypisy szkolne dla młodzieży — w szkole życia zaś wita też same cnoty sarkazmem, ironią, płytkim conceptem.

Tymczasem, tymczasem dzięki takim siłom, jak Fallières, Loubet, Briand, Ribot, Clémenceau, Briand, Dupuy, Poincaré, Brisson, Dubost, Delcassé, Rzeczpospolita wychodziła obronną ręką z kryzysów intrygi Schenebele, zatargu o Faszodę, sprawy Marokańskiej, dzięki takim siłom Francya, po klęsce polityki militarnej, do świetności doprowadziła, tak zwaną, *politique de recueillement* i *politique de l'expansion coloniale*; dzięki takim siłom, Francya współczesna może stawić czoło nawet strejkom kolejowym, nawet rewolucyom socyalnym.

Ilość zaś tych sił jest we Francyi nieprzebrana, bo zrywają się one do lotu i na rozburzach prądów społecznych, bo rekrutować się mogą i będą choćby wśród dowódców przewrotu, — bo izdebki, poddasza, chaty i zaścianki francuzkie do pracy, do wytrwania zaprawiają przyszłe zastępy królewiał.



## CNOTY, O KTÓRYCH SIĘ NIE MÓWI.

Legalność i jej kierunek. — Zaufanie do przedstawicieli władzy. — Francuzki policyant i francuzkie „habeas corpus”. — Wykład kodeksu. — Wyrok bezwyznaniowców. — Dreyfussyada. — Probierz sumienia. — Gniew narodu. — Mury gwardyi narodowej. — Prawa protestu. — W godzinie klęski. — Powódź i wyrok „globtrottera”. — Karność i jej cechy. — Podatki. — Śmiecie Paryża. — Tłum. — Dwa przystanki tramwajowe. — Czternasty lipca. — Wobec widma wojny. — Od lat czterdziestu. — Warunki zgody. — Czemuż nie uderzyli do-  
tąd? — Odwrót przed karnością. — Puste liczby. — Cnoty,  
o których się nie mówi.



Podstawą władzy we Francyi jest legalność — jej zaś siłą — karność obywatelska. Legalność atoli, wynikająca nie z bezwzględności praw, nie z zasklepienia praw, nie z fiskalizmu praw — lecz z wy czuwania ich ducha. I karność, rodząca się nie z obawy, nie z lęku, nie z przymusu, lecz z rozumu.

Niemiec co kroku chyli głowę przed „verbotten“ — Francuz drwi z wyrazu „défense“ — ale poddaje się bez szemrania przepisowi, regulującemu ład społeczny.

Niemiec za uchybienie prawu, za wymiar sprawiedliwości ma pomstę, odwet. — Francuz unika, wedle możliwości, i pomsty i odwetu. Francuzowi nie idzie o racyę oko za oko, Francuz zabiega o wzmocnienie świadomości praw, o ich poszanowanie, o ich łagodzenie.

Dążność ta przejmuje wskroś społeczeństwo francuzkie. Od góry do dołu ten sam nastrój, taż sama zasada. I człowiek współczesny nigdzie w równej mierze nie zażywa spokoju obywatelskiego, nigdzie chętniej nie wypełnia obowiązków.

Na Ziemi francuzkiej, człowiek obcy zbywa się odrazu lęku, którym dręczył go widok przedstawicieli władzy, pachołków władzy. Nie masz tu bo-



wiem „schutzmanów“, czyhających z olimpijską powagą na ofiarę, nie masz argusów, dźwigających w kieszeni pęki kwitów za kary na przyszłych winowajców, nie masz ócz złych, nikczemnych, obelgami podejrzeń miotających. Nie zaskoczy tu nigdy nikogo obuch prawa, grom niespodziewanego zakazu. Żandarm, policjant francuzki zaczyna z reguły od zwrócenia uwagi i jeno złą wolę pociąga do odpowiedzialności. Zresztą pobłażliwym jest i wyrozumiałym z natury. Nie pastwi się nad biedakami. Odwraca się w chwili, gdy nędzarz śpiewem, rzepoleniem usiłuje zebrać dla się groszaków przed kawiarnią, nie widzi ubogiego przekupnia, który, na moment, zbałwanik fale przechodniów, uśmiecha do gromadki młodzieńców, probujących, w przystępie wesołości, wywołać zamieszanie, nie jest klątwą ulicznika, nie dręczy bezdomnych. Policjant i żandarm francuzki jest niemal filozofem, rozumiejącym się na ranach i nieuniknionych bólączkach społecznych, swywoli nie ma za przestępstwo, łachmanów za zbrodnię. Uniformy, galony, sychy nie mącą mu trzeźwości, pozwalają swobodnie kroczyć wśród tłumu. I policjant francuzki jest lubianym ogólnie i szanowanym.

Idąc w górę, po drabinie reprezentantów władzy, ten sam duch, taż sama filozofia znajduje szerszy, pełniejszy wyraz.

Nietykalność mieszkań jest bezwzględnie przestrzegana. Wszelkie udręki z tytułu osobistych legitymacyj i stanu cywilnego sprowadzone aż do tego uproszczenia, że do zgoła oficjalnego meldunku

wystarcza koperta z adresem i stemplem pocztowym. Każdy bowiem człowiek we Francyi jest uważanym za uczciwego; prawdziwości zaś swoich słów musi dowodzić jedynie w chwili zarzuconego mu przestępstwa. Nie ma więc tu nieszczęśliwców, którzy, wskutek zagubienia świstka papieru, braku pieczęci, zygzaka pisarczyka cyrkułowego, schodzą na włóczęgów i opryszków.

Zachowanie dla wolności osobistej posuniętem jest aż do zakazu udzielania adresów osób, które na to zgody swej nie wyraziły. Co znaczy, że gdy Warszawa szczyti się swem biurem adresowem, prefektura Paryża, posiadająca bardzo starannie prowadzone spisy adresowe, — udziela je tylko rodzinom i rodzeństwu poszukiwanych osób... Dlaczego? — Dlatego, że poszukiwany może nie mieć interesu do szukającego, że snadź uniknąć go chce, jeżeli znaku życia nie daje, — że wierzyciele i tak zadość mają środków na dłużników, że nakoniec udzielenie adresu wkracza w prawa wolności osobistej.

Niezawodnie te przywileje, obok procedury sądowej, zapewniającej oskarżonemu pomoc prawną, obronę od pierwiastkowego śledztwa poczynszy, — są dla przestępców niemałym sprzymierzeńcem, dają im więcej, niż gdzieindziej, szans bezkarności. Szkoda jednak, ponoszona stąd przez społeczeństwo francuzkie, jest kroplą wobec morza dobrodziejstw, wynikających dla ogółu z przestrzegania tych praw. Z nich to przecież bierze początek owa legalność, z nich rodzi się poczucie godności obywatelskiej.

Wzamian kodeks we Francyi jest uważany za

zbiór martwych wskazówek, które podlegają wymogom ducha czasu, kształceniu się myśli społecznej. Kodeks nie właden jest zastraszyć Francuza. Prawda, że *summum jus summa injuria* przenika wszystkie warstwy. Themida zdziera opaskę z oczu, sroma się ślepego sądu. Bezruch formuły prawnej nie jest ostatnią instancją o tem, co rwie naprzód, co się rozwija, urabia. Śmierć nie ma tu samowładztwa nad życiem. Francya pojmuję, że najbujniejsza perfidya prawodawcy nie zdolną jest przewidzieć, wyprorokować, ogarnąć tego, co nieustannie mnoży pobudki winy, co rozdrabnia się na krocie odcieni, co dla każdej jednostki inną musi być księgą.

Brutalność kodeksu jest groźną tylko dla brutalnych, zasadniczo prostych przewinień. Tam atoli gdzie niedola ludzka, fatalność, klątwa urodzenia zawiodła jednostkę na bezdroża,—tam wyrokuje już nie ława przysięgłych, lecz sumienie społeczne. We Francyi, częściej niż gdziekolwiek, odpowiada nie ręka, która cios zadaje morderczy, lecz podszept, co tą rękę uzbroił, bo tu większa pogarda dla zbrodniarzy, będących zawsze w zgodzie z kodeksem.

W jednym roku 1906 \*), z liczby 1405 oskarżonych o zbrodnię godzenia na życie lub zdrowie ludzkie, uniewiniono 481. W tem, z liczby 215 o-

---

\*) *Compte Général de l'Administration de la Justice Criminelle pendant l'année 1906 présenté au Président de la République par le Garde de Sceaux Ministre de la Justice et des Cultes, France, — Algérie — Tunisie. Paris. Imprimerie Nationale MDCCCXVIII. str. 4—5.*

skarżonych o morderstwo (*meurtre*) uniewinniono 70 — oraz z liczby 200, oskarżonych o zabójstwo (*assasinat*), uniewinniono 38; z liczby dziewięciu, oskarżonych o dwużeństwo, uniewinniono siedmiu i t. p.

Wielki ten procent uniewinnień, prawie  $33\frac{1}{3}$ , przypada w znacznej mierze na brak niezbitych dowodów i na ów sport adwokacki, który ma sobie za punkt honoru łotra przeinaczyć w baranka — lecz obocześnie obejmuje i biedaków, pasierbów losu, zrodzone do występku istoty, nieszczęśliwców, rzuconych na burze rozpacz, i tych jeszcze, których potępia kodeks, lecz nie może potępić ludzkość myśląca.

Ława przysięgłych, stół prezydjalny są tu raczej rzecznikami, reprezentantami opinii, przez społeczeństwo urabianej. W przypadkach bowiem wątpliwych cały naród francuzki bierze udział w zagadnieniu, cały naród wyrokuje. Apasz podmiejski, nicpoń, boi się więcej doraźnego sądu tłumu niż czerwonych tog trybunału, — drży, nie przed kratami więzienia, lecz przed ponurym zewem ludu, domagającego się gilotyny.

Legalność zwycięża niemal zawsze. W pewnym momencie sekciarz, zapaleniec, krańcowiec pomstuje na łagodność wyroku, czy na jego surowość — ale ten sam sekciarz i zapaleniec, w psychologicznej chwili, gdy własne jego słowo ma rozstrzygać o losie człowieka, idzie za głosem sumienia publicznego.

Rozdział Kościoła z Państwem, na przykład, rzu-

cił na stół Izby Apelacyjnej następujące zagadnienie. Gmina wyznaniowa katolicka, uformowana w myśl prawa z roku 1905, powołała na proboszcza parafii na Korsyce księdza, nie posiadającego zatwierdzenia biskupa. Biskup ze swej strony wyznaczył innego księdza. Proboszcz, osadzony przez gminę, odmówił ustąpienia z kościoła. Stąd proces... Proces, dający wyborny materiał „bezwyznaniowemu“ sądownictwu, sądownictwu „stoczonemu przez wolnomularstwo“ do wywołania rozdzwiewu, podtrzymania walki w łonie Kościoła, ubezwładnienia go niesnaskami między księżmi i biskupami. Wyrok zapadł, zarówno w trybunale w Bastyi, jak i w Paryżu jednobrzmiący i zasadniczy. Wyrok ten orzekł kategorycznie\*) — w razie zatargu między księżmi, lub między biskupem i gminą wyznaniową, — prawo jest przy tym, który poddaje się przepisom wyznania i duchowej władzy odnośnej religii. A więc używalność kościoła należy do księdza, ustanowionego przez biskupa, a nie do księdza, wezwanego przez gminę. — Tak rozstrzygnęło poszanowanie legalności.

Niekiedy legalność wystawioną bywa na ciężką walkę, zwłaszcza kiedy do boju o nią stają całe obozy.

Klasycznym przykładem podobnej walki była sprawa Dreyfussa, sprawa, która przez szereg lat targała Francją, która cały świat cywilizowany podzieliła na dwie partye, a która dotąd dla wielu jest znakiem zapytania...

---

\*) *Luty 1912 roku. Cour de Cassation.*

Winnym był Dreyfuss czyli niewinnym?! — powtarzają do dziś nieświadomi tego, że błąd tkwi w samym pytaniu, że sporna kwestya leżała w tem, czy legalnie był skazanym czy nie legalnie?

Oskarżenie poczęło się z moralnego przeświadczenia oficerów sztabu, że słynny kapitan Dreyfuss dopuszcza się zdrady stanu, że wykrada dokumenty wojskowe na użytek obcego mocarstwa. Na skutek tego przeświadczenia, zastawiono nań pułapkę — lecz daremnie. W chwili pojmania Dreyfussa na spodziewanym uczynku, nie znaleziono przy nim dowodów winy. Przeświadczenie jednak dygnitarzy wojskowych pozostało niezachwianem, powiedzmy nawet, że było niewątpliwą wiarą ludzi honoru. W toku procesu, idącego przez wszystkie instancje, gdy brak dowodów oczywistych był wciąż bronią oskarżonego Dreyfussa, przekonanie o winie jego posunęło się do fałszerstwa. I czy fałszerstwa? Szło przecież tylko o udaremnienie bezkarności, szło o zbrodniarza, chroniącego się za paragraf prawa. Kwestya żydowska a raczej solidarna akcyja żydów, obawiających się, że skazanie Dreyfussa zapoczątkuje pozbawienie żydów francuzkich równości obywatelskiej, — zaostrzyła walkę. Dreyfuss został potępionym, zdegradowanym i wywiezionym na Dyabelską Wyspę...

Legalność więc była naruszoną. Naród francuzki nie zniósł uchybienia. Tam, gdzie każdy naród, jeżeli nie z obojętności, to wprost dla dobra i spokoju wewnętrznego kraju — nie myślałby upominać się o małowartość i wprost niesympatyczną osobę



podrzednego oficera-żyda — tam naród francuzki nie zawahał się kosztem rozłamu, mimo widma domowych zamieszek, uchwalić rewizję procesu i... uniewinnić Dreyfussa? — Nie, — orzec uczciwie, że, na zasadzie sfałszowanego dokumentu, nie wolno nikogo skazywać we Francyi, że wyrok był pogwałceniem legalności.

Historia Dreyfussyady, — dzieje całego szeregu, niemniej głośnych procesów, które, zda się, laikom, są znamiem rozkładu społecznego Francyi, w istocie są probierzem sumienia, legalności.

Korupcyja i gorsza i głębsza krzewi się i poza Francją, krzewi silniej, bo się krzewi bezkarnie. Pewne sprawy sądowe uważane są za kompromitujące nie jednostki, lecz całe warstwy ludzi, za uwłaczające nie godności odosobnionego człowieka, lecz za poniewierające aureolę, piastowanej przez tego człowieka, władzy, godności. I dlatego podobno po za Francją występki jest udziałem pospolitaków głównie, że tłum możliwych drwi z tego, co prawo nazywa kradzieżą, szalbierstwem, zbrodnią.

Panamy, Humbertowe, Steinhallowe, Syveton'y kwitną i prosperują na obszarze Europy i nie Europy. Kwitną i bytują swobodnie, bo w cieniu zasady o brudach, które należy prać w domu. Francuz, zarówno w gospodarce osobistej jak i społecznej, uchyla się od tej obłudnej czystości. Prać brudów w domu, dławienie zaduchu poczytuje za rozprzestrzenianie miazmatów, za kult bakteryi.

Różnica stąd taka, — że gdy Francuz chwyt



złodzieja za rękę — woła śmiało — „oto opryszek!“. Turek zaś, w podobnem położeniu, musi najpierw być pewnym, że złodziej nie nosi munduru dygnitarza, że nie jest krewnym baszy, wnukiem hare-mowej oblubienicy, bratem wielkiego eunucha, bo, w tym razie wolno mu jedynie schylić głowę kornie i rzec złodziejowi: „Bądź pozdrowion wonny kielichu cnoty“.

Ludzie nie byliby ludźmi, gdyby i we Francyi nie zdarzały się wypadki ratowania przed odpowiedzialnością krewniaka, przyjaciela, — lecz wypadki te są rzadkie, bo udaremnione kontrolą społeczną.

Z przytoczonych wyżej słów może zdawać się nieprawdopodobną mieszanina pobłażania i surowości, mająca tworzyć rzekome poczucie legalności Francuzów. A przecież ta mieszanina przeciwieństw jest jej szczerym rysem i rysem dodatnim.

Surowość jest jakby gniewem narodu. Pod wpływem humanistów, kara śmierci staje się symbolem, zamienianym przez lat kilka z rzędu na ciężkie roboty. Gilotyna rdzewieje. Naród przekonany, zjednany godzi się na to, filozofuje, rozprawia. Tak, niewątpliwie, gilotyna nie uszlachetnia obyczajów, nie umniejsza liczby zbrodni. Aż naraz, po kilku nowych zabójstwach, gdy cynizm przestępców zadzwiał z bezwładności żałobnej „wdowy“ kata, — budzi się w narodzie protest, zrywa się z coraz większą gwałtownością i oto, pomimo, że przeciwnikiem kary śmierci jest i Prezydent Rzeczypospolitej, i minister sprawiedliwości (Briand wówczas) i prezes gabinetu (Clemenceau), pomimo, że z try-

buny parlamentarnej tryskają potoki krasomówstwa przeciw traceniu przestępców, — gilotyna tryumfuje, tryumfuje naród zagniewany.

Władza wykonawcza temu wpływowi ulega, a właściwiej jest wiernym posłannikiem opinii.

Długa procedura sądowa, rozwlekła machina państwowa, ociężałość administracyjnych urzędów, pobłażliwość policyi, — na dany sygnał, — zamienia się w błyskawiczną, piorunującą energją i stanowczością potęgę, — w siłę miażdżącą.

Tam, gdzie w tłumie manifestantów czatuje rewolucya, gdzie ciżba sięga po broń, tam dźwiga się mur policyi, bastjon gwardyi narodowej, kawalerya idzie do szarży, tam zrównoważony, nieruchliwy „sierżant“ jest nieubłagany, tam sąd działa natychmiast.

Ofiary starcia wywołują interpelacye skrajnej lewicy, dają sposobność nacyonalistom do ataku na ustrój Rzeczypospolitej, — lecz są to fajerwerki partyjne. Lud i nawet ten jego odłam, który ucierpiał, nie żywi długiego rankoru, — poszanowanie legalności bierze w nim górę. Echo starcia milknie.

Zresztą władza wykonawcza ma w zachowaniu prawa tłumy, prawa manifestacyi, prawa upominania się o lepsze warunki pracy, o przywileje gmin, o krzywdy gromad.

Ten sam żołnierz francuzki, francuzki policyant umie godzinami stać pod gradem kamieni, obelg, pocisków, złorzeczeń. I krwi, która mu broczy z rąk i skroni, nie ma dla siebie za czas na podniesienie karabina do oka... Czemu? — bo oto ten właśnie

strejk, to właśnie bezrobocie ma podłoże sprawiedliwego protestu, boć z legalności poczęła się tym razem pasya głodnego może tłumu. Ileż ta niesłychana flegma oficerów i szeregowców, dowódców i pionków ocaliła istnień ludzkich swej ojczyźnie, ileż dobrych synów uchroniła od kalectwa i śmierci?

Przykładem żywszym, pełniejszym, sprężystości władz jest ich zachowanie się w godzinie klęsk narodowych.

Milkną wówczas dysonanse, głuchną spory polityczne, nikną partye, ustaje formalistyka, procedura papierowa, myśl państwowa łączy się ze społeczną i uderza w jeden dzwon jednego obowiązku.

Powódź straszna roku 1910, która nawiedziła w szczególności Paryż i jego okolice, zaskoczyła nad Sekwaną jednego z tych typowych polskich globtrotterów, którzy wprawdzie nie zbaczają nigdy z gościńca środkowo europejskiego — lecz którzy znają się, w swem pojęciu, i na Wiedniu, i na Berlinie, i na Moskwie i na Rzymie, a już oczywiście na stolicy Francyi od dziesiątków, dziesiątków lat...

I ów polski globtrotter jęknął z żalu w obliczu klęski — „Finis Lutetiae!“ — koniec mocy Paryża, koniec jego chwały, — „miasto słońca“ nigdy się już nie podniesie, Paryż odtąd nie nadaży Berlinowi — Berlin teraz obejmie berło stolicy świata! — Szkoda Paryża.

Tak łkał globtrotter polski i nie żaden przeciętnik i nie żaden gap', i nie żaden pospolitak, jeno człek bystry, rozumny.

Jakoż zaiste Paryż był za owych tygodni ruiną.

Nie tylko niziny nadbrzeżne, lecz i śródmieście pod wodą, koleje żelazne unieruchomione, mosty, grożące zawaleniem, tysiące ludzi bez dachu i chleba, miliony strat, brak światła, brak węgla, setki domów, gmachów, pomników skazanych na zagładę, walka z żywiołem na najruchliwszych arteriach miasta, tłumy obłąkane bólem, ludzie niknący na przedmieściach razem z dachami, zmyte ogrody, pękanie cuchnących kanałów, wybuch chorób, nędza i głód u proga i fale rozszalałej Sekwany z godziny na godzinę zawziętsze.

Nawet, gdy nakoniec rzeka wróciła do swego łóżyska, jeszcze ów globtrotter nie zaniechał swych hiobowych prorostw — boć obraz zniszczenia był do ogarnięcia łatwiejszym, bo bieg życia normalnego ustał, bo logika rozrachunku podpowiadała, że początek końca się dokonał.

Minęło trzy miesiące od czasu, gdy przed dworcem Św. Łazarza kursowały łodzie, gdy, na ulicach Auteuil, ratowano tonących — i oto Paryż i z nim obszar ziemi, porażony katastrofą, tą samą jaśniał zamożnością. Znikły szczyrby, ślady spustoszenia i jedynym widocznym znakiem przeżytej niedoli, stały się nadpisy na granitach nadbrzeżnych, że tej a tej wysokości sięgnął, w roku 1910, wylew Sekwany.

Więc tajemnica tej potężnej energii, tej sztuki napięcia pracy, tej siły odrodzenia się? — Jest tajemnicą roju pszczoł, które, w chwil kilka po wydarciu im plastra miodu przez bartnika, rzucają się do roboty. Jest tajemnicą mocy społecznej Francuzów i karności.

Karności? Wyraz ten sam przez się, w stosunku do Francuzów, zakrawa na paradoks. Karność — toć Prusy, — karność toć potulność dla władzy, — karność to milczenie i zaufanie bezkrytyczne i ślepe posłuszeństwo. I taką jest niezawodnie karność głupoty — karność rozumu inne ma pobudki i objawy inne.

Jakoż karność Francuzów nie ma w sobie ani jednej kropli z tego, co rozpiera pierś żołnierza niemieckiego i nie ma w sobie ani żdbła przymusu, ani odrobiny lęku, ani cienia nimbu dla gwiazdki na kołnierzu, czerwonej podszewki lub, wprost, pięści.

Karność Francuzka pochodzi z kultury, cywilizacji, instynktu obywatelskiego. Słucham tego, co jest mojem dobrem, uznaję to, co jest i mnie pożytecznem, wykonywuję te i te obowiązki, bo one są prawem społeczeństwa, bo są podwaliną jego zdrowia, więc i mego zarazem.

Podatki wpływają do kas skarbu Rzeczypospolitej z punktualnością bajeczną. Już we wrześniu, na trzy miesiące przed terminem roku podatkowego, — są gminy, departamenty niemal całe, które uiściły co do centima wszystkie ciężary haraczu. Poborca ma tu synekurę. Gromady tłoczą się do jego kas, uprzedzając nakazy i wezwania ponowne. Wioski francuzkie, miasta i miasteczka nie znają wypraw pachołków fiskusa na wydzieranie przemocą oboli państwowych. Francuz także lubi narzekać na podatki, lecz płaci je pilnie, upomina się o wzięcie odeń pieniędzy. Znosi bez szemrania nawet te ciężary, które miały być chwilowe a które trwają do

nieskończoności. Nie dziwi go, że, i po zapłaceniu kontrybucyi wojennej roku 1872, — monopol zapalkowy ciuła dalej miliony... Potrzeby państwowe rosną... — Rząd trwoni grosz, marnuje, darmożjadów tuczy? No oczywiście! — Ale, bierz lichu zapalki, od lat tylu już podróżały!...

Paryż był od lat kilkunastu zaśmiecany ogłoszeniami i reklamami, rozdawanemi przechodniom na ulicach. Powódź tych reklam znudziła Paryżan i oddawna. Brali je jednak i dalej porzucali. Brali przez wzgląd na paryasów, których wynagrodzenie zależało od ilości, wetkniętych przechodniom, świstków papieru. Kwestya tych reklam kotłowała się. Projektowano aż zakaz reklam, zakaz rozdawania ogłoszeń w miejscach publicznych. Projekt w tym kierunku atoli odrazu napotkał na opór. Bo któż ma prawo godzić w kupca, szukającego zbytu, jakże zabraniać komuś wzięcia od kogoś ćwiartki papieru? — Po tym zwichniętym projekcie nastąpił projekt podatku stempla. I ten przecież upadł. Trzeba by było wszak zmienić ustawę prasową, gdyż i rozdawanie czasopism zaśmieca ulice, więc trzeba byłoby stoczyć walkę parlamentarną i z izbami handlowymi, i z syndykatem drukarni i całą prasą — i walkę może beznadziejną.

Zdawało się już, że nie ma sposobu uwolnienia stolicy Francyi od pokładu papierowego, no, i nie papierowego — gdy, naraz, rozległo się proste oświadczenie Prefekta policyi — od dnia 16-go stycznia roku 1912 nie wolno rzucać na drogach i miejscach publicznych żadnych papierów, odpadków



i t. p. — I, na skutek tego oświadczenia, od dnia 16-go stycznia, bez wzmocnionych straży, bez gwałtów, protokółów i aresztowań — lud paryzki poddał się przepisowi.

Miarą karności społecznej jest karność tłumu. Tłum francuzki, w życiu powszednim, wprost zdumiewać może obserwatora swoją kulturą i swoją musztrą. Tam, gdzie czterystu Polaków, Niemców, Rosyan, Włochów, Hiszpanów ciśnie się do okienka kasy kolejowej, teatralnej, tam czterystu Francuzów, bez straży, bez hałasu, wrzasku i tłoczenia się ustawia się we wstęgę i wyczekuje następstwa z całym spokojem i zaufaniem, że ten kto wcześniej przybył, ten wcześniej dotrze do celu. Gdzieindziej, jeżeli energia pachółków miejskich zdoła utrzymać tłoczących się w karbach, tam nie jest w stanie zapobiedz nadużyciom, niesłuszności... Bo oto oczom kaprała policyjnego ukazuje się generalski lampas, pułkownikie epolety czy „hofratski“ kapelusz... Więc szary tłum musi im dać pierwszeństwo, musi uczuć, że nie sprawiedliwość, lecz siła, dostojęństwo idzie na czele.

Przystanek tramwajów pod Mokotowem w Warszawie i przystanek tramwajów przy lasku Bulońskim. Tu i tam niedziela pogodnego dnia, tu i tam tysiące wyglądające wolnego miejsca. Nadjeżdża upragniony wóz pod Mokotów i już fala głów, pięści, ramion runęła doń. Tłok, wrzawa, żer dla złodziei, kłótnie — w wozie zasiadają zwycięzcy. — Nadjeżdża podobny wóz pod Lasek Buloński, grupują się ci, którzy mają najniższe numery. Konduk-



tor zapytuje flegmatycznie, na którym numerze poprzedni wóz się zatrzymał... i liczy spokojnie... Więc są numery?! — Są, wiszą pod latarnią, nie pilnowane przez nikogo. Co znaczy, że gdzieindziej, gdyby i były pilnowane, stały by się na poczekaniu artykułem handlu... Za opłatą kilkunastu centów, kopiejek lub fenigów można byłoby przybyć na stacyę ostatnim, a być pierwszym. We Francyi nikt z tłumu nie zdobyłby się na taką operacyę, nie ośmielił zdobyć.

W jednym z potwornie wielkich magazynów tłum kupujących. Sprzedawcy nie wiedzą kogo wpierv obsłużyć i wnet jawi się wstęga porządku z numerami.

Dzień święta narodowego, 14 lipca, dzień swobody niesłychanej. Wszystkie place, rozleglejsze skrzyżowania ulic zamieniono w sale tańca. Estrady, kramy, jarmarczne budy, karuzele co kroku. Muzykanci wędrowni, przekupnie, żebracy, akrobaci, śpiewacy, mogą, według woli, krążyć, zbierać uliczne audytorja. Na chodnikach stoły winiarzy. A wszędzie tłum rozbawiony, roz hulany... Francya tańczy tego dnia, swywoli, bawi się z całego serca i bawi godnie.

W tym dniu nawet pijak jest rzadkością, w tym dniu nawet dama, wytworniś, może nie tylko przechać się wśród tłumu, lecz w tłumie tym bawić się. Strusię pióra, błyszczący cylinder ociera się o wełniaki, czapki i chustki — od niegrzeczności bowiem chroni go tłum; — tłum strzeże miary i przystojności, dobry, ucywilizowany, francuzki tłum.

Dzień 14 lipca we Francyi, ten jeden tylko dzień starczyć może widzowi za traktat społecznego ładu.

Silniejszym, głębszym objawem karności francuzkiej były dni wrześniowe w roku ubiegłym, kiedy to, prowadzone z Niemcami, układy w sprawie Marokańskiej jeły się rwać, pękać, kiedy widmo wojny zawisło nad Francją. Czas był krytyczny. Panika ogarnęła giełdę berlińską. Bankructwa rujnowały Niemców. Szczęk oręża szedł od strony Renu. Krwawego porachunku spodziewano się lada godzina. Korpusy nadgraniczne stały w pogotowiu. Złoto, którego tyle Francya ma w obiegu, ginęło w oczach. Wojna stała u proga... Lud francuzki ani drgnął, nie objawił żadnego zdenerwowania, pracował, jak co dnia, jak co dnia się krzątał i milczał. Nigdzie okrzyku popłochu, nigdzie taniej przechwałki, nigdzie zatrwożenia. Lud francuzki milczał i czekał. Po raz niewiadomo który nie zląkł się obucha wojny.

I doprawdy trzeba silnego, tęgiego hartu ducha narodowego, by żyć w obliczu pruskich bagnetów, by żyć w niepewności jutra politycznego, by, od czterdziestu lat, borykać się z kolosem potęgi militarnej Niemiec. Cha, i w warunkach, gdy tak łatwo można by z tą potęgą do przymierza świętego bodaj dojść.

Dziwnie bo ułożył się stosunek Francyi do Niemiec. Pierwszej od drugich należy się odwet, zadośćuczynienie, ekwiwalent za przyczynione straty, za zagarnięte prowincye. Wojną tymczasem grożą drugie! Niemcy, zbogacone pięciu miliardami kontrabyucyi, utuczone Alzacyą i Lotaryngją, połączone

w Rzeszę, tryumfujące, laurami zwycięstwa okryte, jeszcze powalonego rade by dosięgnąć przeciwnika.

I oto Berlin jeży grzywę, już składa się do skoku, już dobywa miecza z pochwy i raptem łagodnieje, raptem na komplementy się zdobywa, uśmiecha przyjaźnie, szuka nad Sekwaną komitywy... Paryż nie spostrzega uśmiechu pojednania.

Następuje rozgwar wywodów, liczby, cyfry, matematyka polityczna sypie argumentami.

Cóż bo znaczy wąła Rzeczpospolita wobec Niemieckiego Cesarstwa, co jej rząd, skutny parlamentaryzmem, niepewny dnia, wobec rządu władcy Niemiec, wobec jego marsowej postaci, śmiałości rzutu, talentów i miłości swego ludu! Tu nieład, zamęt, brak głowy, brak decyzji, — a tu wszystko, wszystko „*Über Alles*“. Organizacya znakomita, żołnierz ufny, pierś lada porucznika, żądzą bohaterstwa dysząca, musztra, armaty, sztaby, fortece, pancerniki, mobilizacya gotowe, pewne chwały oręża. Wreszcie ilość — nie sama ilość karabinów, pułków, bataljonów, szwadronów, lecz poprostu rąk! Gdzie tu roić Francyi o mierzeniu się z takim zapaśnikiem, gdzie się tu łudzić?... Zgoda, szczerza, nieobłudna zgoda z Niemcami władną jest przeistoczyć nieprzyjaciela w sojusznika. I nieprzyjaciół chce, chce tej zgody — więc wybieraj, Francyo! — Wojna lub przymierze?

Rzeczpospolita nie odpowiada — sroma się i walki i zgody.

I, po nowym przestanku, nowem i daremnie

wyczekiwaniu Niemiec, — zaczynają się nowe pogroźki, nowe wytrząsania maczugą w stronę Rzeczpospolitej.

Tak dzieje się, z małemi przerwami, od Frankfurckiego traktatu. Jest to położenie, którego by nie przetrwało żadne państwo europejskie, każde bowiem państwo byłoby i oddawna zniewolone do wybrania między Scyllą i Charybdą, do rzucenia losu na szalę wojny, bądź do uściśnienia dłoni wroga.

Francya odrzuca i jedno i drugie, bo i tu i tam skrada się ku niej niebezpieczeństwo.

Niemcy, za warunek zgody z Rzeczpospolitą, mają wyłącznie prawie otwarcie giełdy paryskiej dla walorów germańskich, a tem samem zaprzęgnięcie kapitałów francuzkich do niemieckiego pługą pracy. Po za tem, nie będą mieli do sąsiadki pretensyi. Ekonomicznie Francya nie konkuruje z Niemcami. Przemysł niemiecki walczy głównie „kamlotem“ i „tandetą“, wyrobami niezbędnymi, maszynowemi i maszynami współzawodniczy głównie z Anglią, Ameryką północną — Francya jest dla Niemiec nawet rynkiem zbytku, spożywcą a nie współzawodnikiem. Więc Rzeczpospolita nie poniesie uszczerbku — kapitałom zaś jej będzie bezpieczniej w Lipsku, Hamburgu czy Wrocławiu niż w Tyflisie, Kijowie, lub aż w Brazylii.

Niemcy potrzebują na gwałt pieniędzy, pieniędzy im brak, brak złota, brak tej tylko dźwigni. Francya posiada jej do zbytku, nie wie, co począć z gromadzonem bogactwem, musi szukać ujścia dla niego za górami, lasami, oceanami!

Rzeczpospolita inaczej sądzi.

Niewątpliwie otwarcie giełdy paryzkiej dla walorów niemieckich byłoby ulgą dla Francyi. Ulgą, bo kłopot z roku na rok większy, co z pieniędzmi począć, bo i tak w kraju nie masz dla nich zadość miejsca. Ale, ale jedynym łańcuchem, trzymającym na wodzy potęgę germańską, jest niedostatek kapitałów, złota. Dla tego niedostatku Cesarstwo Niemieckie musi poskramiać swe wojownicze zapęły, nie może ziścić zaborczych planów, musi drżeć przed bankructwem, musi dławić się w ciasnocie. Niemcom otworzyć kredyt, dać im środki to znaczy podnieść stawidło, miarkujące rzekę, to znaczy wypuścić z klatki stado drapieżników, to znaczy oddać Europę na ich łaskę, to znaczy, dla Francyi, poddać się, zaniechać już nie samej idei odzyskania prowincyi, — ale i niepodległości i honoru.

I Francya jest głuchą na postulaty zgody tego autoramentu.

Ultimatum Niemiec przybiera coraz ostrzejsze kształty, bo droga do zawojowania świata idzie dla nich przez Paryż, *Drang nach Osten*, rozkwit kolonii, przyłączenie niemiecko-austriacko-szwajcarskich ziem, germańskie od morza do morza, stawienie czoła marynarce angielskiej, podbicie Danii, Hollandyi, Belgii, nawet polityka kolejowa w rodzaju bagdadzkiej, wszystko, wszystko zawisło od miliardów, od piwnic pancernych Francuzkiego Banku!

Czemuż Niemcy nie uderzą na ten bank? Cze-

muż tyle stanowczych momentów poniechali, czemu wahają się, cofają gotowe do wymarszu dywizye?!... Czy lękają się sprawniejszej artylerii francuskiej, aeroplanów francuskich, francuskich kirasyerów?! — Nie. Boją się tego, czego rachunek strategiczny nie zdolen jest objąć, boją siły duchowej narodu, boją jego karności...

Berlin wiwatuje z uciechy, gdy może ogłosić nowinę o buncie kompanii piechoty francuskiej, o dowodzie niesubordynacji, wykryciu anarchistycznej, antimilitarnej propagandy w koszarach Belfortu lub załodze Nancy. Berlin ciągle zwiastuje, że armia francuska nic nie jest warta, że zepsucie toczy ją, że liczba jej graniczy z wysiłkiem poboru bez wyboru, że dezercya wzrasta, nieprzyjaciół słabnie, wycieńcza się, maleje.

Berlin odurza się — lecz trzeźwieje, gdy przychodzi ostateczność. Ostateczności wzywa, wzdycha do niej i znów przed nią rejteruje.

Więc rejteruje przed karnością? Bez wątpienia. Karność bowiem Francuzów, od czasu pogromu, wręcz stała się groźną.

Lud francuski i jego armia nie pójdzie rabować sąsiada, odmówi niechybnie posłuszeństwa w wojnie rozbójniczej, nie napadnie: dla uniknięcia krwi rozlewu, gotów wyrzec się odwetu — ale zagród swych, ziemi swej, pól i siół bronić będzie do upadłego, bronić będzie z zapamiętaniem rozpacz człowieka, walczącego ze śmiercią.

Żołnierz niemiecki ginąć będzie dla tego, że mu każą, francuski żołnierz będzie ginął z poczucia



obowiązku. Żołnierz niemiecki, jak zawsze, ślepe posłuszeństwo wystawi do boju, francuzki żołnierz inicjatywę, wiarę w słuszność swej racyi. Żołnierz niemiecki bowiem spełnia rozkaz, bo rozkaz odebrał z ust oficera, kapitana, generała — żołnierz francuzki wykonywuje go dlatego, że go rozumie, że ufa znajomości wojskowej sztuki zwierzchnika. Niemcy pójdą na wojnę z kalkulacją, ze sztucznym sentymentem i fałszywą wiarą, że łupić sąsiada znaczy nieśmiertelnością okrywać sztandary narodowe, — Francuzi staną na wyłomie, staną zbrojni porywem, który rodzi gniew sprawiedliwy.

I Niemcy cofają się, nie przed rezultatem obliczeń, lecz przed tem, co się liczbą nie da ująć. Potworność liczby rzekomego wojska jest i tego wojska słabością. Kto przypuszcza, że Francya musi być pobita dlatego, że jej arytmetyka militarna podaje liczbę ogólną żołnierza *na cztery i pół miliona* (przy powołaniu pod broń wszystkich sił zapasu) — gdy arytmetyka niemiecka wykazuje, że i *pięć milionów* zmobilizować może — ten błądzi, ten nie czuje wojny współczesnej, ten hołduje utopijnym rozprawom, na temat, że odwaga osobista nic nie znaczy, wobec techniki walki nowożytnej i t. d.

Uruchomić można taką armię, którą można wyżywić i którą można sterować. Kto ma miljarady, ten, przy najlepszej gospodarce, ma jedności w procencie, kto ma tysiące, ten zdolny jest lichwiarskie ciągnąć zyski. Wojna europejska, lądowa wojna była i będzie zawsze rozprawą ludzi, stojących w szeregu,



a nie tych, którzy dopiero doń wezwani będą. Wojna nadto lądowa, europejska dzisiaj nie samemi pałazami czy mitraljezami się mierzy ale i stanem ekonomicznym, ilością nie samego zboża, obuwia, prochu czy melinitu ale i summą gotówki i ekonomiczną wytrzymałością i tężyzną cnót społeczno-państwowych.

Lecz o cnotach francuzkich się nie mówi. Francuz ma je za coś bardzo powszedniego i naturalnego — cudzoziemiec za niegodne zastanowienia.

Stąd, kiedy Francuz, wbrew egoizmowi polityki państwowej, ulega potrzebie zzucia butów, gdy wraca po północy, aby nie zakłócać spokoju sąsiadowi — gdy uświęcony ten obyczaj rad mieć w stosunku do państw, — jest mu to policzonem za brak patriotyzmu, za renegactwo. — Stąd, gdy przewaga opinii przyznaje słusność upominaniu się Niemców o datki za Marokko — i nie dla tego, by im się co należało, ale dla tego, że przeludnione państwo ma ludzkie prawo do ujęcia, do kolonizacji — jest to branem za tchórzostwo. Stąd, gdy, panująca nad Hiszpanją, Rzeczpospolita jednym uderzeniem w giełdę mogłaby powalić swą łącińską siostrzycę i podyktować jej warunki traktatu o marokkańskie wybrzeża — a nie czyni tego, szuka zgody, porozumienia — zwie się to bezwładnością. O ile zaś oderwany głos wyczuje, w odruchach zewnętrznych Francji, prąd ku legalności, ku poszanowaniu praw lokatorów, nie tylko tego samego domu ale i tego samego świata, głos taki ginie w alarmie o anarchii, która,

nawet już balet Wielkiej Opery paryzkiej zrewolucjonizowała!

Lecz zaiste to, co nazywa się anarchją we Francyi, i to, co, bez ironii i gry słów, — dręczy ją, osłabia, wycieńcza, szarpie zasługuje na pilne rozpatrzenie.

## WIDMA ANARCHII.

Zamęt wyobrażeń i jedyny punkt wyjścia. Ręka Wielkiego Wschodu Francyi.— Rzut wstecz.— Marya Antonina o masonach.— Pogląd Konwentu na pionierów Wielkiej Rewolucyi.— Za cesarstwa.— Zasady wolnomularstwa francuskiego i jego stosunek do religii a dalej do ustroju republikańskiego Francyi.— Wzajemność rządu.— Freycinet i Carnot.— Symbol trójkąta i liczby 33.— Architektura massońskich stopni.— Definicje.— Bonapartyzm i napoleonizm.— Konkurs Le Petit Parisien'a.— Dziedzice i ich rodowód.— Przebudzenie się lewka.— Hrabia Chambord i Hrabia Paryża.— Proces Orleanów i jego moralne następstwa. Filip VI i nowa era.— Kamloci króla i ich rozgoryczenie. Brak człowieka.— Naundorffiści.— Imię spodziewań.— Pobłażliwość władzy.— Bankructwo strejków.— Rewolucya socyalna.— Apostołowie anarchizmu.— Na progu walki.— Widma.



Jedynym punktem wyjścia z labiryntu wyobrażeń o anarchii, tworzącej podwaliny społeczne i polityczne Trzeciej Rzeczypospolitej jest zszeregowanie wszystkiego, co przez głos tej lub innej opinii za widmo anarchii we Francyi poczytanem zostało. Niewdzięczny to punkt wyjścia, zmuszony do łączenia odmiennych w istocie kwestyj, ale i nieodzowny, gdy bezstronność chce uniknąć partyjnego zabarwienia.

Francję współczesną dławi potwór massoneryi. Francyi grozi zamach stanu, bądź ze strony orleanistów bądź bonapartystów. Francję chłonie antymilitaryzm. Francya stoi nad przepaścią rewolucyi socyalnej. Francya jest na łasce przewodców zorganizowanych gromad robotniczych. Francję do upadku przywodzi giełda. Francya jest gniazdem anarchizmu.

Oto w streszczeniu wiązanka orzeczeń, dążących poszczególnie, i na modłę własnego światopoglądu, do ustalenia, że brak silnej władzy, nadużycie władzy czy obuch władzy, powolność dla wywrotowców czy gnębienie nowatorskich idei, uleganie kapitalizmowi czy lekceważenie tegoż, wstecznictwo czy zaślepiony liberalizm, republikańska skrajność czy republikańska wyrozumiałość prowadzą Francję współczesną do bezrządu, do zguby. Od tej zguby,

oczywiście zawsze według poszczególnej recepty — może Francję ocalić bądź Napoleon IV, bądź Hervé, bądź zmiążdżenie doszczętne wiary w Boga, bądź przywrócenie konkordatu, bądź ujarzmienie kapitału, bądź zburzenie Giełdy pracy — bądź biały terror, bądź fioletowy, bądź trójkolorowy, bądź tylko czerwony.

Ponieważ Rzeczpospolita na żaden z tych niezawodnych środków się dotąd nie zgodziła, więc, dla kilkunastu naraz prądów, ginie, więc, dla kilkunastu naraz obozów, więzy jej ustroju politycznego i społecznego rwą się, butwieją...

Lecz czyżby wszystkie te nawoływania ostrzegawcze należało pomówić o brak zastanowienia, czyżby bezwzględnie wszystkie te racje miały być krzykiem zacierzwienia, pozbawionym sensu alarmem?...

Zważmy.

Więc, nadewszystko, chór zwarty: — Rząd Francuski jest ciałem wykonawczem postanowień słynnego „Wielkiego Wschodu“... Nie parlament, nie głosowanie powszechne stanowi o losach Rzeczpospolitej, lecz tajny, nielegalny związek wolnomularzy. Massoni królują, oni tworzą oligarchję, oni są legionem możnowładzców, oni kierują arkanami polityki, oni ciemieją społeczeństwo, oni, na każdym jego odruchu, wyciskają swą groźną, kabalistyczną pieczęć.

Wolnomularze zabijają ducha narodowego, wolnomularze przeprowadzili rozdział Kościoła z państwem, wolnomularze burzą tradycję, wolnomularze... są nieskończoną przyczyną zła.

Ręka „Wielkiego Wschodu“ jest wszechmocną, adres jej pocztowy i telegraficzny „*Grand Orient de France 16, rue Cadet, Paris*“...

Na poparcie tych definicij można by zebrać całą bibliotekę dzieł i drugą bibliotekę na ich obalenie. Jedna tylko biblijografia pamfletów, rozpraw, pamiętników, dytyrambów czy ataków, dotyczących wolnomularstwa we Francyi, utworzyła by folją. Brak miejsca niewoli do ścisłości, do oparcia się na bezpośrednich źródłach. Źródłami temi zaś mogą być albo dokumenty historyczne albo własne, niedostępne dla laików, nieistniejące w handlu księgarskim, masońskie konstytucye, rytuały, roczniki, sprawozdania i regulaminy.

Wolnomularstwo francuzkie wywodzi się oficjalnie z prastarych czasów Egiptu i Grecyi;\*) rodowód jego mniej mytologiczny sięga roku 1773, roku, w którym Wielki Wschód Francyi zapoczątkował reformę masońskich statutów.

Wolnomularstwo owoczesne atoli bynajmniej nie wzbudzało niechęci dzisiejszej. Przeciwnie należenie doń było nawet dla dworaków Ludwika XVI. obowiązkiem mody. Nadobna pani Lamballe była wielkim mistrzem w jednej z łóż. A, dobrze informowana przez nią, królowa Marya Antonina zwierzała się sióstrze swej, Maryi Krystynie\*\*)

„Jestem przekonana, że nadto się przejmujesz wol-

\*) *Notice historique sur la Franc-Maçonnerie.*

*F. Cercueil. rééditée par la L. Les Vrais Amis. Compiègne. 6 rue des Martyrs, Paris.*

\*\*) *List z dnia 26 lutego 1781 roku.*



nomularstwem francuzkiem; nie ma ono bynajmniej tej doniosłości, co w innych krajach Europy, i dla tego, że wszyscy do niego należą; więc wiadomo, co się w niem dzieje. Gdzież za tem niebezpieczeństwo? Można by się niepokoić, gdyby szło o jakoweś tajne stowarzyszenie polityczne. Przeciwnie, sztuka rządzenia polega na sprzyjaniu rozwojowi (wolnomularstwa); w ten sposób jest ono tem, czem być powinno, towarzystwem dobroczynności i rozrywek: jedzą dużo, mówią i śpiewają — co właśnie skłoniło króla do powiedzenia, że ludzie, którzy śpiewają i piją, nie konspirują. Nie jest to żadne stowarzyszenie ateuszów, jak mi mówiono, Pan Bóg jest ciągle na wszystkich ustach; świadczy się wiele miłosiernych uczynków; wychowuje dzieci biednych lub zmarłych członków; wydaje za mąż ich córki, — nie ma nic złego w tem wszystkim. W tych dniach, księżna Lamballe została mianowaną wielką mistrzynią jednej z łóż. Rozpowiedziała mi mnóstwo pięknych rzeczy, które usłyszała — lecz, w rezultacie, daleko więcej wypróżniono kieliszków niż odśpiewano kupletów. W najbliższym czasie mają wyposażyć dwie dziewczyny. Z tem wszystkim jestem przekonaną, że można by, i bez tych wielkich ceremonii, dobrze czynić — ale trzeba każdemu pozostać wolę: byle czyniono dobrze — o resztę nie chodzi“.

Wbrew jednak pogodnemu zdaniu Maryi Antoniny, „*Grand Orient*“ mówi o sobie, „że wielkim celem \*) wolnomularstwa było przygotowanie epoce

---

\*) *Notice historique sur la Franc-Maçonnerie, jak wyżej.*

1789 (czyli wielkiej Rewolucyi) tysięcy obywateli zdolnych do objęcia urzędów władz państwowych, do utrwalenia zasad wolności, równości i braterstwa“.

Nie wdając się w polemiczne wywody, czy i o ile wolnomularstwo było szkołą pionierów Wielkiej Rewolucyi — należy stwierdzić, że Konwent miewał zgoła wrogie dla massonów dekrety a już loże prowincjonalne poczytywał wprost za niebezpieczne dla nowego ładu. Kosztowne wpisowe do łóż (jak w Bretanii, 120 liwrów), wysokie składki skupiały wogóle w organizacjach massońskich ludzi zamożnych, niechętnych najczęściej przewrotowi.

Naprzykład, Rada miasta Brestu, pod datą 24 prairial'a, drugiego roku (13 kwietnia 1794) powzięła następującą uchwałę:

„Rozpatrzywszy podanie, złożone przez członków, tworzących lożę massońską *„Montagne'a* a to celem otrzymania zezwolenia na zbieranie się w loży, zajmowanej przedtem przez *Towarzystwo Szczęśliwego Spotkania*;

Wysłuchawszy zdania urzędnika narodowego;

Rada postanowiła: przejść do porządku dziennego, ileż tajne stowarzyszenia nie mogą istnieć w Rzeczpospolitej“.\*)

Bardziej wyraziście brzmi rozkaz Le Carpentier'a wydany 7 floreala tegoż roku drugiego (26 kwietnia 1794) o zamknięciu, istniejącej w Dinan, loży *„Serdecznej przyjaźni“*\*\*)

\*) *Archiwum miejskie. Reg. de délibération.*

\*\*) *Archiwum des Côtes-du-Nord.*

„...Powiadomiony, że w gminie Dinan egzystuje jeszcze jedno z tych stowarzyszeń, znanych niegdy pod mianem wolnomularskich, w których odbywają się schadзки i tajemnicze orgje ;

Zważywszy, iż, bez względu na ducha, który ożywiał ongi stowarzyszenia massońskie, związki podobne nie mogą być tolerowanemi przez ustrój republikański, którego zasady wolności są dobrem powszechnem, nie potrzebującym, dla korzystania zeń, tajemniczych cieniów, oraz że obocześnie każde zgromadzenie się osobników, wyłamujących się z pod czujności publicznej, może jeno powiększyć podejrzenie w czasach, w których przekonania i uczynki obywateli muszą podlegać kontroli Rządu; —

Postanawiamy, aby istniejące jeszcze w Dinan stowarzyszenie wolnomularzy było natychmiast rozwiązaniem; zabraniamy formowania lub utrzymywania wszelkich tego rodzaju stowarzyszeń a to pod rygorem poczytania winnego na podejrzanego i traktowania go we właściwy sposób...”

A ponieważ, w owych czasach, człek podejrzany (suspect) stawał niemal u stóp gilotyny — więc rozkaz Le Carpentier’a nie miał dwuznaczných dla wolnomularstwa sentymentów.

Ale Carpentier nie był w zdaniu swem odosobnionym. Oto Garnier raportuje Komitetowi Bezpieczeństwa z Bordeaux, pod datą 24 messidora, drugiego roku (12 lipca 1794) że:

„istniały w Bordeaux \*) trzy łoże massońskie,

---

\*) *Archiwum narodowe, A. F. II. 179 et F. 7. 2822.*

lecz że wydał rozkazy i zamknął wszystkie te stowarzyszenia, do których ludzie, wyświeceni ze społeczeństwa pospolitego, się wcisnęli i w których, pod osłoną tajemnicy, malkontenci i rojaliści miejscowi odbywali niebezpieczne zebrania“.

Te dokumenty świadczą, że wolnomularstwu francuzkiemu bardzo rozmaicie się działo pod panowaniem Konwentu i że wogóle Wielka Rewolucya nie miała doń zaufania, jeżeli tacy dygnitarze, jak słynny Garnier de l' Aube i Le Carpentier nawet nie wspomnieli w swych nakazach, że są loże, w których dzieje się inaczej.

Jakoż, nie podlegający wątpliwości, okres rozkwitu massoneryi francuskiej przypada dopiero na rządy pierwszego cesarstwa, za czasów którego nastąpiło zlanie się wielu dyssydenckich łóż i uznanie przez wólnomularzy rytuału francuskiego zasad, tak zwanego, „dawniej przyjętego rytuału szkockiego“. A ponieważ głównym czynnikiem w tym razie był *Grand Orient de France* więc odtąd on zajął w wolnomularstwie francuskim istotnie dominujące stanowisko.

Stosunek wolnomularstwa do Napoleona był wcale nie dwuznacznym. — Napoleon, idąc za przykładem wielu monarchów ówczesnych, był sam wolnomularzem. Rok upadku pierwszego cesarstwa, rok 1815 — stwierdza że Wielki Wschód, łącznie z Federacją rytuału szkockiego — posiadali we Francyi 886 łóż i 337 kapituł wolnomularskich.

Od roku 1815 rozmaicie się działo wolnomularstwu francuzkiemu. Prześladowanie i nieufność

władz zmieniała się wielokrotnie w powolność i tolerancję. Rozłam wewnętrzny bądź rozpałał się, bądź gasł. Działalność i energja łóż już to społeczny przybierała kierunek, już to politycznym ulegała prądom, już to zasklepiąta się w czysto wolnomularskich debatach i spieraniach z odszczepieńcami massońskimi o znaczenie symbolów, wartość znaków i emblematów. Niekiedy życie massońskich środowisk wrzało zagadnieniami wszechludzkimi, niekiedy redukowało się do zwalczania „heretyckich” rytuałów, w rodzaju memfiskiego lub mizraimskiego.

Ale nie o dzieje wolnomularstwa francuskiego idzie, jeno o obecny jego wpływ na Rzeczpospolitą. I nawet nie wpływ całego wolnomularstwa francuzkiego, — lecz tego jego strasznego odłamu, który stoi zwarty pod sztandarem „*Wielkiego Kollegjum Obrządków Wielkiego Wschodu*”.

A więc celem Wielkiego Wschodu jest: \*)

„*Artykuł pierwszy*. Wolnomularstwo, jako instytucja wyłącznie filantropijna, filozoficzna i postępową ma za przedmiot szukanie prawdy, zgłębianie moralności i krzewienie solidarności; pracuje nad polepszeniem materyalnym i moralnym, doskonaleniem (umysłowem) i społecznem ludzkości. Zasadą jego jest wzajemna tolerancja, poszanowanie bliźnich i samego siebie i wolność zupełna sumie-

---

\*) *Grand Orient de France. Suprême Conseil pour la France et les possessions françaises. Constitutions et Règlement Général de la Federation. Paris Secrétariat Général. 1901. str. 7 i 8.*

nia. Uważając pojęcia metafizyczne za własność wyłączną osobistego sądu swoich członków, wolnomularstwo powstrzymuje się od wszelkich twierdzeń dogmatycznych.

Dewizą jego jest: wolność, równość i braterstwo“.

„*Artykuł drugi*. Wolnomularstwo ma obowiązek krzewić wśród ludzkości węzły braterskie, które łączą wolnomularzy i to na obszarze całego globu“.

„*Artykuł trzeci*. Wolnomularz ma obowiązek, w każdej okoliczności, pomagać, oświecać i popierać brata swego, nawet z narażeniem własnego życia oraz bronić go przed niesprawiedliwością“.

„*Artykuł czwarty*. Wolnomularstwo poczytuje pracę za zasadniczy obowiązek człowieka. Jednak szanuje pracę ręczną, jak i pracę umysłową“.

Tak brzmią dosłownie zasady, obowiązujące dzisiaj Świątynię Wielkiego Wschodu Francji. Z nich te ustępy, w danym razie wymagają baczenia, które stanowią przedmiot zarzutów o zgubnym wpływie massoneryi; a więc dotyczące stosunku *Grand Orient'u* do religii, w szczególności do Kościoła Rzymsko-katolickiego i do Państwa Francuzkiego.

Nasuwa się za tem konieczność wyłożenia punktów głównych konstytucyi wolnomularskiej; dania streszczonym postulatam szerszego wyrazu... Na szczęście, od tej zawsze śliskiej i niepewnej drogi, bronią własne i już wyraźne regulaminy, uchwały i cyrkularze Wielkiego Wschodu Francji.

Stosunek bowiem swój do religii W. W. F. określił wielokrotnie i to nadewszystko w ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat — a więc:



na Walnem zgromadzeniu, roku 1877, postanowił usunąć z artykułu drugiego konstytucyi następujące słowa „*Wolnomularstwo ma za podstawę istnienie Boga i nieśmiertelność duszy*“, przyczem orzekł: „zważywszy, że wolnomularstwo nie jest religią i że temsamem nie może w konstytucyi swej stwierdzać doktryn lub dogmatów, zebranie uchwała wniosek;“\*)

wykreślenie tych słów W. W. F. tak objaśnił w odezwie swej do łóż: „zmieniając jeden z artykułów swego statutu, W. W. F. nie zamierzał, jak by zdawać się mogło, sprzyjać krzewieniu ateizmu. Żadna zasada, przewodnia lub formuła massońska nie uległa zmianie. Wolnomularstwo francuzkie nie przestaje być takim, jakim było zawsze, braterskiem i tolerancyjnym wolnomularstwem. Szanując wyznanie wiary i przekonania polityczne swych adeptów, pozostawia każdemu z nich, w tych drażliwych zagadnieniach, wolność sumienia“.\*\*)

Począwszy od tej uchwały z roku 1877 — W. W. F. coraz wyraźniejsze zajmuje stanowisko względem religii.

„Regulamin generalny“, zatwierdzony przez Walne zgromadzenie 1885 \*\*\*), — zamieszcza na stronie

\*) *Assemblée gen. de 1877. B. p. 248.*

\*\*) *Conseil de l' Ordre du 24 novembre 1877, B. p. 382.*

\*\*\*) *Règlement Général du Grand Orient de France suprême conseil pour la France et les possessions francaises, voté par l' Assemblée générale dans sa session de 1885 (E. V.) Avec les modifications introduites par les Assemblées générales jusqu'au 21 septembre 1901. strony 174, 75.*



174 formułę testamentu dla wolnomularzy, *pragnących* zabezpieczyć sobie pogrzeb cywilny. Nadto formułę tę uzupełnia objaśnieniami, opartymi na prawie francuskim, z dnia 15 listopada 1887 roku, doradzając nawet groźbę wydziedziczenia spadkobierców, w razie, gdyby ci nadali pogrzebowi testatora charakter obrzędu religijnego.

Tenże regulamin, w § 159, dotyczącym pogrzebów, powiada, że „wolnomularze nie powinni stroić się w odznaki massońskie aż dopiero na cmentarzu i tylko, albo w razie zupełnej nieobecności kleru, albo dopiero po jego oddaleniu się“.

Dalej, odnośne rozkazy „Rady Zakonu“ W. W. F. i postanowienia walnych zgromadzeń, w porządku chronologicznym, orzekły:

„Aby przestąpić progi świątyń massońskich północno-amerykańskich, należy złożyć deistyczne wyznanie wiary. Zaządzano, aby Wielki Wschód zastosował się do tego obyczaju względem wolnomularzy amerykańskich, lecz nie tolerancyjne usposobienie naszych braci amerykańskich nie leży w naszym charakterze i nie odpowiada naszym zasadom — i dlatego też przyjmujemy ich, gdy do nas przybywają“ — bez wyznania wiary... (przypisek aut.)\*)

„Wzór testamentu, żądającego pogrzebu cywilnego będzie zamieszczanym w dodatkowej części Regulaminu generalnego“.\*\*)

\*) *Conseil de l' Ordre 28 października 1889 biuletyn str. 455.*

\*\*) *Uchwała walnego Zgromadzenia roku 1891.*

„Przystąpienie łóż massońskich do grup wolnomyślnych i zakładanie takich grup przez loże zostaje uchwalonem“. \*)

„Wzywa się loże Wielkiego Wschodu Francyi do sprzyjania i dopomagania rozwojowi stowarzyszeń wolnomyślnych, które uzupełniają i rozszerzają działalność wolnomularstwa, skierowaną ku zwalczaniu klerykalizmu“. \*\*)

„Formuła zobowiązania się, podpisywana przez członków Rady Zakonu, winna być osobista a nie zbiorowa a to w szczególności odnośnie pogrzebów cywilnych“. \*\*\*)

Tego rodzaju orzeczeń i wyjaśnień można by przytoczyć mnóstwo. Ale i tych starczy na ustalenie, że wolnomularstwo francuskie hołduje przede wszystkim zasadom wolnomyślnym, że, o ile u podstaw swoich ma pobłażliwość dla religii wogóle, o tyle u góry, na wyższych szczeblach wtajemniczenia, oświadcza się za bezwyznaniowością i otwarcie na zebraniu walnem (roku 1892) stwierdza swą „lutte“ (zapasy) z klerykalizmem.

Odmiernym, lecz równie szczerym, jest stosunek W. W. F. do państwa a właściwiej do republikańskiego ustroju.

Artykuł piętnasty konstytucyi W. W. F. mówi:

\*) *Postanowienie walnego Zgromadzenia roku 1892. biuletyn str. 322.*

\*\*) *Uchwała walnego Zgromadzenia roku 1892. biuletyn, str. 400.*

\*\*\*) *Uchw. walnego Zgromadzenia roku 1895 biuletyn str. 299.*

„Zabraniają się wszelkie rozprawy, dotyczące działalności władz cywilnych oraz wszelki udział wolnomularstwa w walkach partyi politycznych“. \*)

„O ile, jako obywatele, członkowie związku mają pełną swobodę akcji politycznej, o tyle, jako wolnomularze, powinni unikać mieszania imienia i sztandaru massońskiego do walk wyborczych i partyjnego współzawodnictwa“. \*\*)

„Zabrania się w lożach wszelkich zgromadzeń, mających za przedmiot dyskusję przedwyborczą“. \*\*\*)

„Wolnomularze, zarówno jako obywatele i jako massoni, mają prawo a nawet obowiązek zajmować się czynnie polityką; powinni podtrzymywać Rzeczpospolitą, ale powinni występować osobiście i nie zbiorowo, nie jako loże“. \*\*\*\*)

„Wobec cyrkularza Komitetu centralnego republikańskiego, żądającego przystąpienia doń i współdziałania loż związkowych, Rada postanawia odpowiedzieć ogólnie na zapytania, żądane lub mogące być zażądane przez tenże Komitet — że mnóstwo odcieni przekonań republikańskich i wolnomysłnych jest reprezentowanych w lożach; a więc administrator Zakonu, Rada, bez względu na osobiste sympatie swoich członków, ma obowiązek przypomnieć

\*) *Constitution et Règlement Général i t. d. jak wyżej, strona 12.*

\*\*) *Cyrkularz Rady z d. 12. X. 1887. biuletyn str. 849.*

\*\*\*) *Conseil de l' Ordre d. 12. IV. 1887 biul. str. 100.*

\*\*\*\*) *Conseil de l' Ordre d. 12. sierpnia 1889. biul. str. 391.*

massonom, że wszystko, co ich zbliża ku sobie i jednoczy, winno być wspieranem a wszystko to, co może, jeżeli nie rozdzielenie, to bodaj różnicę poglądów spowodować, winno być starannie pomijanem. Niechże massoni, w charakterze obywateli, przystępują do instytucji profanów, dążących do obrony Rzeczypospolitej i wolnomysłności, i niech każdy z nich zaciąga się do gromady, która najlepiej odpowiada temperamentowi i odcieniowi jego osobistych przekonań; Rada może to jeno pochwalać. Łoża atoli, jako taka, musi unikać nawet tego, co mogłoby dotknąć jednego bodaj jej członka, i trwać w zakresie badań zasadniczych, które nigdy nie urażają i które, przeciwnie, zbroją massonów przekonaniami i argumentami niezbędnymi do walki na zewnątrz“.\*)

Nie mniej wyraźne stanowisko W. W. F. do rządu cechuje wszystkie inne odezwy i wskazówki, adresowane do łóż. Brzmi w nich zawsze lojalność dla formy obecnej ustroju państwowego Francji, chęć wzmocnienia tej lojalności wśród massoństwa, jeżeli nie przez akty zbiorowe, to przez krzewienie i potęgowanie republikańskich zasad.

Rzeczpospolita odpłaca W. W. F. za ten jego nastrój tolerancją, przyzwoleniem. Wolnomularstwo francuzkie, choć, wobec prawa, jest nielegalnem, bo natura konstytucji massońskiej nie mieści się w odnośnych przepisach państwowych, korzysta z zupełnej powolności władz, przychylności bodaj.

---

\*) *Conseil de l' Ordre 17. grudnia 1894. biul. str. 447.*

Naprzykład, Rada Zakonu, w roku 1889, zwiastowała lożom następującą nowinę:

„Minister wojny oświadczył prezesowi Rady Zakonu, że cyrkularz, zabraniający oficerom, podoficerom i żołnierzom należenia do związków, nie aprobowanych przez ministra, nie miał na myśli wolnomularstwa; — minister był zniewolonym do wydania ogólnikowego cyrkularza, lecz nie sprzeciwia się bynajmniej, aby wojskowi przystępowali do massoneryi lub uczęszczali do loż, pod warunkiem atoli nie czynienia publicznych manifestacyi i nie zwracania na się uwagi prasy.“\*)

Tym ministrem wojny był Freycinet. Nie można jednak Freycineta poczytywać za wyjątkowo przyjaźnie usposobionego dla wolnomularstwa, bo oświadczenie jego nie jest oderwanem, bo miewało i miewa niezawodnie następców. Na poparcie słów, jeszcze i ten dokument.

„Podczas przedstawiania się delegacyi loż Orleanu i Blois prezydentowi Carnotowi, prezydent Rzeczypospolitej rzekł, iż jest wzruszony i wdzięczny za wyrażone mu uczucia i że dziękuje wolnomularstwu za jego usługi, oddane Rzeczypospolitej i wolności“.\*\*)

To łaskawe odezwanie się głowy Francyi do massonów, do związku, bądź co bądź, tajnego i nie legalnego jest znamieniem; — tak dalece znamieniem, że czempredzej należy przejść do najgłówniej-

\*) *Conseil de l' Ordre* dnia 25. III, 29. IV i 13. V r. 1889. *biuletyny* str. 32, 94 i 135.

\*\*) *Conseil de l' Ordre* 11 maj 1889. i *biul. str.* 121.

szego punktu, do kwestyi rządu w rządzie, do rze-  
komego wszechwładztwa Wielkiego Wschodu.

Symbol trójkąta, z liczbą 33 pośrodku, nie jest w istocie tak potężnym, jak głosi fama, nie jest, we Francyi dzisiejszej, mocniejszym niż był przed laty. Tajemniczość, niezwykłość godeł, sumiennie zachowywana dyskrecya, niedostępność zgromadzeń dla ciekawych laików oto główni sprzymierzeńcy pomienionej famy. Statystyka mówi wprawdzie, że wolnomularstwo liczyło, w roku 1814, — 886 łóży — gdy teraz posiada raptem łóży 337. Statystyka jednak nie zdolną jest zaćmić bujnej wyobraźni, upatrującej co kroku znaku massońskiego. Otwarte przyznawanie się W. W. F. do zwalczania religii i, przeprowadzony niedawno w Rzeczpospolitej, rozdział Kościoła z państwem wykrzesać musiały legendę, że rozdział był wyłącznie dziełem zastępów *Grand Orient'u*, wzmo-gły bajki i rozpowszechniły je.

Najwyższa Rada Zakonu nie ma do tych bajek pretensyi. Owszem, utrwalają one jej powagę, w tem niezawodniejszych karmach trzymają brać podwładną, ba, mnożą ją niechybnie, zbroją w cierpliwość wy-czekiwania na awans. Niekiedy przecież samych wolnomularzy wprowadzają w zdumienie...

Ustrój massoneryi zawiera trzydzieści trzy stopnie wtajemniczenia, które właściwie nie tylko stowarzy-szonych ale i loże same dzielą na rangi, na prze-bycie których latami trzeba się zasługiwać. Wieść, że dość na wolnomularza przystać, aby osiąść sta-nowisko, wpływ, protekcyę i. t. d. jest niezgodną z prawdą.



Paragraf ósmy konstytucyi massońskiej żąda od kandydata, aby posiadał już dostateczne i uczciwe środki egzystencji. Przypuśćmy wszakże, iż kandydatowi idzie o ogarnięcie szerszych horyzontów. Cóż go czeka? — Najpierw barani fartuszek terminatora, — który to fartuszek może być zmienionym, najwcześniej po ośmiu miesiącach, na tytuł czeladnika i, znów po ośmiu miesiącach, na godność majstra. Po dwóch latach, zatem przy absolutnej popularności w środowisku łoży, można osiągnąć trzeciego stopnia wolnomularskiej hierarchii. I dalej, zaledwie po trzech latach pozostawania w randze majstra, po oddaniu bezspornych przysług zakonowi, wolno roić o wejściu do kapituły, o zostaniu następnie kawalerem Czerwonego krzyża. Lecz znak kawalera Czerwonego krzyża jest już zgoła trudnym do zdobycia, choć dopiero ośmnasty stopień wyraża, choć dzieli go jeszcze czternaście gradusów od srogiego Kollegium Obrządków.

Sposobów na sforsowanie orlim rzutem tych stopni niema. Wolnomularz musi trwać w łoży, najbliższej swego miejsca zamieszkania, nie może łóż sobie wybierać, — w gnieździe swego wolnomularskiego poczęcia zniewolony jest wzrastać i pracować na doskonałość massońską. A że o stopniach doskonałości decydują wybory, zdanie starszyny, współzawodnictwo, wreszcie tajemnicze racje naczelnych urzędów więc następują one znacznie wolniej, niż zezwala regulamin. W połowie drogi na drabinie wolnomularstwa, człek przeciętny i siwieje



i umiera, umiera, nigdy nie dosięgnąwszy progu sali narad Wielkiego Kollegjum Obrządków.

Temu ładowi odpowiada ściśle istota zebrania, kapituł i rad „warsztatowych“ t. j. lożowych. Łoża przeciętna trwa w zakresie działalności czysto filantropijno - humanitarnej i doktrynersko - filozoficznej. Samopomoc i krzewienie moralno-wolnomyślnych zasad są głównym i jedynym przedmiotem jej pracy i działalności. Niejednolitość wykształcenia członków loży często i tę filozoficzną stronę i humanitarną ogranicza do przejawów bardzo prymitywnego jakobiństwa, w którym karność zastępuje przekonanie. Raz do roku, loża ma prawo wybrać delegata i, przez usta tego delegata, głosować na walnem zebraniu Wielkiego Wschodu. Jużci, nie trzeba nadmieniać, że delegat musi mieć kwalifikacye bardzo wybitne i cały szereg wolnomularskich szewronów. Pozatem, loża stoi zdala od wszystkiego, co się dzieje w Wielkiem Kollegjum. Więcej nawet. Symbol massońskiego trójkąta odpowiada architekturze konstytucyi. U dołu szeroka równina, a wyżej, im wyżej, tem mniej miejsca dla konfratrów, tem, nie w tajemniczenie ale, obowiązek tajemnicy większy.

Wpływ na rząd, na arkana władzy, nawet u wierzchołka, wynika z zasady, że człowiek zdobi miejsce. Nie dlatego masson francuzki został dygnitarzem, że go wypromował wolnomularski stopień kawalera *Kadosch* (hebr: święty) — lecz dlatego, że został dygnitarzem, snadniej dojdzie go i ta ranga wolnomularska trzydziestego stopnia. — Niechybnie, jeżeli,

nie w świątyni Wielkiego Wschodu, lecz w pierwszym lepszym klubie bulwarowym, dwóch lub trzech bywalców wypromuje się na ministrów, cała rzesza klubowców—towarzyszów urośnie chwilowo we wpływy, w możność obcowania z przedstawicielami rządu. Daleko atoli stąd do możliwości utrwalenia wpływów. Combes, choć opatrzony tytułem wielkiego mistrza massonów, również musiał się podać do dymisji dla braku, w pewnym momencie, większości izby, jak i Briand, który publicznie od wszelkiej łączności z wolnomularstwem był odsądzon.

Kollegjum W. W. F., starające się usilnie, aby je składali ludzie o bardzo wybitnych talentach, raz po raz liczy w swem gronie ludzi, których głos waży na szali — lecz jeszcze przepaść cała dzieli Kollegjum od przypisywanej mu potęgi.

Wolnomularstwo francuzkie jest republikańskiem i narodowem, jest wogóle, jako prąd i działalność, umoralniającem i tak dalece, że, gdyby nie to jego wrogie usposobienie dla Kościoła, gdyby nie dążność do bezwyznaniowości, do ideałów filozoficznej etyki — nie miało by i jednej tysięcznej części dzisiejszych przeciwników.

Trzecia Rzeczpospolita posiada wolnomularstwo, równie oddane swej ojczyźnie jak to, którego dostojnikiem jest Roosevelt lub jak to, którego oznaki posiada król angielski lub cesarz Wilhelm.

Rząd francuzki nie jest massońskim lecz, wzamian, wolnomularze są rządowcami. Niepokój o los Rzeczpospolitej może śmiało wykreślić z listy francuzkich

„klęsk“ zarówno Wielki Wschód, jak wszelkie inne odłamy massoneryi.

Ale i bonapartyzm i rojalizm, pod postaciami dziedziców praw Ludwika Filipa i Napoleona III, nie ma w sobie żadnej bezpośredniej grozy dla obecnego ładu republikańskiego. Nie ma jej najpierw dla racyi, przytoczonych wyżej a dowodzących, że nawet wrócenie tronu nie władnem jest zmienić tego, co utrwaliły lata, a powtóre nie ma grozy dla braku po temu sił.

Błędem przecież byłoby zaprzeczać istnienia szczerych chęci odnośnych stronnictw lub pomijać milczeniem ich wytrwale rewolucyjną akcyę. Obraz Francyi współczesnej byłby chybionym, gdyby mu brakło lilij burbońskich i napoleońskich orłów.

Z dwóch tych widm, rojących o berle, słabszem jest to, które uchodzi za silniejsze a więc bonapartyzm. Bonapartyzm utożsamiany bywa z napoleonizmem, który podotąd trwa i żyje wśród lwiej części narodu francuzkiego.

Trzecia Rzeczpospolita kocha, miłuje legendę napoleońską, lubi pielgrzymki odprawiać do grobowca Małego kaprała, wielbi epopeję, czci jej pola chwały i lubi dumać nad zmiennego losu ponurym wyrokiem.

Napoleonida ma, na Ziemi francuzkiej, nie ustający mir i urok. Wszystko, co słowem, dźwiękiem, rysunkiem, obrazem, strojem przypomina dzieje konsulatu, pierwszego cesarstwa, marszałków płocze bohdarki napoleońskich rycerzy, co uprzytomnia srogich gwardzistów, wątlých doboşów-dzieciuchów,

markietanek pocziwe zawadjactwo, kolumny nie-przebrane mrowia linjowego — wszystko to, podobną, zaznaje szczerzej popularności.

Daremnie sarkazm kwakerski, ultrarepublikanizm usiłował i usiłuje przekonać Francuzów, że nowożytny Cezar był klątwą, że tyle i tyle krwi utoczył Francyi, o tyle i tyle ją zubożył, o takie i takie nieszczęścia ją przyprawił. Wywody podobne nie znajdują posłuchu. Napoleonida nie da się zmódc ani liczbom, ani dokumentom, ani pamfletom, ani kalumniom. Jest przytem tak upartą, że niekiedy samych Francuzów umie zaskoczyć.

Przed kilku laty, najpopularniejszy z dzienników francuzkich, „*Le Petit Perisien*“, ogłosił konkurs na wyszczególnienie dziesięciu największych mężów Francyi, przeznaczając sute nagrody dla tych, którzy zdołają odgadnąć rezultat, t. j. nazwiska i porządek starszeństwa, przez plebliscyt ustanowionego.

Konkurs zdobył sobie olbrzymie powodzenie. Odpowiedzi przeszły liczbę stu tysięcy. — Wynik atoli osłupił redakcyę republikańsko-demokratycznego organu. Głosowanie orzekło, że największym mężem francuzkim był Napoleon. — „*Le Petit Parisien*“ wystraszył się i obwieścił, że... konkurs zdobył *Pasteur*!! Niezręczna ta zmiana, z uwagi na ograniczoną popularność, a to dla samej natury naukowych zasług wielkiego badacza, stała się tajemnicą poliszynela. Ta zamiana wszakże dowiodła, że i w samej Francyi napoleonizm za bonapartyzm bywa poczytywanym.

Tymczasem, napoleonizm jest raczej kulą u nogi niż dźwignią bonapartyzmu. Wartość rodowodu od genjusza wojny zrealizował Napoleon III. Błyskiem Solferina przypomniał Marengo, lecz łunami Sedanu zaćmił Waterloo. Upadek Napoleona I był tragedią jednego człowieka, człowieka, który narodził się i wyrósł na zgłiszczach wielkiej Rewolucyi; — upadek Napoleona III był dramatem kraju, rzuconego nieopatrznie w odmęt wojny, był upadkiem dynastyi.

Myśl, że ocali ją sentymentalizm dla nowego „orlątka“, udaremniła śmierć syna Napoleona III. Tak zwany, książę „Loulou“ pokusił się o wojskowe laury w służbie angielskiej i zginął. Nie tylko kule ale i pierwotne dzidy Zulusów nie sromały się już bonapartowego dosięgnąć potomka.

„Korona“ przeszła na dwóch ostatnich dziedziców napoleonidy, spadkobierców w prostej linii króla Hieronima: księcia Wiktora-Napoleona i Ludwika-Napoleona.

Pierwszy z nich, z tytułu starszeństwa, pretendent oficjalny do tronu francuzkiego, pozostał głuchym na tradycye wojskowe swego imienia i na krew Wiktora-Emanuela, którą po matce odebrał. Zasklepiony w gniazdku swem, usłanem dla pani Beauclair, „morganatycznie“ poślubionej przezeń, nadobnej włoszki, przez lata zdawał się być zajęтым produkowaniem i wychowywaniem potomstwa „półkrwi“. Mniej domowo usposobiony, książę Ludwik, szukał zasług wojskowych, zaciągnął się do armii rosyjskiej, wyszedł na generała porucznika i, przed paru laty, opuścił służbę.

Obocześnie, akcja polityczna pretendentów, a w szczególności księcia Wiktora, wlokła się ospale. *Pro honore* niby podtrzymywano stronnictwo, niby wydawano manifesty, niby czyniono coś, — w rzeczywistości, we włoskiem *dolce far niente* przeżywano spadek napoleoński.

Dla pełni obrazu, należy dodać, że do tego szczupłego grona ostatnich latorośli Korsykanki, Letycyi Ramolino, należała siostra książąt, Marya-Letycya, poślubiona wujowi swemu, księciu włoskiemu, Aoście; księżna Klotylda, matka; i zeszlę, w bólu swem macierzyńsko-wdowiem, w pysze swej cesarsko-neofickiej, widmo ex-imperatorowej Eugenii, ex panny Montijo, ex-piękności, ex-lwicy, ex-przyczyny ostatniego pogromu, ale widmo, pławiące się w górach złota, wywiezionych z Francyi zawczasu, na możliwej niewdzięczności poddanego ludu osłodę.

Aż, w chwili gdy bierność księcia Wiktora jęła mu skronie znaczyć siwizną, — pięćdziesięcioletni lewek przebudził się. Zagadano o małżeństwie z księżniczką Klementyną belgijską. Król Leopold II. odmówił zezwolenia, nie chcąc urazić swych serdecznych z Rzeczpospolitą relacyi. — Zezwolenie atoli usankcyonowała śmierć króla Leopolda, zdegradowanie księżniczki Klementyny z tytułu córki panującego na kuzynkę króla Alberta....

Książę Wiktor się ożenił, — zabawił się w historję Józefiny, bez powodu niepłodności pani de Beauclair; Rzym oczywiście zezwolił na wielożeństwo; pretendent rozpoczął drugą serję progenitury



i już takiej, która ma wstęp do gottajskiego almanachu.

I Bonapartyzm podniósł głowę. Podniósł ją dlatego, że księżę Wiktor ma za żonę królową i już całej krwi córkę, podniósł dlatego, że, inspiratorka odrodzenia ambicji napoleonidów, ex-Eugenja obiecała swe miliony, podniósł ją i dlatego, że nareszcie orleaniści za nadto panoszyć się zaczęli.

Idą tedy odezwy do narodu, spotęgowała się świetność wystąpień, ożywiła, w gromadce zwolenników, troskliwość o spopularyzowanie pretendenta — naród, jak przedtem, lubuje się podcieniami Malmaison'u, z dumą mierzy arkady Łuku Tryumfalnego, szuka śladu ręki Napoleona na pamiętnym stole, który był świadkiem przymusowej abdykacji — i wcale się pretendentem nie zajmuje.

Czyż jednak dla współczesnych napoleonidów nie ma żadnej nadziei? — Jest jedna i niezawodna i taż sama, która dotyczy Orleanów...

Rojaliści, od samego poczęcia Trzeciej Rzeczypospolitej, byli silniejsi, bo, już za Napoleona III, byli zorganizowani, bo upadek cesarstwa zastał ich w szeregach, bo upadek cesarstwa był im otuchą, zorzą ich królewskich lilij.

I tak bodaj było niezawodnie. Głowami dwóch gałęzi francuzkich Burbonów, pretendujących do korony Ludwika Świętego, był hrabia Chambord, wnuk Karola X, ostatni potomek z rodu Ludwika XIV — oraz Hrabia Paryża, wnuk Ludwika — Filipa, przedstawiciel pokolenia Orleanów, wywodzących się od brata Ludwika XIV, Filipa, i prawnuk Fili-



pa — Égalité, jedyne go śróo Burbonów stronnika i rzecznika wielkiej Rewolucyi.

Z dwóch tych kandydatów do tronu, hrabia Chambord miał za sobą przewagę praw i przewagę nawet podobno zalet charakteru. Pełne godności jego odezwania się wywierały wrażenie. W tworzącą się Rzeczpospolitą mało kto wierzył. Hrabia Chambord gwarantował manifestami ustroj konstyтуcyjny.

Wówczas to Hrabia Paryża zdobył się na krok niezmiernie zręczny — a mianowicie, doprowadził do fuzyi współzawodniczące partye legitymistyczne i uznał w Chambordzie jedyne go przedstawiciela rojalistycznego ustroju. Krok ten zdawał się decydować o powodzeniu. Upadek Thiersa zbliżył historyczny moment. Delegacya „większości“ Zgromadzenia Narodowego udała się do hrabiego Chamborda, proponując mu, aby zgodził się na program roku 1789 i trójkolorowy sztandar...

Hrabia Chambord odpowiedział listem z dnia 23 października (1873 rok), odpowiedział, jak mu niezawodnie cień „króla słońca“ dyktował, że zamierza wrócić do swego królestwa bez warunków i bez wyrzeczenia się białego sztandaru.

Oświadczenie to, według dziejopisów, pograżyło bezpowrotnie niezawodne zwycięstwo rojalizmu. Hrabia Chambord usiłował działać dalej ale już do jego śmierci (1883) nigdy nie powtórzyła się dlań tak sposobna chwila, jak ta, z której w 73 roku skorzystać nie umiał.

Hrabia Paryża jako, po zgonie hr. Chamborda, już niezawodny reprezentant królewsko francuzkiego ro-

du, — zabrał się do bardzo energicznej ale niezręcznej akcji, która spowodowała uchwalenie przez Izbę Deputowanych \*) banicyi wszystkich głów rodów, niegdy we Francyi panujących, i wszystkich ich pierworodnych potomków. A przedtem jeszcze zwróciła się przeciwko bratu Hrabi Paryża, księciu d' Aumal, i wykreśliła go z szeregów armii francuskiej.

Ale to jeszcze trzeba zapamiętać, że, w przeciwieństwie do hr. Chamborda, dla którego nawet polityczni przeciwnicy mieli zachowanie — Orleanów nie lubiano, Orleanom czyniono bardzo niepowседневne zarzuty.

Napoleon III, dokonawszy zamachu stanu \*\*) i przedzierzgnąwszy się z prezydenta drugiej Rzeczypospolitej w drugiego cesarza, swe porachunki z rodziną Ludwika — Filipa zakończył skonfiskowaniem jej wszystkich i olbrzymich majątków. Owóż, w roku 1872, w roku okrutnych ciężarów, które spadły na ogień i mieczem wyniszczoną Francję, w roku niedoli, klęski — Orleani wystąpili z procesem o powrót im dóbr. Odszkodowanie, należne Orleanom zeszło się, na porządku dziennym Zgromadzenia Narodowego, z kontrybucją wojenną. W roli wierzyciela i w chwili nieszczęścia jawili się ci, co mieli się być zbawcami zrujnowanej ojczyzny.

Zgromadzenie przyznało indemnizację \*\*\*), rzuciło Orleanom miliony — wróciło je w obliczu pruskich

\*) *Prawo z dnia 23 czerwca 1886 roku.*

\*\*) *2 grudnia 1851 roku.*

\*\*\*) *Uchwała Zgromadzenia Narodowego, dnia 23 grudnia 1872 roku.*

garnizonów, które jeszcze obozowały na Ziemi francuskiej, w obliczu niepewności jutra, presji rojalistowskich zastępów i obawy interwencji cudzoziemskiej.

Orleani utracili mir w takim stopniu, że nawet szeroki gest księcia d'Aumal, jego krezusowski zapis na cele Instytutu Francuskiego, nie uciszył niechęci ludu. Szanowano d'Aumala, wyłączono go z prawa banicyjnego, ale Orleanów nie lubiano.

Ostatnie lata pretendencji Hrabiego Paryża zaznaczyły się desperackimi wysiłkami, jak naprzykład, zadawaniem się z generałem Boulangerem i już beznadziejną walką z co dnia silniejszą Rzeczpospolitą.

Śmierć Hrabiego Paryża i wstąpienie na tron pretendenta, księcia Filipa VIII, dotąd kandydującego, narazie zaznaczyło się osłabieniem agitacji. Dopiero walka, na tle rozdziału Kościoła z Państwem, rozruszała znów nie pretendenta, ale jego stronników, wspartych teraz przez, otwarcie już przyznające się do rojalizmu, duchowieństwo.

Na bruku paryzkim liczbę rojalistycznie nastrojonych publikacyj powiększyła gorąca, namiętna *L'Action Française*, która z czasopisma wyrosła na organizację polityczną. „*L'Action*“ ma na celu\*), jak głosi ksiądz de Pascal, w rozrzucanych tysiącami odezwach, odbudowanie Francji w pełni praw i zasad, które tworzyły podstawę jej bytu historycznego; *L'Action* łączy się bezpośrednio (według

---

*Note sur l'Action Française. M. l'abbé de Pascal.*

księdza Pascala) już nietylko z rojalizmem ale encyklikami papieży Piusa IX i Piusa X, ma za przewodników nie samych dyrektorów „biura politycznego“ Filipa VIII, lecz nawet biskupów a za przyjaciół cały świat katolicki.

Obocześnie, na ulice prastarej Lutecyi, wystąpiły gromadki, tak zwanych, „*Camelots du Roi*“ — a więc, w dowolnym przekładzie żargonowej nazwy — krzykaczy, ogłaszaczy króla.

„Kamloci“ tego nowego autoramentu wzięli sobie za zadanie najpierw kolportaż wydawnictw rojalistowskich, dalej manifestację zarówno na rzecz króla, jak i przeciw Rzeczpospolitej.

„Kamloci królewscy“ narodzili się z żywiołu mającego najmniej danych do ulicznych zapasów, bo przeważnie z synów rodzin rojalistowskich, szlacheckich, potomków dawnych czy dzisiejszych dygnitarzy burbońskiego dworu, bo i pretendujący obecnie Filip VIII ma swoich szambelanów i mistrzów ceremonii. „Kamloci królewscy“ atoli zakasowali swych imienników, obwołujących gazetki: — a więc spowodowali kilkadziesiąt awantur, bijatyk i chryi, przysporzyli policji poprawczej setek spraw i dowiedli niezawodnie niezmiernych zdolności łobuzowskich. Ale i poszli dalej w zapale znieważania wszystkiego, co republikańskie. Ofiarami napadów czynnych stał się prezydent Fallières — a po nim Briand. Dygnitarzy Rzeczpospolitej usiłowano powalić kijami i pięściami, zelżyć i zohydzić tem samem w opinii ludu.

Opinia wszakże poszła we wręcz przeciwnym

kierunku. Usiłowania, które gdzieindziej zaliczonoby do zdrady stanu, — zaczęły ośmieszać Filipa VIII a, co więcej, mącić mu na dobre spokój brukselski.

Księżę Filip, choć późno, lecz wystąpił z potępieniem tak prowadzonej propagandy. W łonie rojalistów zapanował rozłam. Ci, którzy szczycili się odsiedzia-  
niami dniami kozy, podbitymi oczyma, opuchniętymi, w sporach o „króla“, policzkami, spłynęli goryczą.

Rojaliści, pomimo wszystko, są silniejszymi od bonapartystów. Silniejszymi może dzisiaj niż przed dziesięciu jeszcze laty. Kler opowiedział się za nimi stanowczo, a kler niełada umie być sprzymierzeńcem. Posiadają nadto szerokie wpływy, płynące ze związków i pokrewieństwa z wielu panującymi rodami. Burboni—Orleani, nie tylko przez pradziadów, wywodzą się z tego samego pnia, co Burbonowie hiszpańscy, parmeńscy i sycylijscy. Wielokrotne małżeństwa łączą ich bardzo bliskimi węzłami. Brak im atoli środków na zjednanie, pozyskanie ducha republikańskiego, brak nadto człowieka miary hrabiego Chamborda.

Filip VIII nie jest sokołem; po Burbonach wziął ochotę do przygód miłosnych, nie jest wzorowym mężem austriackiej arcyksiężniczki. Jego telegramy cyfrowane, nadsyłane z Brukselli, telegramy, podpisywane romantycznym imieniem Filiberta, nie tyle o losy królestwa się kłopotczą, nie tyle „poddanego“ ludu szczęściem się turbują, ile cielesnymi wygodami czarującej Dulcynei, lubiącej pasyami długie nad Sekwaną wakacje. Z tego zarówno śmiech w od-  
nośnem biurze ministerstwa spraw wewnętrznych,

skazanem na odczytywanie i niepolitycznych depesz pretendenta, ale i powódź komentarzy, nie podnoszących aureoli Filipa VIII.

Jakby naprzekór orleanistom, człowieka właśnie mają, tak zwani, naundorffiści, wyznawcy hipotezy, że Delfin, syn prawowity Ludwika XVI ocalał, że, pod imieniem Naundorffa, żył i doczekał się potomstwa i że spadkobiercą jedynym Burbonów jest nadewszystko Ludwik Karol de Bourbon — Naundorff, przemysłowiec, obywatel ze wszech miar godny, przy warsztacie pracy, wyglądający deputacyi ludu.

Naundorffiści tworzą we Francyi dość sporą gromadkę szczerych wyznawców „Ludwika XIX“. Akcja ich skupia się i ogranicza do przeprowadzenia do wodu legendy i uznania żyjącego Naundorffa przez władze francuzkie za niezawodnego Burbona. Ku temu usiłują i usiłowali pośrednio dojść, więc, na przykład, przez żądanie uznania Naundorffa za Francuza i nie na zasadzie przypisania go do obywatelstwa (Naundorff jest Holendrem), lecz na zasadzie powrócenia do obywatelskich praw. Starania i wyroki odnośnych trybunałów dały dotąd niepomyślny rezultat. Naundorff jest poczytywanym za samozwańca a raczej za potomka samozwańca. Niemniej legenda krzewi się, działa na wrażliwy sentymentalizm i z jedynywa sobie stronników. Naundorffiści są wrogo do orleanizmu usposobieni i nie tylko z uwagi na współzawodnictwo, lecz i na wywody o losach Delfina o istnieniu którego mieli wiedzieć i Ludwik XVIII i Karol X i wpływać rozmyślnie na ogłoszenie go



za szalbierza. Zresztą naundorfizm jest najmniej niebezpiecznym ze wszystkich odłamów idei monarchizmu.

Czyż jednak nie było lekkomyślnem orzeczenie, że ani bonapartyści [ani rojaliści nie przedstawiają żadnej bezpośredniej grozy dla obecnego ustroju republikańskiego?

Bynajmniej. Nadzieje rojalistów schodzą się z nadziejami i bonapartystów i całej skrajnej prawicy parlamentarnej, idą za jedno z rachubami tych wątpliwych rabusiów, którzy gotowi są do grabieży ale jeno w chwili, gdy pożoga nawiedzi miasteczko, gdy okrzyk „gore!“ sieje popłoch, gdy czujność bierzy na ratowanie dachu nad głową.

O przyszłości, o spodziewaniach apostołów berła zdecydować może polityczny kataklizm, pogrom, narzucenie innego ustroju przez zwycięskie mocarstwo — nigdy wolna i nieprzymuszona wola narodu francuzkiego.

Ach tak — westchnie w tem miejscu prawowity legitymista europejski — lud francuzki jest zatrutym hasłami socyal-rewolucjonizmu, lud francuzki jest wydan na zgrzyty Generalnego Związku Pracy, na pastwę anarchii; więc wolej siłą, przemocą ratować go od zagłady, niż poglądać na to, jak słaby, tchórzliwy rząd, dla płytkich, własnych korzyści, schlebia wywrotowcom, nie waży się stawić im czoła!

Niechybnie, niezawodnie wątplym musi być, zaiste, rząd, który znosi cierpliwie menerów w rodzaju p. Pataud, dyktatora od elektryczności, nie waży się tknąć syndykatów robotniczych, rząd, który nie ma



środków na uciszenie pomruków komunistycznych Giełdy pracy!

Ale niechże silniejszego, konsekwentniejszego rządu nie życzą sobie legitymiści, niech obłudnych nie szerzą biadań. Rząd Rzeczypospolitej przecież równą a może większą powolność objawia biegunowi przeciwnemu. Cóżby stę stało z czasopismami, wydawnictwami, wiecami, stowarzyszeniami, manifestantami, które, pod chorągwiami Bonapartów, Orleanów, nacyonalizmu lub katolicyzmu, głośno i otwarcie działają na podkopanie państwa, zniesławianie jego dostojników, niszczenie republikańskiego autorytetu? Któreż to mianowicie mocarstwo europejskie, amerykańskie, czy azjatyckie może, zniosło by, zezwoliło na tak daleko idącą swobodę, nie przekonań, lecz propagandy, lecz podburzania.

Prawica francuzka doprawdy na mniejsze zasługuje pobłażanie niż lewica. Pierwsza bowiem jest wrogiem nieubłaganym Rzeczypospolitej, druga jej synem wiernym jeno zbłąkanym, jeno szukającym kamienia filozoficznego dla bolączek społecznych, jeno dążącym do, na swój sposób pojmowanego, rozwoju, jeno utopistą i utopistą bardziej nieszczęśliwym niż niebezpiecznym.

To, tyle upragnione w innych krajach, uświadomienie mas ludu, obudzenie w nich poczucia obywatelskiego, we Francyi już się dokonało całkowicie. Dokonało się w warunkach, że otwarto im oczy na nowe, zakazane dla nich dotąd horyzonty, wpojono zasady równości, a więc rozniecono zwątpienie dla nagród pośmiertnych, dla tego, dlaczego lżej bie-

dnemu pasierbowi losu poglądać na bogacza, na, zrodzonego do pożywania, wybrańca.

W proletaryuszu francuzkim musiało zrodzić się pragnienie lepszych, znośniejszych, wręcz przyjemniejszych, warunków życia. Proletaryusz podwoił pracę i istotnie podwoił wartość swego „*bien être*“, jak dowiodły liczby jednego z poprzednich rozdziałów tej książki, i stanął u kresu tego, co tworzy mur chiński kapitału. Tu, u podnóża tego złowrogiego bastyonu, zaczęło się szamotanie, walka o zburzenie tej nowej Bastylii króla-złota.

Przyszła epoka na bezrobocia, zmowy robotnicze, samoobronę.

Zwycięstwa jednak, odnoszone przez proletaryuszów francuzkich, coraz pełniej okazywały swą nicłość. Podwyższenie płacy robotniczej stawało się mieczem na konsumenta i już nie ekwiwalentem dla kapitału, ale okazyją do lichwy. Gdzie wynagrodzenie robotnika podnosiło się o 10%, tam za podwyżkę płacił konsument i 15% i więcej. Drożyzna zwróciła się przeciwko zarobnikom, najpierw przeciwko klasie pracującej. Większa summa pieniędzy, którą proletaryusz odbierał, nie wyrównywała niekiedy obniżenia wartości pieniędzy.

Tak działo się i tak dzieje i nie tylko we Francyi. We Francyi wszakże musiało to wyraźniejszą objawić dążność do okiełzmania kapitalizmu.

Prastare „systemy“ czerwone odżyły. Trybunowie ludu wszelkiego pokroju uzbroili się w dociekania, głoszenia tego, co już w roku 1848 głoszone i lepiej i wymowniej.

Nowa krucjata pracy posłużyła znów za piedestał dla jednostek. Jednostki zdobywają popularność, sławę, wpływy, jednostki wyrastają na mówców, posłów, mężów — mrowie trwa w błędnem kole tych samych zagadnień.

Zagadnienia zaś te potęgują się. Wyzysk pracy ma bowiem nawet morza, które dotąd nie zdołały bluznąć falą protestu. Niedola proletariatu inteligentnego, skazanego w jednych tylko bankach na płacę kopaczy i na wymogi wszystkich społecznych przesądów o tem, co winno być ubraniem, pożywieniem, mieszkaniem i godnością urzędnika — przechodzi pojęcie. Zsyndykowanemu protestowi robotników wtóruje ten drugi, może sprawiedliwszy, głębszy.

Więc rewolucya — socyalna? — Nie. — Rewolucya socyalna najmniej w Europie zagraża Rzeczypospolitej. Francję broni od niej wrodzona skrzętność narodu, niezmiernie liczna drobna własność i drobny kapitał, mający miliony przedstawicieli.

Natomiast Francya stoi u proga wydania śmiertelnej walki wielkiemu kapitałowi i wzięcia na mundштuk nienasyconego apetytu Baalów giełdy, organizatorów trustów, pijawek pracy.

Oni to, ci potężni bankierzy, spekulanci, posiadający zdolność robienia milionów na artykułach pierwszego nawet użytku, oni, rujnujący matactwami giełdziarskimi tysiące kupców, przemysłowców, emerytów — oni są raną, która jątrzy, która płodzi anarchję, mnoży „herveistów“, która udaremnia postęp w kierunku sprawiedliwszego podziału bogactw.

Kalectwem Rzeczypospolitej, jej istotnem cierpie-

niem, ogniskiem anarchii i rewolucjonizmu są augurów w rodzaju Rothschilda, któremu nie dość do szczęścia rozległych włości, zamków, pałaców, jachtów, stajni wyścigowych, który obocznie musi mieć koleje żelazne, i fabryki i kopalnie i restauracje z gabinetami dla paniczów i góry fatałaszków dla ich dam i damulek w swoim magazynie i podwładne czasopisma, i teatry i tingle — a który, w chwili zgonu, w momencie obliczenia podatku testamentowego, ma na osłonę skarbów nietykalność gabinetu... jako generalny konsul austriacki w stolicy Francji.

Lecz imię prawdziwe Rothschilda brzmi legion chciwych, zachłannych plutokratów, miażdżących swemi milionami drobne przedsiębiorstwa, czyniących byt tysięcy rodzin igraszką swej fantazyi, dobrego humoru. Legion nienasycony, rzucający narodowi ochłapy filantropijne, legion, drwiący ze wszystkich haseł, — legion, gotowy nawet do udzielania zapomóg wywrotowcom, rewolucjonistom, legjon polipów, legjon pasożytów.

Prędzej czy później Francja musi rozprawić się z tą hydrą, musi wyżenać ze swych trzewi złotego solitera, który wycieńcza i w niwecz obraca pracowitość, zabiegliwość i oszczędność całego ludu.

Jak pocznie sobie francuzki prawodawca, jak zdoła osiągnąć padalca, trudno prorokować. To pewna, że i w tym kierunku przeznaczeniem Francji jest naprzód iść, rozbijać zawory, nie sobie tylko ale i światu torować drogę.

Więc niech zaniechają lamentów owi niezmor-

dowani przyjaciele Francyi, którzy biadają nad galijskim antipatryotyzmem, antimilitaryzmem, komunizmem i trzydziestu innemi „izmami“ i widmami obocześnie. Niech raczej sięgną do kart historii, niech ogarną, ilu to fałszywych czy obłąkanych proroków naród francuzki przeżył, przez jakie to ognie doktryn przeszedł.

Gdy w 1840, a więc siedemdziesiąt lat zgórą temu, Proudhon wołał *„la propriété, c'est le vol„* już miał wokół społeczeństwo ostrzelane, oswojone przez wielką rewolucyę, przez J. J. Rousseau, przez Voltaire'a, Jakóba Roux, Quesnay'a, Babeuf'a, Saint-Juste'a i tylu, tylu innych.

Naród fruncuzki nie jest i oddawna ludem błędnym, gotowym byle okrzyk poczytać dla się za zbawienie, za hasło do szalonego czynu, i nie jest również ludem zaśniedziałym, który każdy inny, nowy zwrot myśli ma za zbrodnię.

Powolność, pobłażliwość narodu francuzkiego dla utopistów, nowatorów wynika nie z jego słabości, lecz z jego mocy, i z pogody ducha, i z wiary, że nawet niezachwiane prawdy na manowcach się rodzą i z zaufania człowieka świadomego, iż dość mu rękę wyciągnąć, aby unicestwić przeciwnika.

---

## OBYCZAJE I NIEOBYCZAJE.

Radość życia. — Francuzkie „bon enfant“. — „Mimi“, „Toutout“ i „Cocotte“. — Król — naród. — Ferrer i Blériot. — Kwiat i piosnka. — Jour fixe jemioły. — Łatwowierność i kredyt. — Raj kamieniczników. — Właściwości handlu. — Stragany. — Uczciwi znalazcy. — Nikczemna służba. — Pogład na jaśniepanów. — Przegródka sprawiedliwości. — Nie-sypianie w domu. — Prawo zegarka. — Nieco o kuchni. — Wytyczne gościnności. — Zamiłowanie do wstążeczek. — Legja Honorowa. — Prasa. — Jej duch i nastrój. — Publicité. — Pogoń za sensacją.





Najbardziej charakterystycznym znamięm obyczajowości Francuzów jest radość życia, pogoda życia; radość szczerą, niewymuszona, niecąca werwę, ochotę do pracy, godząca z losem, dobra, zdrowa radość.

Wywodzi się ona o tyle z temperamentu wrodzonego, o ile z kamienia wywodzi się wieża Ś-go Jakóba. Wieki cywilizacyjnego rozwoju kształciły ten temperament, linje praw wytknęła mu filozofja, zmysł narodu te prawa utrwalił.

Francuz, wychodząc z domu, zamyka w nim nie tylko swój dobytek ruchomy przed złoczyńcą, ale i wszystkie smutki niemal, żale, gorycze przed obojętnem spojrzeniem intruza. Ledwie próg swego mieszkania przestąpił, już zaczyna oddychać życiem towarzyskiem, zbiorowem. Wita ukłonem, mijającego go na schodach, sąsiada, rzuca pełne humoru pozdrowienie srogiej *concièrge'ce*, a za chwilę, na pierwszym zakręcie ulicy, zaczyna wymianę ze znajomymi sakramentalnych, na wszystkich szczeblach społecznych tych samych, zapytań i odpowiedzi.

*Bonjour — comment ça va? — Merci, tout doucement et vous? — Ça va-t-il toujours? — Oui, pas mal. — Tant mieux.*

Bardziej zaokrąglony zwrot zdobi, okrasza nie-

kiedy formę tych dyalogów, treść atoli jest zawsze jedną. A więc powinny dowód pamięci, uśmiech przyjaźni, bez chęci usłyszenia wynurzeń i bez ochoty do wynurzeń; poprostu wstęp do rozmowy, do przedmiotu bądź wspólnej sprawy, bądź do ode-rwanego, ogólnego zupełnie tematu.

Francuz unika zwierzeń, nie roztacza przed przechodniem obrazu swej niedoli, nie zatruwa mu my-śli, nie dręczy swoją osobą. Natręta umie zbyć po mistrzowsku.

W rozmowie sroma się zgrzytów, nawet super-latywy gniewu, oburzenia i t. p. ma względnie umiar-kowane. Przyparty do muru, woli osłonić się tar-czą *m'en fichisme'u*, udanej obojętności, niż pójść na kraniec.

Towarzyskim jest niesłuchanie. W ciżbie, tłumie, gromadzie, nie wyodrębnia się, nie zasklepia w sko-rupie, lecz obcuje, — nie jest widzem milczącym, jeno pełnym życia aktorem.

W omnibusie, tramwaju, wagonie kolejowym, przy okienku biura pocztowego, w teatrze, na wyś-cigach, na ławce ogrodowej nawiązuje, przy lada sposobności, rozmowę swobodną, różną, zaprawioną humorem i urywa ją ukłonem, skinieniem, bez pre-tensyi, intencji uroczystego dobywania biletów wi-zytowych i t. p. ceremonii. Nie zna wcale ponurego „*Mahl-Zeit*“ — ale wzamian czuje się zawsze czę-stką nieodrodną zbiorowiska, w którym się znaj-duje. Z tego wiele rysów uprzejmości szczerzej, bo wynikającej ze zrozumienia własnego dobra.

Francuz ma wszystkie zalety prawdziwego *bon*

*enfant*. Jednem słowem można go sobie zniewolić, ułagodzić, skłonić do pojednania. Takie typowe francuskie „*voyons!*“ bywa rozejmem w najdrażliwszych sprawach. Francuz nie zna flegmatycznej zawziętości Niemca. Nie lubi się długo prawować, woli w ostateczności najlichszą zgodę. Perswazyi ulega z łatwością. W tym kierunku umie być niezrównanym.

Kronika gilotyny daje taki wzór. Przed paru laty, w momencie wyprowadzenia skazanego na śmierć z celi więziennej, — delikwent skorzystał z danej mu swobody ruchów i, wyrwawszy się z pośród czeladników kata, schował się pod stół... Był drabem siły niepośledniej. Wynikł więc przymus stoczenia walki ze skazańcem, walki wstrętnej i zjadłej. U stóp szafotu przedstawiciele władzy już czekali. Co począć? Wezwano co tchu mistrza Deiblera. Kat paryzki z całym spokojem podszedł do stołu i odezwał się dobrodusznie.

— *Mais lors donc, voyons, — on ne te fera pas du mal!*

I nieszczęsny zbrodzień, na ten odzew, wypełził z pod stołu i, bez protestu, dał głowę pod nóż.

Dobroduszość Francuza ma swój niezawodny wpływ nawet na jego zwierzęcych towarzyszków. Kot francuski nie ma za centima bojaźliwości swego północnego lub wschodniego pobratymca. Na chodniku najruchliwszej ulicy umie się wylegiwać i poglądać filozoficznie na krocie wymijających go nóg ludzkich. Z odwiecznym swym nieprzyjacielem, psem, żyje w jakimś przymierzu niezawodnem, nie jeży

się na jego widok, nie wysuwa pazurów, może dla tego, że sport szczucia mało ma tu zwolenników. Każdy prawie „*Mimi*“ francuzki garnie się do ręki człowieczej, pewny, że mu się krzywda nie stanie.

Również pokojowo usposobionym jest pies, który, dla pana swego, zwie się Medorem, Markizem czy Sułtanką, lecz, dla ogółu, jest *Toutou*, mającym prawo co kroku do kawałka cukru, chleba, miski wody, ochłapa kości. Jakoż *Toutou*, za byle ozwaniem, wymachuje ogonem takt przyjaźni. Nieprzystępności, podejrzliwości dopiero uczyć trzeba psa francuzkiego. A ponieważ i nauka nie dostatecznie przeciwdziała wpływowi otoczenia, — więc, kto we Francyi chce mieć zwierzę, zaprawione do warczenia, rzucania się na ludzi, ten sprowadza sobie psa niemieckiego.

Brak bojaźliwości, ufność do człowieka nawet pierzastych sięga domowników. Małomózgie kury, w skromnej robotniczej zagrodzie francuzkiej, przeistaczają się w obłaskawione, pewne siebie szpaki. Koń w całej pełni swej pocziwości chodzi i to w warunkach, że mu się źle dzieje, w szczególności w Paryżu i dorożkarskim zaprzęgu. Przemysł zmonopolizował w ręku towarzystw akcyjnych lokomocyę miejską. Dawny woźnica, mający za sposób do życia własnego konia i własny wehikuł ginie, zastępuje go najemnik-stangret. Ginie więc i dobrze utrzymana, łagodna, zmyślna „*cocotte*“. Koń wielkomiejski zamienia się w znękaną, zapracowaną szkapę, niewoloną jeszcze do dotrzymywania placu samochodom. Wzamian o wiele lepiej ma się koń

pociągowy, ciężarowy. Dbłość tu wielka i o siły i czystość rasy. Po sześć, ośm i dwanaście naraz olbrzymich, masykarnych ogierów — normandów lub perszeronów można oglądać w jednym zaprzęgu, powodowanym głosem jednego człowieka. Bo i to wypada zaznaczyć, że Francuzi mają zupełnie różny pogląd na temperament ogierów i nie produkują niemal wałachów. Ogier nie jest postrachem stajni, nie jest trzymany na ośmiu łańcuchach. Zachowuje się równie bez zarzutu, jak żeńska jego siostrzyca, czy bohanka.

Francuz ma istny dar bawienia się i bawienia się, rzecz można, byle czem. Nie wymaga skomplikowanych środków podniecenia, nosi je w usposobieniu wesołem, w niewyczerpanym humorze. Nie jest sensatem, nie tworzy grup, które wyodrębniają się od młodzieży, stronią od bab, podczas pustoty dzielą Europę na kawałki lub mówią o tem, czego inni tuż zrozumieć nie mogą. Francuz dostraja się do otoczenia. Śmieje szczerze, żart żartem odparowywa. Jest wyśmienitym kompanem, najlepiej bawiącym się widzem i słuchaczem. Posiada wielką sztukę niewolenia mózgu do spoczynku.

Ale ten dobroduszny, wesoły, niefrasobliwy, obojętność symulujący, Francuz ulega zupełnemu przeistoczeniu, gdy występuje, jako tłum, gdy zamienia się w atom duszy zbiorowej. Wrażliwość, uczuciowość jego zaostrażają się, porywczosć wzrasta, myśl społeczna unosi, egoizm ginie. Bez sztucznych podnieceń, bez konspiracyj, bez przygotowań, z płochego, pogodnego mrowia skromnych panów Durandów

i Dupontów dobywa się naród, naród się wypowiada.

Przybywa nad Sekwanę wiadomość o straceniu w Hiszpanii anarchisty Ferrera, bez sądu. I oto dzieje się rzecz niepojęta. Krocie a nie tysiące paryżan wylegają na ulice, krocie dążą przed ambasadę hiszpańską protestować...

Czy ujmować się za anarchistą? czy bronić wątpliwej wartości człowieka? — czy godzić w klerykalizm?! — Nigdy! Tych pobudek nie miały krocie paryżan, te pobudki są rozmyślnym fałszem pajaców opinii europejskiej.

Lud paryżki dźwignął się przeciwko gwałtowi, sprawiedliwości zadanemu, przeciwko odmówieniu przestępcy prawa obrony, przeciwko niegodziwości publicznej, popełnionej tuż, o kilka godzin od granicy francuskiej. Lud paryżki stał w godzinie tej poza rachubami tej lub innej partii. Nie zgon Ferrera, nie rozstrzelanie Ferrera go oburzyło, lecz mord, dokonany przez władze ościennego i konstytucyjnego mocarstwa.

Kroci tych nikt nie zwoływał, — bo i nikt nie zwoływał ich, gdy Blériot wracał z wyprawy swej napowietrznej przez *La Manche*, i nikt nie pouczał, jakie powitanie należy się temu, który imię francuskie wawrzynem opromienił, który genjuszowi narodowemu nowy indygenat zdobył. Lud paryżki, francuski lud umie nagradzać, umie wypowiadać się, umie słowo królewskie objawiać.

Kwiat i piosenka są nieodzownymi potrzebami życia Francuzów. Piosenka, jako ujście dla pustoty,



smutku, żartu, satyry i jako pokrzepienie serca, wzmocnienie, otucha. Kwiat, zarówno w roli hołdu, czci, pamięci, dziękczynienia, miłości, jak i w roli uśmiechu natury, rzecznika jej piękna, ozdoby naj-milszej.

Piosenka dźwięczy co kroku, co moment się rozlega. Wtórzyje pracy, swywoli, zadumie, wesołości, bólowi. Ma tysiące odcieni, i wszystkimi naraz odcieniami gra, rozbrzmiewa. Nie milknie nigdy, nigdy nie traci związku z życiem. Przekuwa na melodye każde jego uderzenie pulsu.

Piosenka francuzka jest znaną Europie jedynie z tej części swojej, która zagranicę nadewszystko pociąga, a więc z tego, co w piosence jest rozhułaniem, podkasaniem, sprośnością. Tony zaś jej poważne, rzewne, tony, będące doniosłym czynnikiem społecznym Francyi, te tony nie istnieją dla zagranicy.

Kwiaty większym jeszcze, niż piosenka, cieszą się kultem. Pałac czy dworek, mieszkanie zasobne czy ubogie, buduar damy czy poddasze służebnej nie mogą bez nich się obejść. Hoduje kwiaty, zabiega o nie i bogacz, i rentjer, i fermer i wieśniak. Robotnicza osada w pieczy o swe maleńkie ogródki, ukochane grządki, krzaczki idzie w zawody z wielko-pańskim letniskiem, gdzie sznury zbytkownych willi toną wśród kwietników.

Paryż przoduje temu kultowi. Każda dzielnica ma dwa razy w tygodniu swój targ na kwiaty, każda ulica swoje wózki kwiaciarek, i swoje kioski z kwiatami i swoje sklepy ogrodnicze.



Istne góry kwiecia, lasy roślin przeróżnych chłonie co dnia Paryż i o każdej porze roku. Zmienia się jeno rodzaj, ziemię wyręcza cieplarnia, cieplarnię transport z południa — kwiaty nie nikną ani na godzinę.

Kwiatów domagają się obyczaje religijne, więc i palmowa niedziela i pierwsza komunja i chrzest, i ślub i pogrzeb. Kwiatów żądają towarzyskie stosunki i nie wielkoświatowe, lecz zwykłe, pospolite, skromne. Bez kwiatów nie może być powinszowania, obiadu, przyjęcia. Fury kwiatów na Nowy-Rok, wagony na każdą zabawę publiczną. Kwiaty muszą być i na stole restauracyi i na stoliczku podrzędniejszej garkuchni, i na ołtarzu i na mogile. Pierwszy maja jest we Francyi świętem nie tylko robotniczem, lecz nadewszystko świętem konwalii. — *Qui n'a pas son muguet!?* — wołają na prześcigi gromady przekupniów — każdy musi mieć swój bukiecik konwalii.

Ale nie same kwiaty zażywają we Francyi miru. Francuz miłuje przyrodę, więc i dla jej pasierbów bodaj ma kącik serdeczny. Świerk, tatarak, pęki krzewów przeróżnych, korale jarzębiny wszystko to rad oglądać w swych komnatach. Choć sobie pasażerka jemiola a ma swój „*jour fixe*“ popularności na Boże Narodzenie. Trzeba mieć u siebie pęk jemioli, zawieszony pod sufitem i przez cały rok, aż do Bożego Narodzenia. Jemiola przynosi szczęście równie, jak palma, a może większe. O ile atoli ważył by się kto odmówić tych zalet jemioli lub palmie — musi je przyznać ogółowi francuzkiego kultu dla kwiatów.

Kto miłuje kwiaty, kto je ma za nieodzowną dla się potrzebę każdego wytchnienia, każdej uroczystej chwili życia, ten nie dał się zagarnąć szarzyźnie materialnego bytu, ten odczuwa piękno, ten zachował nieskalanym pierwiastek poezyi, ten bliższym jest tego, co się nazywa szczęściem.

Ufność Francuza do ludzi graniczy z łatwowiernością; stokroć razy oszukany, zwiedziony, wyprowadzony w pole, jeszcze da się otumanić po raz setny i pierwszy. Ta ufność ma doniosły wpływ na stosunki kredytowe. W życiu codziennem, o odpowiedzialności materialnej pożyczającego, biorącego na kredyt rozstrzyga stróżka domu, a *respective* kwit z opłaconego komornego. Kto komorne płaci regularnie, kto pozostaje z Cerberką swoją na stopie pokojowej, co zresztą nie jest rzeczą trudną ani kosztowną, ten ma kredyt wszędzie, nawet tam, gdzie kredytu nie dają. Posłańcowi z najparadniej-szego magazynu wystarcza zapewnienie stróżki, że może paczkę zostawić. Z rachunkiem zjawia się po tygodniu, miesiącu, — odprawiony, wraca znów po sześciu tygodniach. Oczywiście, w relacjach handlowych, przemysłowych, w konjunkturach, gdzie występuje tytuł własności, odpowiedzialność majątkowa, kredyt jest jeszcze więcej uproszczonym.

Nigdzie łatwiej nie można zaciągać długów, żyć na kredyt, jak we Francyi. Nawet codzienne przykłady oszustw, popełnianych przez cudzoziemców, nie zaostrzyły dotąd rygorów choćby przeciwko nim wyłącznie. Ten sam jubiler, z tej samej ulicy *de la Paix*, czy ten sam krawiec, wyprowadzony w pole

przez rzezimieszka, udającego zamorskiego księcia, dygnitarza, magnata, znów daje się ocyganić kubek w kubek podobnemu rzezimieszkowi.

Wzamian Francuz jest zarówno skrupulatnym w zaciąganiu długów, jak i ich płaceniu. Dotrzymuje już nie terminów wekslowych ale i ustnych zobowiązań. Ideałem jego jest dążność do unikania kredytu, dó kupowania wyłącznie za gotówkę. A ponieważ, w codziennem życiu, miarą odpowiedzialności, reputacyi, jest płacenie komornego, więc stąd zaiste Francję można by nazwać rajem właścicieli domu. Silniej bowiem od klauzul wynajmu, od prawa zabezpiecza ich obyczaj.

Czynsz mieszkaniowy jest nieubłagany i wierzy-  
cielem.

Nie ma kwartału, aby rubryka wypadków nie zanotowała samobójstwa z powodu niemożności uiszczenia komornego. I cała manipulacya administracyi domu jest niesłychanie uproszczoną. Brak obowiązków meldunkowych, ciężarów utrzymywania służby ulicznej, wreszcie zupełna niezawisłość od policyi sprawia, że zarząd kamienicy polega najczęściej, na jednej jedynej stróżce a właściwie odzwiernej. Można i dziesięć lat mieszkać w jednym i tym samym domu w Paryżu i nigdy właściciela kamienicy nie oglądać. Co tem łatwiej przychodzi, że właściciel z zasady prawie, mieszka zdala od swoich lokatorów. Popularny gdzieindziej typ „pana gospodarza“, królującego od rana do wieczora na swem dziedzictwie, nie istnieje we Francyi. Dobrą komitwę wzajemną reguluje niechęć lokatorów do zmie-

niania mieszkań i niechęć właściciela do zmieniania lokatorów. Stąd, za wyjątkiem punktów wielkomiej-  
skich, które z natury swego położenia skazane są  
na licytację, i za wyjątkiem szczególnych wyzyski-  
waczy, ogół właścicieli domu podwyższa komorne  
dopiero w chwili, gdy lokator opuszcza mieszkanie.  
Wynika z tego pewnik, że im dłużej, kto ten sam  
lokal zajmuje, tem taniej płaci. Lokatorzy, którzy  
w Paryżu, po trzydziestu latach, płacą komorne te  
same, nie należą w Paryżu wcale do osobliwości,  
bo i zmiana właściciela nie zawsze ośmiela się  
uchybić przywilejom dawnego lokatora. W razach,  
kiedy drożyzna wprost zmusza kamienicznika do  
podwyżki, — jeszcze działa porozumienie. Dłu-  
goletni lokator zyskuje duże ustępstwo. Do nieoby-  
czaj natomiast trzeba zaliczyć paryzką specjalnie  
dążność do nie wynajmowania mieszkań zbyt licz-  
nym rodzinom. Nieletnia zwłaszcza dziatwa uważana  
jest i za czynnik, zakłócający spokój kamienicy,  
i za pierwiastek, niszczący mieszkania, więc wogóle  
niepożądany. W bardzo wielu domach paryzkich  
kwestya dzieci, przy najmie, decyduje na niekorzyść  
ojca rodziny. Opinia francuzka coraz silniej na ten  
nieobyczaj reaguje i jest nadzieja, że go unicestwić  
zdoła.

Skrupulatność Francuza w dotrzymywaniu zo-  
bowiązań — wynika z jego uczciwości niezaprzeczo-  
nej. Dokumentów uczciwości pełno i nieznanym  
w innych krajach.

Handel francuzki nie zna targów, nie rozumie  
się na sztuce wyzyskiwania nieświadomości klijenta.

Sklep jubilerski, czy przekupień, ciągnący swój towar na wózk, straganiarka czy magazym, buchający potokiem elektryczności, zaopatruje wszystkie przedmioty w ceny widoczne i cen tych strzeże bezwzględnie. Konkurencyja sama przez się je normuje, trzyma na wodzy — dogadywanie, wykrzykiwanie nic nie wskóra. Nabywca wielkiej partii danego artykułu może, bez targowania się, liczyć na odpowiedni procent, detalista płaci cenę wskazaną. I napływowy żywiół, w rodzaju choćby tak celującego w kramarskich sztuczkach, jak włoski, nie zdołał handlu francuzkiego pozbawić tej cechy godności. Arab, obwożący po ulicach i drogach Francyi swe tkaniny, *lazzarone*, szukający na bulwarach amatora na gipsowe figurki, — są przedmiotem żartów — bo to, za co żądali franka, ofiarują za sous'a. Wogóle system oznaczania cen przesadzonych, polowanie na dobroduszość kupującego krzewi się we Francyi jedynie wśród kramarstwa, graniczącego z oszustwem.

Nie ma w handlu francuzkim i załapania klienta, wmówienia weń tego, czego nie miał zamiaru nabyć. Należność można zawsze regulować w domu, po, ponownem i zdala od sugestyi kupieckiej, obejrzaniu i zastanowieniu się. Nabyty towar można zawsze, przed zapłaceniem, odrzucić, a po zapłaceniu, odmienić. Im poważniejszy magazyn, tem większa łatwość w tym razie.

Handel francuzki ma właściwość wylegania na ulice. Gdzie jeno rygor zakazu policyjnego nie broni, a rygorów w tym sensie jest aż za mało — tam

kupiec przed sklepem urządza stragan uliczny. Paryż i nie Paryż ma całe kilometry tych straganów, na których, pod ręką przechodni, leżą stosy przeróżnego towaru. Stosy te można swobodnie oglądać, rozpatrywać, wertować książki, bez obowiązku kupna, badać wartość przedmiotu, bez myśli o dokonaniu transakcyi. Ponieważ zaś podobne stragany utrzymują i najprzedniejsze firmy i w najruchliwszych punktach miast, więc łatwo sobie wystawić, że tłumy je oblegają i, że, pomimo wszelkiej czujności kupczyków, na licha by się ona zdała, gdyby dobytku nie broniła uczciwość ludu. Ilość kradzieży ze straganów, w stosunku do łatwości jej dokonania, jest minimalną.

Wymowniejszym argumentem uczciwości Francuzów jest statystyka zgubionych przedmiotów. By ją docenić, należy pamiętać, że prawo francuzkie nie zna przywilejów znaleźnego \*). Człowiek, który znalazł cośkolwiek, ma obowiązek odnieść to coś do najbliższego urzędu miejskiego lub policyjnego, inaczej jest, w myśl artykułu 401 kodeksu karnego, przywłaszczycielem, złodziejem poprostu. Dopiero po trzech latach, gdy nikt się nie zgłosi po zgubioną rzecz, — znalazca ma do niej tytuł. A za tem prawo francuzkie nie zapewnia „uczciwemu“ znalazcy nagrody, wyklucza kategorycznie wszelką pretenzyę do procentu, stawia go pod pręgierzem ko-

---

\*) *Prawo duńskie, na przykład, daje znalazcy  $\frac{1}{3}$  wartości przedmiotu.*



deksu, skazuje na przymus odprawienia żmudnej pielgrzymki do biura władzy.

Pomimo te mało zachęcające warunki, przykładów uczciwości, powrócenia właścicielowi dobrze wyładowanych pugilaresów, portmonetek i to przez ludzi ubogich, zwykłych proletaryuszów, mnóstwo. Obrachunek dokładny wykazuje wprost bajeczne liczby.

Jedna Prefektura paryzka \*), w jednym tylko roku 1904 (wcześniejszej statystyki jeszcze nie ma), otrzymała od znalazców **73.441** przedmiotów. Z czego, odliczywszy przedmioty, znalezione w omnibusach, dorożkach, tramwajach, wagonach kolei podziemnej czyli, nie biorąc w rachubę uczciwości konduktorów, stangretów i t. p. funkcjonaryuszów, — pozostanie jeszcze olbrzymia summa 24.090 przedmiotów, znalezionych na drogach publicznych, w ogrodach i t. d. Ten sam obrachunek stwierdza, że 26.281 przedmiotów powrócono właścicielom — oraz że<sup>1</sup> złożono o 21.365 więcej przedmiotów znalezionych niż zareklamowano zgubionych... w jednym roku jednego Paryża.

Francuz, przy swojej wielkiej oszczędności, skąpstwie często, nie jest chciwym; dla pieniędzy nie poświęci swej godności nawet tam, gdzie sam rodzaj zajęcia skazuje go na kompromis. I dlatego we Francyi napróżno by szukał kto owych zastępów niewolniczo-karnych i sprawnych sług, któ-

---

\*) *Annuaire statistique de la Ville de Paris. XXVI Année — 1905 et principaux renseignements pour 1906. Paris Masson et C-i Editeurs: 1907. str. 329.*



rymi celuje Moskwa, Wiedeń, Berlin, Petersburg, Warszawa. Licha służba jest we Francyi. Nie zgina się w pałąk, nie chyli do rąk panów, nie pozwala się maltretować, nie wlicza odebranych obelg do rachunku, drwi sobie z niehumoru gości, nie kalkuluje wspaniałomyślności. Napiwki opiera na normach zwyczajowych, ma je za niezawodną swą należność, za niezaprzeczony odsetek, a nie za datek łaskawy.

Dorożkarz, posługacz, „garson“ restauracyjny czy kawiarniany wie z góry, ile mu przypada od gościa napiwnego. Nadpłatę drobną, niewielką ma sobie za fawor, zbyt suty napiwek budzi w nim nieufność, politowanie.

Cudzoziemiec, który na sekundę zboczył z wydeptanego szlaku zakładów, nawykłych doń, i w, uczęszczanej przez Francuzów, kawiarni rzucił służącemu napiwek wygórowany — nie spodziewał się, ile domysłów osobliwych obudził, ile szeptów.

— Któż to może być — rezonuje służący w gronie kolegów — który, miast dziesięciu centimów, daje pięćdziesiąt, — albo „*prince russe*“ albo „*rastaquouère*“ — a że na księcia nie wygląda, więc „ptak niebieski“, lichwiarz, stręczyciel, chcący imponować lekko zdobytym groszem. Juści człowiek uczciwy, porządny nie ma pieniędzy na wyrzucenie. Hm, a może półgłówek. Warto nań zwrócić baczenie.

Że ten pogląd na „jaśnie panów“ nie jest luźną obserwacją, niech starczy taki choćby dowód.

Przed rokiem, dwóch nicponiów, zwabiwszy do ustronnego mieszkania, za pomocą urojonego we-

kslu, inkasenta bankowego, dokonało na nim mordy i grabieży. Zarządzone śledztwo natrafiło na wielką trudność. Nicponie byli nowicjuszami kryminału, policya nie miała o nich żadnych danych, fotografia daktylografja, znajomość nor złodziejskich nic tu nie mogła pomóc. Trzeba było liczyć na przypadek, na nieostrożność nicponiów. Jakoż przypadek się znalazł niebawem...

Dwóch eleganckich młodzieńców zajęchało samochodem przed restauracyę nocną na bulwarze Magdaleny i, zapłaciwszy „palacza“, wkroczyło do przybytku hulatyki. Aliści, zanim młodzieńcy, stosując się do nastroju zbytowego zakładu, kazali podać szampana, — na ulicy, przed instytucyą, nawykłą do Krezusów, — palacz samochodu zwierzył się policyantowi.

— Przywiozłem tu dwóch, ale musi okrutnych urwipołciów!...

— ?

— Niezawodnie, dali mi pięćdziesiąt franków na piwo — złodzieje!

Na taki argument, policyant zaalarmował wydział śledczy. W kilkanaście minut, mordercy inkasenta byli w rękach sprawiedliwości.

Innemi słowy, pański gest, magnacki ruch, któryby, w stu miastach Europy, obudził cześć Automedona dla „prawdziwych panów“, dla prawomyślnych „jaśniepanów“ — tu, na bulwarze paryzkim, rojącym się od Nababów, złotych młodzieńców, milionowych fortun, poczytanym był za znamię przestępcy, rzezimieszka.

Wogóle Francya ma na niektóre objawy życia swej obywatelskiej jednostki poglądy takie, jakich nikt by się nie ważył spodziewać po nowoczesnym Babilonie.

Owóż, każdy Francuz i nie Francuz, przebywający na ziemi Trzeciej Rzeczypospolitej, ma swoją „*casier judiciaire*“ \*), półeczkę, przegródkę sprawiedliwości, notującą pilnie wszystkie kary sądowe i policyjne, którym kiedykolwiek dany osobnik uległ. *Casier judiciaire* jest tą łapką, którą zawsze trzeba pokazać, ilekroć razy idzie o sankcyę władzy, o konsens, jest tem memento, które trudno wygładzić, zatuszować a które rozstrzyga bez apelacyi. Duch *casier judiciaire* nie ma cienia polityki, nie ma śladu denuncyacyi, domniemań, oskarżeń szpiegowskich, opiera się wyłącznie na karach sądowych, nie pozbawia praw obywatelskich, ale usuwa przywileje.

Krom urzędowego *casier* — we Francyi działa i zbieranie *renseignements* o osobie penitenta, na przykład, kandydata na urząd, aspiranta do medalu, odznaczenia.

I oto jednym z zasadniczych, głównych pytań wywiadowczych jest pytanie, czy dany jegomość... *découche*, to znaczy, czy sypia w domu, a raczej, czy nie wraca do domu o świcie. Odpowiedź twierdząca Cerbera lub Cerberki jest zabójczą. Człowiek, spędzający noce poza domem, jest rozpustnikiem,

---

\*) Prawo z roku 1850, uzupełnione prawem z dnia 5 sierpnia 1899 r. i 11 lipca 1900.

nie zasługującym na względy, na zaufanie. — Gdzie?! w Paryżu, w Sodomie współczesnej, w tej, wyuzdanej ze wstydu, Lutecyi...

Złowrogie orzeczenie „*il découche*“ pozbawiło i pozbawia wielu i stypendjów i zapomóg i koncesyj i orderów.

Inaczej zresztą być nie może. Francuz musi reagować na to, co uchybia jego systematycznej naturze. Nie pruderya nim powoduje, lecz reguła życia. Kto się z niej wyłamuje, kto nie przestrzega etapów społecznego ładu, licha wart być musi.

Francya żyje z zegarkiem w rękę. Czas nie zagrabia spoczynkowi nigdy pracy. Wszelki zamach na zburzenie, zakłócenie porządku dnia, odparowyywa bez litości.

Minister, adwokat, kupiec czy artysta, gdy nadchodzi pora śniadania czy obiadu, i choćby interesantem był udzielny książę, powiada mu bez odgródki: — „przepraszam, ale to mój czas posiłku“. — W tym razie obyczaj robotnika, rzucającego młot na sygnał gwizdawki, obowiązuje wszystkie stany. Powrót do zajęć równie jest punktualnym. O godzinie wpół do trzeciej po południu, żywego ducha nie ma w restauracyach, co więcej, nie ma śniadań. O dziewiątej i pół, nie ma już w restauracyach obiadów, — o dziesiątej, restauracye są zamknięte na ośm spustów. Kolacye, kolacyjki, wysiadywanie do późna w nocy nad kuflem piwa, nie istnieją dla przeciętnego Francuza.

Juści twórca sławnej na cały świat kuchni jest smakoszem. Do posiłku przywiązuje wagę, wymaga

dlań stylu, harmonii, usankcyonowanego ładu. Bankier czy mieszczuch, tragarz czy stróż musi mieć i swoje „*hors d'oeuvres*“ i „*pièce de resistance*“ i „*entremets*“ i „*dessert*“ no i ulubioną sałatę. Odżywia się higienicznie, dostatnio bardzo, je obficie, znajduje w jedzeniu przyjemność, ale nie najada się. „Ser i owoce“ uważa za zakończenie nie tylko „*menu*“ ale i za koniec picia... Po jedzeniu, nie tknie kieliszka wina. Nie uznaje podwieczorków, poczęstunków nadprogramowych wśród dnia. Gdy wraca z teatru, zadawalnia się chlebem z szynką, talerzem ulubionej zupy cebulowej lub porcyjką *choucroute garnie*. W godzinę po teatrze, zasypia snem sprawiedliwego.

Francuz jest gościnnym, lecz na swój własny sposób, urobiony przez warunki, w jakich bytuje. Nie lubi nieproszonych gości, jawiących się w porze obiadowej lub śniadaniowej i burzących ład domowy. Zbywa ich, odprawia bez ceremonii. Nie ma obłudy zapraszania ich do stołu, na którym tyle jadła, ile ściśle trzeba dla domowników. I wizyt nie spodziewanych nie jest zwolennikiem. Ma swój dzień w tygodniu, niedzielę i żąda, aby odwiedzający o nich pamiętał, stosował się do jego godzin pracy. Wzajemian, zaprosiwszy gościa, podejmuje go setnie, stara się uraczyć poprostu. Dbą o jego najbardziej osobiste potrzeby, — sadowi na najwygodniejszym miejscu, ma dlań podnóżki, poduszki i poduszczyki, ogień na kominku i dziesięć innych dowodów pamięci. Jeżeli gość spędza noc pod dachem Francuza, może być pewnym najsubtelniejszej o niego troskli-

wości. Francuz woli mieć niewielu gości, lecz za to podejmuje ich lepiej, sućiej niż słynące gościnnością ludy. Spraszania w swoje progi znajomych na to, aby każdemu poszczególnie brakło bądź jaśka, bądź miednicy, bądź którejkolwiek z wygod, które ma w domu własnym, Francuz nie uznaje. W częstowaniu, zachęcaniu do jadła, nie jest uprzykrzonym. Wypadków, aby, dla braku wmuszania, gość wstawał od stołu głodnym, nie zna, bo i nie zna kłamliwego wymawiania się od jedzenia. Zaproszenie na obiad uważa za akt dopuszczenia do swego grona rodzinnego i aktem tym bardzo oszczędnie szafuje.

Trzecia Rzeczpospolita pomawianą jest silnie o nieobyczaj zamięłowania do wstążek i „rozetek“ orderowych. W czym tyle prawdy, ile fałszu.

Pogoń za oznaką zasługi, wyróżnienia, nie jest we Francyi większą niż w granicach innych europejskich mocarstw, — lecz za to niewątpliwie jest bardziej usprawiedliwioną.

Francya przecież nie ma prawie mundurów, nie ma wypustek, galonów, gwiazdek, które wołają w głos, kto i na jakim urzędzie jest dostojnikiem, nie ma lampasów i uniformów inżynierskich, sądowych, administracyjno-obrachunkowych, leśniczo-rolnych, szlachecko-obywatelskich, lordowsko-magnackich. Togi swoje, dyplomatyczne fraki, oficerskie nawet epolety, generalskie szczyty uznaje i toleruje jedynie w chwili pełnienia obowiązków służbowych lub w momencie nadzwyczajnej gali narodowej. W życiu codziennem, całem wyróżnieniem, ujściem dla ambicyi ludzkiej jest wstążeczka orderowa, no-



szona pilnie i nie dla samego upodobania ale nawet i dla ducha konstytucyi orderów francuzkich, który wyraźnie nakazuje zdobienie butonierek ubrania cywilnego.

Poza tymi znakami zasługi, niemasz w tłumie ulicznym innych rang. Pułkownik czy szef sekcji, major czy ministeryalny radca, jeżeli nie zdobył palm akademickich, gwiazdy Nichamu lub krzyża legii honorowej, ginie wśród szarzyzny. Lejtenant wiedeński imponuje dzwonieniem pałasza, brząkaniem ostróg, kolorem pułku, butą dowodzi swego uprzywilejowanego stanu, żąda dla się honorów, uwagi, — paryzki porucznik może wdrożyć dla się uszanowanie dopiero dokumentem nagrody, — dopiero znak orderowy dobywa go z pomroki setek takich samych cywilnych ubrań — i znak wcale nie tak łatwy do zdobycia.

Rzeczpospolita pojęcie zasługi dobyła poza granice militarno-urzędowo-oficyalnych sfer, uspołeczniła ordery, objęła nimi wszystkie działy pracy ludzkiej. Do medalu honorowego ma we Francyi prawo zarówno sługa rządowy, liczący trzydzieści lat pracy nieskazitelnej, jak i poprostu sługa, robotnik, który lat trzydzieści uczciwie, przy jednym i tym samym warsztacie prywatnym, wytrwał. Rolnik, przemysłowiec, lekarz, artysta, rzemieślnik, w zakresie swej działalności, posiada ten sam tytuł do orderu, do uznania, jak i kapitan, profesor, członek akademii, policyant lub żandarm.

We Francyi nie ma ludzi, którzy rodzą się w orderach lub do orderów. We Francyi zło, wynika-



jące z ubiegania się o medale i krzyże, jest mniej-  
szem w istocie, niż w ościennych mocarstwach, bo  
podział nagród, bądź co bądź, sprawiedliwszym i sil-  
niejszej poddanym kontroli.

I tu snobizm, miernota umie podszyć się pod  
miano zasługi, i tu protekcja, plecy, stosunki, nie-  
czyste, powiedzmy, środki, zdołały i zdołają nieraz  
pierś niepowołaną, niegodną ozdobić gwiazdą — ale  
tu taki czyn, taka droga, takie zabiegi wprost i po  
imieniu się nazywa. Owdzie, gdy honorowa od-  
znaka dostaje się komuś podobnie krętą drogą, gdy  
krzyż bierze pustak za gracyę w tańcu, lokajski gest,  
niewolniczy uśmiech — owdzie jeno schylić głowę  
trzeba.

Lecz nie masz dymu bez ognia. Mają więc i te  
pomawiania swe źródło.

Regulamin konstytucyi orderów francuzkich żąda,  
w normalnych warunkach, poza urzędowych, aby  
obywatel, pragnący posiąść oznakę, składał poda-  
nie, legitymował się z tytułu położonych zasług.  
Sens tego regulaminu pochodzi z intencji wyklu-  
czenia przypadku odmówienia orderu, uchybienia  
godności nagrody. Ponieważ zaś podania te centra-  
lizuje jedyne biuro i biuro to dwa razy do roku  
(dnia 1 stycznia i 14 lipca) ryczałtowo ogłasza no-  
minacye, więc łatwo sobie wyobrazić, ile stąd ła-  
twej sposobności do rozmaitych wniosków, obliczeń  
i wywodów. Co więcej, jeszcze łatwiej odgadnąć,  
iż urząd odnośny otrzymywać musi tysiące próśb  
wprost śmiesznych, naiwnych. Pojęcie jednostki  
o własnym talencie, własnych pracach, zasługach,

tytułach do odznaki, bywa bardzo różnorodne. Zapaly te gdzieindziej hamują niższe władze, naczelnicy drobni — we Francyi szranki stoją otworem.

Następnie „deszcze“ peryodyczne fijołków (palmy akademickie) legii honorowej, rolniczej zasługi, padając między tysiące spragnionych, nie łagodzą spiekoty, — muszą produkować zawiedzionych, szemrzących. — Z tego dym kłamstwa, dym oszczerstw.

W rzeczywistości zaś, za wyjątkiem sfer dyplomatycznych, gdzie order otrzymuje się wprost dla godniejszego przedstawiania mocarstwa i gdzie nieobyczaj pierś młokosów zamienia w wystawy jubilerskie, — nie łatwo Francuzowi francuzką zdobyć odznakę, nie łatwo mu podszyć się pod zasługę. I zaiste, jeżeli order może być miarą cnoty obywatelskiej, szewronem pracy dla dobra kraju, to jest on najbliższym tego celu na Ziemi francuzkiej.

Ale są to słowa, słowa tylko. Słowa zaś, choćby z najczystszej płynęły krynicy — słowami zagłuszone być mogą — a za tem dokumenty...

Rzeczpospolita posiada, dla swych obywateli, trzy ordery zasadnicze: legję honorową, palmy akademickie i order zasługi rolnej; dalej medal wojskowy, medal za ratowanie i medal honorowy za długoletnią służbę. Po za tem, we Francyi istnieją medale wojskowo-pamiątkowe za kampanje i wyprawy kolonjalne, dla uczestników odnośnych wypraw i kampanij. Więc są to medale już nie do zdobycia... Naprzykład, medal Krymski (1856), Bałtycki (1857), Św. Heleny (1859), Włoski (1859), Chiński (roku 1861), Meksykański (1863), Pontyfikalny (1868),

Tonkiński (1886 i 1894), Madagaskarski (1886), Dahomeyski (1892), Nowy Madagaskarski (1896), Drugi Chiński (1902), Marokański (1909), Kampanii 1870—1871 (1911) i Kolonjalny (1894).

Ze wszystkich tych medali, dostępnym jest stale medal Kolonjalny. Wszystkie inne tworzone były sporadycznie, obdzielały uczestników kampanii, wyprawy i zamykały na zawsze swe spisy. Ustanawiane były nie zawsze nawet przez Francję... Medale Krymski i Bałtycki otrzymali francuzcy żołnierze od królowej Wiktoryi angielskiej, a medal Pontyfikalny od papieża.

Do tej skromnej liczby dekoracji, Francyi przybyły, wraz z kolonjami, orderzy egzotyczne: — Gwiazdy Commory, Smoka Annamskiego, Gwiazdy Czarnej Porto-Novo, Znaku Królewskiego Kambodży, Nichamu-el-Anuar, ze spadku po Tadjurahu, i Nichamu-el-Iftikharu tunetańskiego.

Czyli, Francya rozporządza tylko trzema orderami, czterema medalami i sześciu zgoła egzotycznemi ozdobami, przeznaczonemi głównie dla miljonów swych kolorowych obywateli.

Lecz gdyby nawet wszystkie te oznaki uznać za wielostopniowe orderzy — to otrzymamy w sumie trzynaście. — Więc Francya ma 13 orderów, inne zaś państwa? Zliczmy jeno przednie: Anglia 14, Hiszpanja 17, — Austria 14, — Prusy 13, — Bawaryja 16 i t. d. Jedne Niemcy tylko, jako cesarstwo, liczą 108, wyraźnie sto ośm orderów i medaliów dla swych poddanych, w tem tak maleńkie księstwka jak Meklemburg-Schwerin — aż jedenaście.

A więc ilością znaków orderowych nie przesadziła Francya. Wzamian przesadziła może zbyt hojnym szafowaniem jedyną swą odznaką, legją honorową. Zważmy.

Legja honorowa poczęła się jako Legion Honorowy i nie z inicjatywy Napoleona, lecz z Konwentu. Ten ostatni mianowicie, opierając się na odnośnem paragrafie konstytucyi z dnia 3 września 1791 roku\*), i zarzucawszy nagrody w formie broni honorowej, — ustanowił Legion Honorowy, do którego zaliczenie było uznaniem bądź zasług wojskowych, bądź cnót obywatelskich\*\*). W następstwie dopiero, Napoleon, jako pierwszy konsul i cesarz, nadał Legjonowi zasadnicze ukształtowanie dzisiejsze a co więcej podniósł do pierwszorzędnej świetności moralną jego wartość.

Legjon Honorowy, zamieniony w kapitułę orderu, — ostał się wszystkim zamachom stanu, zmianom ustroju państwowego, przebył Restaurację, rządy Karola X, Ludwika Filipa, Drugą Rzeczpospolitą i Drugie Cesarstwo.

Opromieniony epopeją, noszący na sobie tradycje najwspanialsze Lodi, Arcôlu, piramid egipskich, Alp, Marenga, Austerlitzu, Wagramu i Moskwy, dźwignięty przez imiona bohaterów, — krzyż legii honorowej nabrał uroku, stał się wawrzynem upragnionym i nie w samej Francyi.

I takim przetrwał niezawodnie dotąd. Trzecia Rzecz-

\*) *Rozdział 3, sekcya 1-a, artykuł 1-y, paragraf 11.*

\*\*) *Prawo z dnia 29 floreala, roku X (19. V. 1802).*

pospolita bowiem, na punkcie legii honorowej, jest niemal skąpą, — nie tylko nie wpłynęła na spowszednienie orderu narodowego, jak chce bajka, lecz go uczyniła rzadszym.

Oto wykaz szczegółowy — miano jego *Effectif réel des légionnaires de tous grades du 29 floreal an X au 1-er juin 1910*; — pochodzenie tego wykazu, ze stołu Izby Deputowanych, ze źródłowego raportu posła, Ludwika Marin \*).

A za tem, legja honorowa, w roku utworzenia jej (1802), liczyła ogółem 6.105 osób; w chwili upadku Napoleona I — 30.747; jako dziedzictwo Karola X (1830) — miała już 40.324; Król Ludwik-Filip, odchodząc (1848), zostawił Francyi okrągłą liczbę 59.760 kawalerów różnych stopni legji honorowej. Napoleon III, w cztery lata później, miał już (1852 rok) 64.770; w roku zaś 1870, dnia 3 września, we dwa dni po Sedanie, — Napoleon III szczycił się potężnym legionem **78.145** osób.

Tak było niegdy — aż przyszła Trzecia Rzeczpospolita, ta jakoby lekkomyślna szafarka czerwieni legjońskiej. — I cóż się stało?

We dwa lata już (rok 1873, 1 lipca) liczba 78.145 — zeszała na 63.767 — w dwadzieścia pięć lat (1 grudnia

---

\*) Nr. 360, *Chambre des Députés. Dizième législature, Session 1910. Rapport fait au nom de la Commission du budget chargée d'examiner le projet de loi portant fixation du Budget Général de l'exercice 1911 (Budget annexe de la Légion d'Honneur) par M. Louis Marin, Député. Paris. Imp. Chamb. des Députés. 1910. — stron 238.*

1895 roku) skurczyła się do 42.763, stoczyła prawie do normy Karola X; — a potem, znów poszła w górę, lecz słabo. Tak słabo, że 1 czerwiec 1910 roku zanotował **47.515** osób, ozdobionych orderem legji honorowej, że pozostał hen, w tyle, za królewskimi rządami Ludwika-Filipa.

Jedyna zmiana, którą Trzecia Rzeczpospolita wprowadziła, dotyczy stosunku orderów wojskowych do cywilnych. Za Ludwika Filipa, było 12.638 cywilnych legionistów i 47.122 wojskowych; za Trzeciej Rzeczpospolitej, jest (1910) 16.952 cywilnych i 30.563 wojskowych. W ogólnym wyniku zawsze mniej o dwaście tysięcy. Ale i tego rysu nie można wziąć bodaj za objaw ducha czasu. Za Napoleona III, i przez Napoleona III mianowanych, było już 21.600 cywilnych i 56.545 wojskowych. Cywilni kawalerowie orderu byli więc za Drugiego Cesarstwa bardziej wyróżniani niż za Trzeciej Rzeczpospolitej.

A więc ci, którzy boleją nad spopolitowaniem legji, nad osłabieniem, podkopaniem wartości krzyża narodowego francuzkiego, — winni raczej szczerze się radować, że legją nie włada we Francyi ani Ludwik-Filip ani Napoleon III, no i nie „Blattom“ ufać, nie plotkom, lecz dokumentom.

Prasa francuzka i stosunek jej do społeczeństwa zasługują na szczególniejszą bacność, bo i prasa sama przez się jest różną niż gdzieindziej i społeczeństwo inaczej na głos jej reaguje.

Typowy *journal*, odmiennym swym wśród europejskich towarzyszków układem, ledwie słabe daje



pojęcie o przepaści, która go dzieli od angielskich, niemieckich, polskich i włoskich kolegów.

Optycznie porównanie odrazu wypada na korzyść prasy francuskiej. Dziennik francuski nie jest tomem bibuły zadrukowanej, jak dziennik amerykański, nie jest poszytem „*Berliner Tageblattu*“, na obznajmienie z którym trzeba miesięcy, czytanie którego jest sztuką przewracania kartek, wypełnionych plackami wrzaskliwych ogłoszeń; i nie jest „*Timesem*“, wymagającym lupy i trzech dni wolnego czasu. Dziennik paryzki i francuski wogóle ma styl zewnętrzny prosty, łatwy do ogarnięcia, do chwycenia nici dnia, do szybkiego wyłowienia potrzebnej dla się wiadomości. Ostatnie stronicze zaledwie, i to nie codziennie, zawierają nieco ogłoszeń ale i w tak nieznacznej względnie ilości, że dziennik francuski można by za nędzarza pod tym względem poczytać, że trudno przypuścić nawet by był właśnie najbogatszym w Europie reklamowym czasopismem.

Zmierzajmy atoli systematycznie.

Treść dziennika francuskiego ma tę wielką zaletę, że wolną jest od nudnych, doktrynerskich wywodów, że walczy informacją, że wyzbyła się napuszonych wynurzeń, że unika rozwlekłości, że nie usiłuje streszczać wszystkiego, wyrokować o wszystkim, że dostraja się do życia, coraz szybszem uderzającego tętnem.

Jasność myśli i przedmiotowość artykułów francuskich jest posuniętą do mistrzostwa. Mgły, głęczenia polityczne tu nie istnieją. Balast wstępów, usprawiedliwień się autora, zaginął we Francyi za-



równy jak przypadkowość: *journal* przeciętny jest kuźnią, w której tygodnie pracy, szperania, dociekania przekuwa się na kilkunastowersze notatki.

Jako duch, w dziennikarstwie francuzkiem panuje indywidualizm, nieubłagany, lekceważący wszystko, co bezpośrednio Francji nie obchodzi.

Wobec katastrofy ośmiorzędnej grozy w Trou-le-Bain, ginie, dla przeciętnego *journala*, cały świat... Tam, gdzie czasopismo lwowskie ma ambicję zamieszczenia błahego telegramu agencyjnego dla tego, by wydrukować przypuśćmy: „*Lizbona dnia 12 kwietnia. Pogłoska o wkroczeniu nowego oddziału rojalistów na terytorjum Portugalii jest fałszywą*“ — tam czasopismo francuzkie wyrzuca codziennie stopy i doniosłych telegramów. — Śmierć Menelika, wojna włosko-turecka, wylew Missisipi, choroba papieża, — wszystko to ująć musi z placu, bo w Trou-le-Bain utonęło trzech ludzi...

Dzieje się to, powtórzmy, nie z braku informacji; przeciwnie, redakcja dziennika paryzkiego znakomite posiada źródła i źródła nigdy nie drzemiące, lecz dla pomienionego, wrodzonego indywidualizmu.

Czytelnik francuzki stąd nieskończenie mniej wie od czytelnika niemieckiego o tem, co stało się nad brzegami Urugwaju, wzamian dziesięćkroć silniej ojczystym turbuje się krajem i wzamian redakcja francuzka wie znakomicie i, gdy jeno to jej dogadza, dość, by skinęła na właściwego referenta, aby urugwajska kwestya w całej pełni zagrała na szpaltach.

Oдноśnie do polityki zewnętrznej, prasa francuzka zachowuje nieznana nigdzie... karność. Bez względu

na swą barwę partyjną, w ogólnym ruchu, celu idzie ręka w rękę z rządem. Ma to swoje przyczyny nie tylko ideowe ale i techniczne.

Referenci polityki zagranicznej czasopism paryskich otrzymują co dnia informacje z odnośnego biura prasowego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Informacje zgoła pierwszorzędne, doniosłe, powierzone są referentom z zastrzeżeniami o tem, co można ogłosić, o czem trzeba zamilczeć, co polityce francuskiej mogłoby zaszkodzić a co sprzyjać może. I referenci, każdy na swój sposób, najściślej trzymają się wskazówek... Dlaczego?! Dlatego, że, pominąwszy względy dobra Francyi, niedyskrecya może im zamknąć drogę do Ministerstwa, przeciwnie zaś, Ministerstwo dobrego a oddanego sobie referenta redakcyjnego umie obronić nawet przed jego własnym naczelnym redaktorem.

Stąd zjawiskiem codziennem we Francyi jest, że, gdy dziennik antirządowy, nacyonalistyczny, atakuje politykę zagraniczną, uderza na alarm, często jeno działa w myśl tej samej polityki, której szło właśnie o poruszenie danej sprawy przez organ opozycji...

Natomiast mniej korzystnie, a właściwiej, zupełnie odmiennie przedstawia się prasa francuska z punktu materialnych swych podstaw.

Za wyjątkiem *Le Temps* i *Journal des Debats*, dwóch dygnitarzy dziennikarstwa — opierających byt swój na prenumeracie — wszystkie inne czasopisma żyją ze sprzedaży ulicznej, „publicité« i ogłoszeń.

Sprzedaż uliczna atoli lichy przynosi dochód, tak

lichy, że nie wraca niekiedy wartości papieru i farby drukarskiej. Pośrednictwo bowiem jest w tym razie drogie. Ogłoszenia znów, choć opatrzone wysokimi cennikami, również nie wielki dają zysk. A to znów dla tej racji, że powiększają objętość pisma, że wymagają nakładu nielada, jeżeli się zważy, że pół miliona razy i więcej muszą być powtarzane. Ratuje sytuację „*publicité*“ czyli ogłoszenie, które w istocie jest artykułem, nowiną, fejletonem, krytyką, które zalicza się do tekstu a które jest tylko płatną reklamą.

Więc najpierw giełda. Ta płaci krocie prasie francuskiej na codzień a na święto emisji nowej pożyczki daje miliony. Następnie miliony płacą mocarstwa, żadne francuskiej gotówki a mające interes w tem, by prasa krzewiła do nich zaufanie.

Na dobro prasy francuskiej, trzeba zapisać, iż trzyma się wskazań z góry i, usankcjonowane tylko przez Rzeczpospolitą, pożyczki popiera, a raczej domaga się od nich procentu.

Po giełdzie, idzie sport, jako skarbnica do przymusowego rozprawiania o motorach, obręczach gumowych i t. p. przemysłowych wyrobach. Ten dział jest przeważnie uregulowanym w ten sposób, że sprawozdawca sportowy płaci tyle i tyle rocznej dzierżawy za prawo prowadzenia rubryki sportu...

Następnie, „*publicité*“ trzyma w karchach wzmianki teatralne, wydawnictwa, krytykę etc. etc. i aresztuje wszystko to, co ma podkład zysku handlowego.

Autor napisał dzieło ideowe, jeżeli atoli nie ma ono za sobą dygnitarza, który za niezwykłe je uzna,

— jeżeli, nie jest zjawiskiem chwili — krytyka, notatka bezpłatna dlań nie istnieje. — I z tej racji, że za ideowym autorem stoi wydawca, że książka, rozreklamowana we Francji, przynosi zysk niechybny, że więc dziennikarzowi, jako sprawcy tego zysku, należy się obol.

Artysta malarz ma obraz w Salonie — ma więc dane, że krytyk go zauważy i zdanie o nim wypowie. Jeżeli krytyk go nie wymienił, artysta ma regres do wzmianki, poza działem krytyki, ale zapłaci za nią... O ile jednak ten sam artysta urządził własną wystawę, to, bez solennego wynagrodzenia, nic nie zdziała. Idzie mu wszak nie o sztukę tylko ale i o sprzedaż, o zamówienia, rozgłos. To zaś kosztuje.

Prasa francuzka bywa względną, często z uprzejmości, przyjaźni, odezwie się i bezpłatnie i bezinteresownie ale tylko do wyraźnie określonego punktu. Albo trzeba być Rodinem albo początkującym biedakiem. Zresztą ta strona nie ma zgrzytów. Składnicy obrazów, „kunsthändlerzy“, wydawcy książek, impressarjowie talentów załatwiają te sprawy gładko.

Temu prądowi ulegają z konieczności nawet czasopisma specjalne, bo i one nie byłyby w możliwości materyjalnej stanąć na trójnogu sprawiedliwości i ogarnąć mrowia wytworów, artykułów i dzieł, co dnia rodzących się we Francji.

Nie trzeba nadmieniać, że, dla wyłożonych względów, prasa francuzka nie rżnie autorów, nie sprawia nikomu cięgów za złe malowanie — jeno, albo

chwali szczerze, albo drukuje gotową notatkę księgarza albo... milczy.

Milczenie jest najstraszniejszym.

Bywa inaczej. Redakcja u znanego pisarza zamawia fejteton krytyczny, — jeżeli przecież idzie w nim nie o charakterystykę ogólną, lecz o przedmiot do nabycia, do widzenia za opłatą, wówczas i fejteton wynagrodzonym być musi.

W praktyce dzieje się tak. O ile, przypuśćmy, w dawniej stołecznem mieście, Odense, na wyspie duńskiej Fijon — autor książki chce mieć recenzję — zaczyna od szukania stosunku do redakcyi miejscowych pisemek. Znalazłszy go, wchodzi z krytykiem w komitywę, rujnuje się na częstowanie go, na świadczenie grzeczności... W rezultacie, upiwszy się, nakłaniawszy, pożyczwszy wpływowemu członkowi redakcyi 25 koron i dziesięć mniej wpływowemu — nie ma w zysku nawet wzmianki, bo redaktor najwpływowwszy miał pretensję, że i jego nie ufetował.

We Francyi pieniądze, wydawane „na stosunki“, idą za kwitem do kasy czasopisma a wiadomość o książce do druku.

Tym klauzulom podlegają i inne jeszcze rubryki.

Jeżeli dziennik paryzki obwieszcza, że u pani Ciaciapullo jadł obiad pan Tamtadrato, — znaczy tylko, że pani Ciaciapullo nadesłała ogłoszenie a nie że grecka jej osóbką obchodzi kogokolwiek w Paryżu. Pani Ciaciapullo płaci chętnie przez snobizm, płaci, bo jej anons sąsiaduje już z prawdziwą dzien-

nikarską i bezpłatną wiadomością o raucie w ambasadzie włoskiej lub obiedzie u ministra finansów.

Stosunki te zdrowe nie są — są niekiedy bardzo chore, bo zdarza się, iż na dzienniku, który daje administracyjnie straty — właściciel zarabia miliony ubocznie, poza „*publicité*“...

Jednakże stosunki te same przez się społeczeństwu francuzkiemu nie przynoszą szkody. Społeczeństwo to bowiem orjentuje się znakomicie w swych czasopismach. Francuz nie potrzebuje zgadywać, co jest *publicité* a co nie jest. Przywiązuje wagę nie do konkluzji dziennikarskich, lecz do wiadomości. Obchodzą go dane, szczegóły — sądu nie szuka, sądzi sam, sam rozstrzyga dla siebie. Rozumie się, kto i co może powiedzieć, komu należy się uwaga. Gdy go dany przedmiot zajmuje, wie, gdzie znajdzie pogłębienie. Polityk nie da się zaalarmować, bez odzewu *Temps'a* i *Debats'ów*, — sportowiec nie da zaszachować zwykłemu dziennikowi, nie zajrzawszy do specjalnych czasopism.

Wzamian, szkoda dzieje się społeczeństwu francuzkiemu wskutek pogoni pism brukowych za sensacją. Od lat kilku, pomysł zastępowania fantazyi twórczej, sensacyi powieściowej, — sensacją życia ludzkiego przybrał potworne rozmiary.

Zbrodnia, kradzież, rozbój stały się, dla brukowych pism paryzkich, najpocześniejszym tematem i tematem, uprawianym tak artystycznie, tak znakomicie, że zdolnym cały świat przyprawić o dreszcze.

Szczegóły śledztw, wywiady, opisy ponure, kryminalistyczne portrety wypełniają całe kolumny.



Najgłupsza awantura uliczna, bójka, porachunek łotrów, o których gdzieindziej się nie mówi — tu z całych sił zdobionym bywa w piekło kolorów... Pogoń ta za sensacją dochodzi do tego, że chwilami trzy naraz, współzawodniczące ze sobą, dzienniki mają każdy po okropności; każdy o swojej okropności mówi, nic nie wspominając o okropnościach, juści bagatelnych, bo przez konkurencyę śrubowanych do potęgi...

Owóż te majstersztyki kroniki sądowo-policyjnej a raczej majstersztyki reporteryi francuzkiej — cały świat chwyta, powtarza, czyta z zapartym oddechem i szepcze w skupieniu...

*gedenke, dass Du ein Deutscher bist...*

A po tem, po tem rzuca okiem zadowolonym na swoją lakoniczną kroniczkę ojczystych wypadków, która, w ośmnastu wierszach, z dwudziestoma załatwiła się trupami — i wzdycha z ulgą...

— Cóż te pocziwe trupki rodzinne znaczą wobec zgrozy trupa... tego, tam, przy ulicy Lepic, pod numerem dwieście, tam pod bulwarem de Clichy, w sercu straszego Montmartru! O Sodomo! O potworny Babilonie!





# **B A B I L O N.**



Nie tylko państwo, kraj, naród, szczep ma swój punkt wyjścia, stolicę władzy, środowisko mocy, krynicę żywota, jaźni, serce, lecz ma taki punkt i każda epoka dziejów ludzkości.

Gdy zamiera serce kraju, narodu — ginie kraj, ginie naród, — gdy zamiera serce epoki dziejów, gaśnie słońce cywilizacji. I jak trzeba długich lat, by naród pogrążony się dźwignął, by nową krynicę w sobie zbudził, tak długich wieków trzeba, by nowe słońce cywilizacji dobyło się z mroków.

Assyrya, Egipt, Grecya, Rzym, Bizancyum, nie miały dziedziców bezpośrednich. Zniszczenie Kordobańskich Aten nie uczyniło zwycięskiej Hiszpanii mózgiem Wschodu. Upadek Aleksandryi był klęską, podotąd nauce przez następne pokolenia badaczy nie wróconą.

Historia poucza, że rozmiary strat, ponoszonych przez cywilizację, wskutek wygaśnięcia głównego jej ogniska, odpowiadały zawsze osiągnięci jego promieni. Im większy bywał wpływ odnośnego centrum, im rozleglejsze ogarniał przestrzenie, tem ciemność była, po jego zgonie, większą, tem noc bezruchu, cofania się rozwoju ludzkości, dłuższą...

Dzisiaj, tym Rzymem prastarym, temi Atenami, Mekką nowożytną cywilizacji, myśli, ducha, pracy

jest Paryż, jest Francya. Jest nią z prawa zasług położonych, jest w warunkach i rozmiarach potęgi, o której się nie śniło dawnym stolicom świata.

Francya nie mieczami rycerskich kohort, nie pięściami prokonsulów, nie ukazami krwawych sa-trapów zniewoliła sobie lenników. Francya łańcuchami ucisku nie wlokła barbarzyńców do swych świątyń. Francya nie przymuszała nikogo do swej kultury, do swej wiedzy, do swych skarbów myśli...

To niesłychanych obszarów mocarstwo wpływu przemożnego, te krainy nieskończone, gdzie imię jej co moment stanowi, gdzie przykład jej, wzór nie milknie — Francya zdobyła pracę twórczą na własnym zagonie, zdobyła poszanowaniem wolności i praw narodów.

Kres Francyi, zapadnięcie się w gruzy tego niezmordowanego warsztatu idei społecznej, tego kotła, przetapiającego bóle mrowia na najczystszygo dźwięku hasła, tego paleniska cywilizacyi, na podsylenie którego idą gromady ludzkie z pieśnią na ustach, — kres Francyi byłby kresem naszej epoki...

Rzeka nie rozlewnością toczonych wód stoi, lecz obfitością swoich źródeł. Gdy źródła wysychają, rzeka zwęża się, niknie. Jeżeli „sól ziemię“ zwietrzeje, czem ziemia solona będzie?

Po Bekwarku lutni nie weźmie ten, co go tylko umiał naśladować, co do jego tonu umiał się tylko dostrajać, co nie z piersi swej żywej, lecz z podsłuchania melodyę czarodziejską brał... Lutnia Francyi, berło Paryża przypadnie temu, kto je wystróże sam z rodzimego drewna i własnem natchnieniem ożywi.

Lecz Francya daleką jest jeszcze owego kresu, daleką jest chwila, gdy oto zabraknie naraz Europie ustronia, w którym duch wolny pełną może oddychać piersią, gdzie wszystkie ludy pragnące znajdując pokrzepienie, gdzie każdy prąd myśli, tęsknoty, nadziei społecznej lub politycznej może własną posiadać ambasadę, gdzie Turek buduje konstytucyę, gdzie Chińczyk tworzy Rzeczpospolitę, gdzie skarbnice wiedzy stoją dla wszystkich otworem, gdzie można uderzenie pulsu świata wyczuwać i w swoim, miłowanym, zacofanym bodaj, trwać światku.

Babilonowi współczesnemu sądzonem jest, i na szczęście, jeszcze długie królowanie. Sądzonem jest dla tego, że ościenią jego jest naród wciąż zabiegliwy, wciąż oszczędny i wciąż ofiarny.

Francya może śmiało patrzeć w przyszłość, nie sromać się nawet klęsk — bo państwo, którego obywatel myśli o swem jutrze, który pracę ma sobie za treść życia, takie państwo, taki naród nie zginie...

Na godzinę zaś wyroku nieubłaganego, który na tym świecie wszystko sprowadza do geologicznej rachuby, na proch miele wszystko — na godzinę kresu, pozostaną jeszcze pamiętne słowa Fryderyka Wielkiego o Francuzach...

*z piętnem śmierci na ustach — wygrywają bitwy; w chwili konania — nieśmiertelnych dokonywują czynów...*

Tę księgę kreśliła ręka prawdy i odruch sumienia człowieka, który przez lat dziesięć przebywał na Ziemi francuzkiej i przez lat dziesięć na nią poglądał i widział.

I człowieka, który był i pozostał dla niej pyłkiem szarym, nieznanym, obojętnym...

I człowieka, któremu nie dała ona ani sławy, ani złota, ani kochanki, ani żony, ani chwili zapomnienia o kraju rodzonym, własnym...

Koniec.

Paryż, dnia 17 kwietnia 1912.



## BIBLIOGRAPHJA

### ważniejszych źródeł.

1. *Statistique Générale de la France*. Annuaire Statistique. Vingt-septième volume. 1907. Paris. Imprimerie Nationale. 1908. — i poprzednie.
2. *Annuaire Statistique de la Ville de Paris*. XXVI-e Année. 1905 et principaux renseignements pour 1906. Paris. Masson et C. Editeurs. Libraires de l'Académie de médecine 120. Boulevard Saint-Germain. 1907. — i poprzednie.
3. *Des Recensements de la Population*. De la Nuptialité, de la Natalité et de la Mortalité a Paris, pendant le XIX siècle et les époques antérieur par Le Dr Jacques Bertillon. Paris. Imprimerie Municipale 1907.
4. *Compte Générale de l'Administration de la Justice Criminelle*, pendant l'année 1906, présenté au Président de la République par le Garde des Sceaux Ministre de la Justice et des Cultes. France — Algerie — Tunisie. Paris. Imprimerie Nationale. 1908.
5. *Rapport du Ministre du Travail et Prévoyance sociale* sur les operations des sociétés de secours mutuels. 1905.
6. *Bulletins de statistique* et de législation comparée.
7. *Statistique Coloniale* pour l'année 1906. Paris.
8. *Compte définitif des dépenses* de l'exercice 1906 Paris.
9. *Rapport fait au nom de la Commission de l'enseignement* sur le projet de loi portant modification à l'ar-

- ticle 14 de la loi du 28 mars 1882 sur *l'enseignement primaire obligatoire*, par M. Dessoie, député. Nr. 180. Chambre de Députés. Session 1910.
10. *Rapport fait au nom de la Commission du suffrage universel* chargée d'examiner la proposition de loi tendant à accorder Le Droit De Vote Aux Femmes par M. Ferdinand Buisson, Député. Nr. 2716. Chambre des Députés. Neuvième législature. Session de 1909.
  11. *Rapport fait au nom de la Commission du budget* chargée d'examiner le projet de loi, portant fixation du Budget Général De L'Exercice 1911. *Budget annexe de la Legion d'Honneur*, par M. Louis Marin, Député. Nr. 360. Chambre des Députés. Dixième législature. Session de 1910.
  12. *Proposition de loi* tendant les *Salaires des travailleurs et travailleuses à domicile*, présentée par M. Fernand Engerand, Député. Nr. 160. Chambre des Députés. Dixième lég. Session 1910.
  13. *Rapport fait au nom de la Com. du Budget* chargée d'examiner le projet de loi portant fixation du budget général de l'exercice 1911. *Ministère de l'Instruction et des Cultes*. 2 Section: *Cultes*. par M. Guist'hau, Député. Nr. 365. Chambre. des Dép. Dixième lég. Ses. 1910.
  14. *Rapport... etc...* portant fixation du Budget Général de L'Exercice 1911. Ministère de l'Instruction Publique et des Beaux-Arts. 1. Section. *Instruction Publique*. par M. T. Steeg, Député. Nr. 370. Chambre. d. Dép. Dixième légis. Sess.: 1910.
  15. *Le Problème de la France Contemporaine* par M. F. Lorrain. Paris. Plon et C<sup>ie</sup> 1879.
  16. *Histoire de la France contemporaine*. (1871—1900) par Gabriel Honotaux. Paris. 1903—1905.
  17. *La France hors de France* — notre emigrations, sa nécessité, ses conditions par I. B. Piolet. Paris 1900.
  18. *Histoire du droit et des institutions de France* par E. Glasson. Paris 1887—1903.

19. *Histoire de la Troisième République* par E. Zewort. — Présidence de M. Thiers; Présidence du Maréchal; Présidence de Jules Grévy; Présidence de Sadi-Carnot. Paris. 1907.
  20. *La Femme dans l'Industrie*. R. Gonnard, prof. á la Faculté de Droit de l'Université de Lyon. Librairie Armand Colin. Paris 1906.
  21. *Le Musée Social*. Memoires & Documents. Suppléments aux annales. — l'année 1908—1911. Paris. Ar. Rousseau, éditeur.
  22. *Grand Orient de France*. Suprême Conseil pour la France et les Possessions Françaises. Constitution et Règlement Général de la Federation. Paris 1901.
  23. *Paris Charitable et Prévoyant*. Tableau des oeuvres et institutions du departament de la Seine. Paris 1904.
-





















